

ANNA BRZEZIŃSKA

# MGŁA



MGLA



ANNA  
BRZEZIŃSKA

# MGŁA



Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)



# Spis treści

## Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14.

15.

Od wydawcy.

Opieka redakcyjna: PIOTR TOMZA

Redakcja: ANNA MILEWSKA

Korekta: ANNA DOBOSZ, JOANNA MIKA, ANNA RUDNICKA

Projekt okładki i stron tytułowych oraz opracowanie graficzne: URSZULA GIREŃ

Do stworzenia okładki wykorzystana została reprodukcja obrazu autorstwa Gillisa Mostaerta *Chrystus na krzyżu (Kristus på korset, 1549–1598)*. Obraz znajduje się w zbiorach Statens Museum for Kunst w Kopenhadze.

Projekt mapy i ilustracje: URSZULA GIREŃ I ŁUKASZ GIREŃ

Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Anna Brzezińska

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2024

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07877-8

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

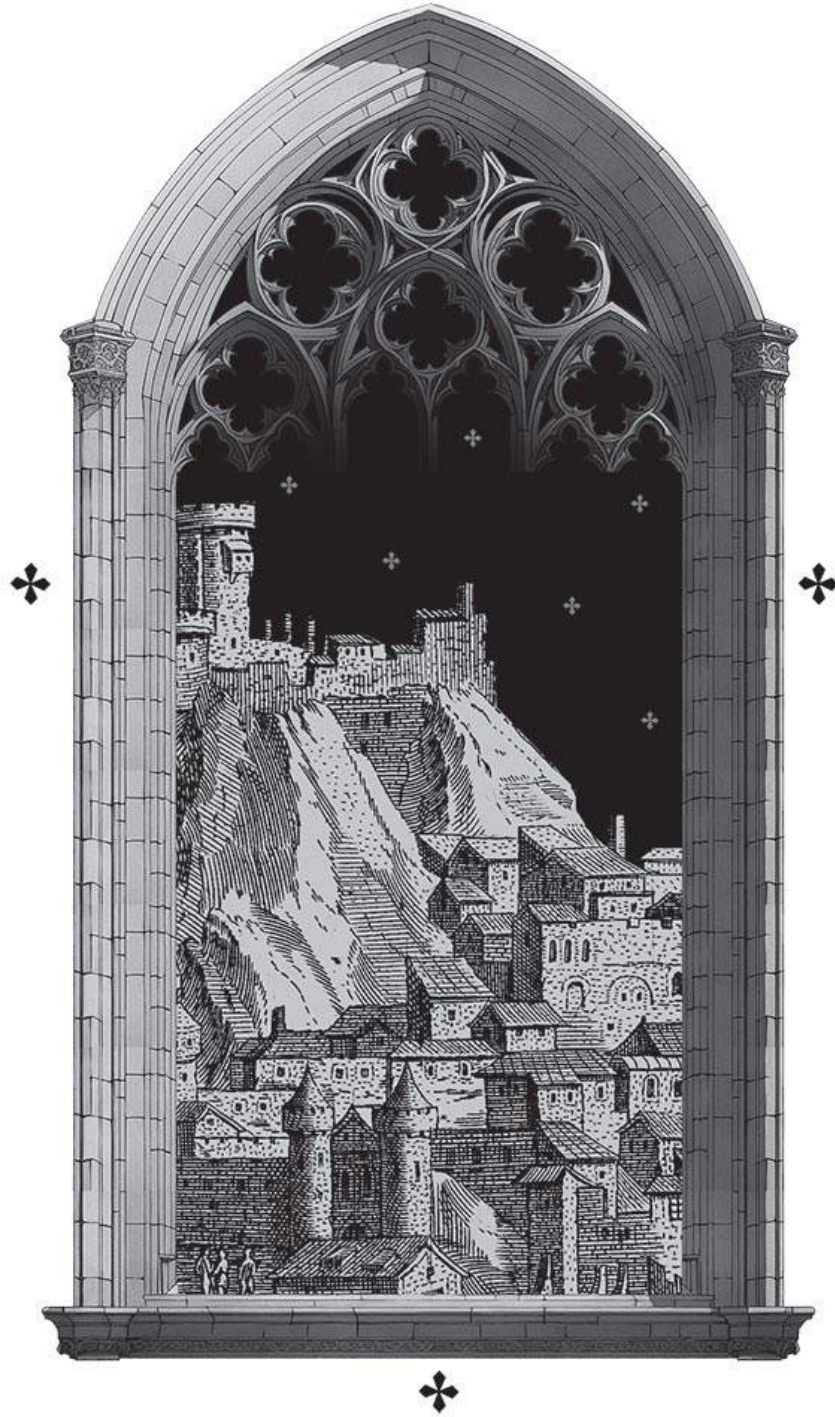
e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](#)









\* EŚLI TYLKO podniesiecie głowę, zobaczycie go w załomie muru przy Duomo, zupełnie jakby siedział tam od samego początku, wrośnięty w ścianę katedry od chwili, kiedy wszystko było jeszcze przemieszane i pienilo się jak świeże mleko w skopku, zanim powietrze, woda, ogień i ziemia skrzepliły w ser, z którego wyszli ludzie, demony i cała reszta, nasze jałowe góry i zwirowe pola, od pokoleń skrapiane chłopskim potem i w połowie leżące odłogiem, nawiedzane przez burze, zalewane wodami potoków i smagane wichrami ze wszystkich pustyni świata, rok po roku żłobiącymi mury Città di Sant'Angelo i wyrrywającymi z niego kamienie, tak samo jak dziecko wyskubuje nitki ze znoszonego płaszcza, podczas gdy wewnątrz miejskich murów powoli kiśnie nasze życie. Proszę, przyjrzyjcie mu się dokładnie, oto Duomo razem z marmurowym nagrobkiem Guerina di Bosconegro, który wytyczył granice naszego miasta, z cysterną poźółką od wykwitów cudownej wody, kolumnami kary i posągami anioła, który w jednej ręce ma miecz, a w drugiej wagę, dalej są kamienice, osypujące się na bruk wapiennym łupieżem, warsztaty, budy, przybudówki, stajenki, gnojowniki, łaźnie, targowiska, latryny, oberże, zaułki i furtki, które ladacznice odmykają dla swoich gachów, a złoczyńcy – w pogoni za łupem, i naturalnie Draco też tu jest, siedzi w blendzie za przyporą ze swoim kikutem wystawionym bezwstydnie ku słońcu i z tą czarną suką, woła na nią Principessa, co jest oczywistą obelgą dla kasztelana i jego próżnej córki i przypomina, że Guerino był księciem i całe Bosconegro, aż po Monti delle Graticole i Monte del Faggio, należało do niego, ale tutejsi panowie są wyniośli i skłonni do zdrady, więc nigdy nie

zapomnieli, że jego ojciec był zwyczajnym kołodziejem i sam Guerino też za młodu woził na jarmarki koła i piasty, więc kiedy jeden z przodków naszego kasztelana nie doczekał się syna z prawowitego łoża, ograbili jego córkę z ziem oraz godności, zmuszając ją, by poślubiła zubożalego rycerza, który w trudzie i znoju zarabiał na swój chleb w warowniach i granicznych zamkach, a ponoć trudnił się również łupiestwem na trakcie, co nas zresztą nie napełnia obrzydzeniem, gdyż porządne złodziejstwo jest sztuką raczej wyzwoloną niżli mechaniczną, nie przygina pleców do ziemi ani nie wykręca palców, tak czy inaczej w zaledwie kilka pokoleń potomkowie Guerina z panów znów stali się sługami i pamięć o tym poniżeniu przyprawia naszego kasztelana o wielką żalność, więc tym bardziej stara się żyć z pańska, a córka jest jeszcze gorsza od niego, mówią, że każdego ranka służki szykują dla niej kąpiel w mleku czterdziestu bawolic, żeby pozostała gładka i różowiotka jak ostryga w skorupie jedwabnych sukni, tak, zapewne właśnie się trudzą, mozolnie kręcą kołowrotem, ciągną wiadra i dźwigają mosiężne kotły, podczas gdy świątynne dzwony wybijają jutrznię, więc niebawem także w ostatnich domostwach zaspane dziewczki zaczną miesić zakwaszone ciasto i rozgarniać popiół pod kuchniami majstrów, oby psich synów stoczyły czerwie, Draco zaś nadal śpi na stercie nawozu, który stary Gervasio, zwany il Doppo, zwozi wózkiem z zamkowej chlewni na wzgórze, co jest wielce nie w smak patriarsze, który po tym, jak zeszłej zimy zarwał się dach jego pałacu, rezyduje w pokojach kapituły i musi się przysłuchiwać naszym miejskim jazgotom, więc ledwo pierwsze promienie słońca spływają po kamiennej sukni anioła pośrodku placu, jego świątobliwość otwiera okno tuż nad wnęką Draca, a anioł, powinniście o tym pamiętać, ma twarz naszego Guerina i zaprawdę czyż nie dodaje wam otuchy, że tutaj nawet zwyczajny kołodziej może stać się aniołem? – choć wiedzcie, że to akurat od dawna nie jest już prawdą, dzisiejsi wyrobnicy nawet po śmierci pozostają nędzarzami, miasto zwiera się wokół nich niczym tłocznia i pozostawia

lepka, bezimienną mierzwę, podczas gdy bogacze są niepokonani za życia i po śmierci, wpijają się epitafiami w kamienne ciało Duomo, z posadzki wypiętrzają nagrobnymi płaskorzeźbami na ściany, butnymi sentencjami pełzną po filarach i słuźkach, kłębią się, doprawdy, jak gargulce, gdyby mogli, wyleźliby aż na pinakle, ale dosyć o tym, nie trwońmy czasu na nikiemne drwiny, bo patriarcha nadal się drze i sroży w oparach świńskich nieczystości, aż wstyd pada na nasze koguty i kapłony, więc gorliwie zaczynają mu wtórować i budzą nowy dzień oraz wszystkie jego ziemskie służy, a nasz patriarcha też ma głos cienki jak kapłan, choć jego męskości zaprawdę nie sposób podawać w wątpliwość, o czym może zaświadczyć Gianna spod Pękatego Wieprza, ta, którą zowią la Botte, bo w rzeczy samej rozpuchła się jak beczka, jak powiadają, nie bez zasługi jego świątobliwości.

Draco klnie, hałasy wybijają go bowiem z pijackiej drzemki, a poranne słońce łechce w oczy, stary naciąga więc kaptur ze świńskiej skóry i mości się na świeżym, jeszcze parującym gnoju, jego suka tymczasem popiskuje i łasi się przy wózku, póki il Doppo nie rzuci jej paru ochłapów z kasztelańskiej kuchni, potem zwierzę szarpie tężejące flaki, a Draco pije z bukłaka i jest tak, jakby każdy łyk wytrącał go stopniowo z kamiennego muru i burzył nieruchomą taflę miasta, bo Città di Sant'Angelo właśnie otrząsa się z mroku, turkoczą wózki, nosiwody i tragarze hałaśliwie oferują swoje usługi, przekupnie otwierają z trzaskiem stragany, praczki odbierają na podwórkach brudną bieliznę, majster poprawia modro wybarwiony kubrak, bo pas wpija mu się w kałdun, podczas gdy jego małżonka drapuje sznury koralu na obwisłych piersiach, a my w kącie izby czekamy na swoją kolej, swoją kolej do jadła, do kobiet, do pierzyniastych łóżek, wyszywanych koszul, cynowych talerzy, kunsztownie rzeźbionych skrzyń i zaprawionego korzeniami wina, którym majstrowie muszą się pokrzepić, zanim wyjdą w mglisty poranny chłód, żeby ulżyć sobie po nocy w wygodce za morwowym drzewem, ale oczywiście wszystko to omija nas zarówno

tęgo ranka, jak i każdego następnego, bo taka jest kolej rzeczy, że dobry człowiek powinien być prosty, skromny, godny i pokorny, by ocalić swoją robaczywą duszę i wyrwać ją spod władzy czarta, co patriarcha powtarza niestrudzenie z ambony podczas wieczornego nabożeństwa, kiedy tłoczmy się w bocznych nawach, szurając nogami, poszturchując się i charkając na kamienną posadzkę, podczas gdy oni stoją tuż przed ołtarzem, nasi cechmistrzowie, właściciele młynów, kamieniołomów, kuźni, przedzalni i warsztatów, zacni mężowie z potrójnym pętem srebrnych pierścieni na palcach, spójrzcie, jak sapią, zginają nogi, obciążone jedwabnymi pończochami ciasno jak kiełbasa flakiem, fałdy sadła drgają im na podgardlach, na czołach perlą się krople kwaśnego potu, pasłe matrony strzygą uszami i wymieniają szeptem oszczerstwa, szarpiąc koronki u rękawów i dobrą sławę bliźniego, a patriarcha uparcie kołysze kadzielnicą, choć gdzieś tam po drugiej stronie Piazza della Cisterna czeka wieczerza, grudy tłuszczu krzepną na potrawce z jagnięcia, pasma makaronu tracą jędrność, lecz nic się nie da przyspieszyć i wreszcie widzimy od progu, jak – o zgrozo nad zgrozy! – kot ucapił pikantną kiełbaskę i teraz ucieka z nią do gołębnika, a pomywaczka, pokraka przeklęta, nie trafiła go chodakiem, trzeba jej będzie wygarbować skórę.

Kij się unosi i opada, dziewczka wije się pod nim, błaga i ślini, spod chustki wypływa jej słomiany wiecheć włosów, z nosa smarki, a jest w tej chwili spęczniała i słodka jak dojrzała figa, niemal łyska spod spódnic różowawym miąższem, lecz dzwony nad bazyliką już wyśpiewały nieszpory i raptem mistrz Urdino ustaje w swym mozole, wszystko płynie jak woda i kolejny dzień właśnie zdycha w wieczornym świergocie ptaków, wy zaś patrzcie dalej uważnie, oto na piętrze kamienicy jego żona odmawia pacierz w otwartych drzwiach alkowy, zdążyła się już podmyć i podkasać, obmierzła stara maciora, a kiedyś taka z niej była piękna dziewczyna, zwarta i niewinna, lecz – jak powiadają mnisi – wszystko mija, niewiasta to zaprawdę worek łajna, za młodu jedynie

obciążony gładką powłoką, a pod skórą kłębią się robaki, i nie da się z tym nic zrobić ani zaznać ulgi w małżeńskim znoju, sarka w myślach mistrz Urdino, teść, stary skąpiec, zeszłej jesieni poręczył za niego w sądzie, więc trzeba iść i spłacać po równo dług i małżeńską powinność, każdy musi czynić swoją posługę, jeden odcinając kiesy, drugi zanosząc modły, a trzeci orząc pole, choćby najbardziej kamieniste.

Mistrz Urdino wymierza więc pomywacze pożegnany kopniakiem, wzdycha, odkłada kij, raz jeszcze zerknąwszy na jej tyłek, zaiste wypięty jak na pokuszenie i pewnie nie bez grzesznego zamysłu, ale co się odwlecze, to nie uciecze, choć jest w tej myśli jakiś dotkliwy niedosyt, na szczęście jego korzeń stęzał błogo podczas bicia i może ten wieczór nie zostanie strwoniony tak zupełnie bez zysku, a wy, moi mili słuchacze, jeśli chcecie zrozumieć, co naprawdę wydarzyło się w Città di Sant'Angelo, nie traćcie z oczu tego sprawiedliwego męża, spadkobiercy czterech kamienic oraz kamieniołomu, gdy tak idzie, kołysząc się jak kaczką, z każdym krokiem nabierając dostojności i odświętnej wzniosłości, przyświeca sobie świeczką na schodach, tak doskonale osadzony w swoim ziemskim prawie, jak rubin w oczku pierścienia, spocony, krótkonogi, ociężały, z jednym okiem pokrytym bielmem i opadającą powieką, zaraz zagłębi się lemiem w ciężkie, wilgotne bruzdy i rozsiewa ziarno, na razie jednak walczy z krótkim oddechem i zastanawia się, jak to się właściwie stało, kiedy minął ten dzień i zgasły wszystkie poprzednie ranki, zaprawdę płyną jak woda i nie pozostawiają śladów, a gromadka majstrząt – wszystkie pyzate i rumiane, chociaż niejedno z nich niebawem wybledzi zaraza, ta bowiem nieuchronnie spływa ze zboczy Nebbii wraz z nurtem Ruscello Nero i w rozpalonym bezruchu pełni lata przemierza zaułki Città di Sant'Angelo, a majstrowa, pazerna suka, nie odsyła dzieciaków do mamki na wzgórze, dokąd nie dociera złe powietrze, więc co roku wyrrywają je sobie z Panią Śmiercią, a potem, pogrzebawszy kolejnego oseska, w wielkim strachu wyciska z majstra Urdina serwatkę i rankiem biegnie przed cudowną figurę

w opactwie Świętej Fortunaty, by zasznurowała tę jej steraną sakiewkę na nasienie i pomogła wezbrać nowym bachorem – ta gromada majstrząt obserwuje go, zachłannie wychylając się zza framugi, kiedy po wszystkim poprawia portki i wymyka się do latryny.

O tej samej porze biegniemy do naszego konwentu w Dole Wisielca, wsłuchajcie się w stukot naszych chodaków na bruku i łomot pałek, kiedy walimy w okiennice praczek i księżych gospodyń, obijamy mordy posągom cmentarnych aniołów, wrzucamy zdechłe szczury do beczek z piwem, jeśli znajdziemy jakąś za domem, i niech wam, mili gospodarze, pójdzie ten trunek na zdrowie, tak, to właśnie my, zakon opilców, bractwo pustego trzosa i zapadłego brzucha, robactwo warsztatów, piwnic i poddaszy, choć teraz, w tej jednej chwili pod fiołkowym zmrokiem, kiedy jednookie koty wyginają grzbiety, a tłuste szczury wywlekają z rynsztoka zwłoki noworodka, jesteście tylko my, my i miasto.

Nocny dzwon uderza pierwszy raz, miejskie bramy zwierają się jak usta leciwej mniszki po połknięciu truflifurty, drzwi, okiennice i klamki wtórują im rozklekotanym echem, kołowroty szczekają, pacholki rozciągają metalowe łańcuchy w poprzek ulic, oj, żaden wóz nie wróci już dzisiaj do magazynu ani spichrza, ale pozostało jeszcze nieco czasu na powszednie występki, więc majstrowie, krzepcy, brzuchaci i czerwoni na gębach, patrzą z gospody Pod Pękatem Wieprzem, jak pijany Draco tańczy na Piazza della Cisterna, rozchlapując cudowną wodę, mówią, że kiedyś był z niego chłop na schwał, syn młynarza, cztery winnice w dzierżawie, wszystko odziedziczył i kto wie, może jak ojciec zostałby starszym cechu, gdyby nie to szaleństwo, ale cóż począć, jesteście wszak grzeszni, demony toczą nasze dusze jeszcze przed narodzinami i pożerają je nadal po naszej śmierci, jednakże w owej chwili nawet ta myśl wydaje się wesoła, mistrzowie rechoczą, śmieją się z całego serca, na wpół przetrawione



wino podchodzi im do gardła, bo Draco raczy ich codzienną porcją bluźnierstw, patrzcie, teraz naszczał w paszczę delfinowi z cysterny, już raz go wypędzono z Città di Sant'Angelo za takie nieczne sztuki i mówią, że na wygnaniu stracił rozum, więc pan kasztelan miłosiernie przygarnął obłąkańca z powrotem, niech Bóg okaże grzesznikowi litość i poprowadzi tę splugawioną wodę prosto do kuchni patriarchy.

Bo pokonałem smoka, pokonałem dla was smoka! – wydziera się rozpaczliwie Draco, a zacni majstrowie pokładają się z radości i ciskają w starego kubkami, chociaż żaden nie trafia.

Dzwon bije po raz drugi, lecz starcy wciąż oglądają się za młódkami, nie szanując własnej siwowłosej powagi, dwóch rzeźników okłada się kułakami, sami rozumiecie, bójki wzmacniają męskość, bo kto mocniej bije, ten dzielniejszy w łożu, ale już czas się zbierać, czas opróżnić dzbany i ogryźć kości, czas strącić ostatnie krople nasienia w chłonne wargi la Botte, bo nocny ront wyrusza w miasto, rycerze ze świty kasztelana mają długie miecze w kunsztownych pochwach, oczywiście ci fanfaroni w bufiastych portkach nie potrafią się nimi posługiwać, a naprawdę niebezpieczni są zwykli pachółkowie w żelaznych rękawicach z kolcami, to oni poturbowali nas tamtej nocy, kiedy przywiązaliśmy niedźwiedzicę do sznura kościelnego dzwonu, och, była radość, postawiliśmy wtedy na nogi całe miasto, zwierz się szarpał i ryczał, dzwon bił na trwogę, mieszczanie ganiali w jedwabnych szlafmycach, migały spod koszul włochate łydki, grzbiety się uginały pod ciężarem cebrzyków z wodą, Azelia, żona szewca, pokazała w oknie cycki, kiedy biegła po pokojach, jak ją Pan Bóg stworzył, choć zwykle taka z niej odęta bigotka, baby krzyczały: ogień! i groza! i wygarniały ze szkatuł posagowe klejnoty, żeby nie zostać tak całkiem bez niczego, tak, wielu złoczyńców obłowiło się tamtej nocy i niejedna cnota zgasła, zanim pachółkowie ustrzelili niedźwiedzicę z łuków, ale wcale nie broczyła tak bardzo jak Orsa, tryskająca pośrodku nieboskłonu

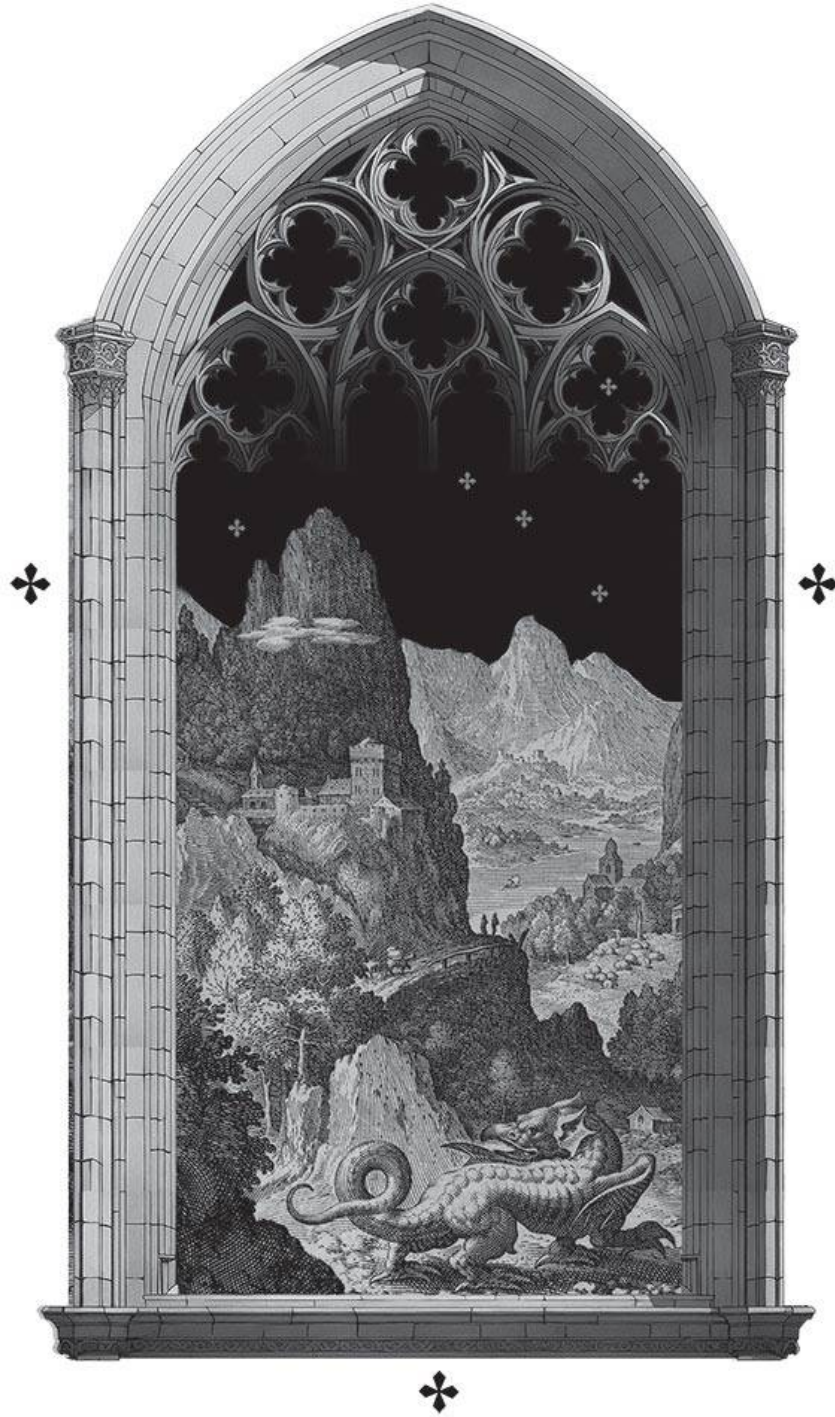
strumieniem gwiazd, cóż, nie w każdej baśni jest odrobina prawdy, mimo że braciszkanie od świętego Calogera oczekują, że będziemy w to wierzyć.

Dzisiejszego wieczoru świat gaśnie łagodnie, mrok zatapiaienne żale i trwogi, ściekając po ażurowych hełmach Duomo i krenelażach kasztelu pomiędzy maswerki kościołów i fasady kamienic i niweczając całą naszą pracę, bo kamień z trudem poddaje się łomom i dłutom – ktoś o tym wie lepiej od nas? – lecz w ciemności roztapia się i niknie bez śladu, i tylko Draco płacze przy swojej cysternie, nie trafił mu się dzisiaj żaden pielgrzym w poszukiwaniu przyjaznego burdelu ani wędrowny predykant, który chętnie wysłucha każdej bujdy, żeby potem ją wpleść do kazania i mamieć głupców pustym krasomówstwem, bo w gruncie rzeczy księża w niczym nie różnią się od nas i wiercie, każdy z nas jest pewien, że gdyby potrafił czytać księgi, mógłby zostać biskupem albo samym patriarchą, pokonałem smoka, mamrocze Draco, spijając resztki wina z kubków stojących na stołach przed oberżą, podczas gdy trzeci dzwon dopełnia się nad miastem, dając znak wychudłej mniszce, żeby zaciągnęła zasłony przed świętym obrazem, i zaraz potem plebani zapierają sztabami drzwi kościołów, majstrowie zamykają za sobą bramy domów i przekręcają żelazne klucze w zamkach, nawet gołębie chowają głowy pod skrzydła, oddychając cicho, żeby nie zakłócić snu lisa, i tylko nocny ront nawołuje do wygaszenia ognia.

Pokonałem dla was smoka! – wyje wytrwale Draco, podczas gdy miasto gaśnie i osuwa się w ciemność, w nocne bezżycie, które, choćbyśmy nie wiadomo jak mocno szczepiali się w pościeli, jest pojedyncze i oddzielne dla każdego.









YN MŁYNARZA zawsze pozostanie synem młynarza, mąka będzie mu się osypywała z twarzy, choćby zawędrował sto mil od młyna i zaparł rodzinnego bogactwa, a naszą Città di Sant'Angelo da się przejść od bramy do bramy w zaledwie parę pacierzy i błogosławieństwo niepamięci doprawdy nie jest nam dane ani w sprawach drobnych, ani w sprawach większej wagi, więc wszyscy już słyszeli, że przez wzgląd na pamięć mojego ojca, który wykarmił pół miasta, cechy wyprosiły mnie od kaźni, gdy kasztelan uznał, że moje karnawałowe wyczyny – zaraz się o nich dowiecie – nie są doprawdy drobnym przewinieniem, nie, nie puścili mi ich tak zupełnie płazem, obili mnie kańczugami, jakby obdzierali włókna z paździerza i wyświecili precz z miasta, lecz dla wielu to nadal niedostateczna kara, garbaty Fulko spluwa ze wzgardą, odmykając przede mną Furtę Banitów w czerwonym murze, Muro Rosso, gdzie wryto imiona męczenników, którzy wychodzili na pustkowie, ale mnie oczywiście daleko do świętości, wierzcie mi, moje pragnienia są znacznie bardziej przyziemne i rozkoszne, więc tylko wystawiam twarz ku słońcu i gwarzę sobie przyjaźnie z halabardnikami, podczas gdy Fulko nadal sarka i grzechocze pękiem kluczy, choć na tym polega robota tego pokręconego, zawistnego skurwysyna i winien ją wykonywać z pokorą, zresztą jego matka naprawdę była dziwką, służyła w oberży Pod Ptakiem i zaiste rozlicznym ptakom użyczała schronienia, a biesiadowali tam nie szlachetnie urodzeni, tylko zabójcy, żebracy i trędowaci, co łatwo da się poznać po krzywych plecach Fulka i jego bydlęcych obyczajach, inni pachółkowie trzymają się od niego z daleka i zamiast dzielić z nim latrynę, wolą obsrywać winnicę gręplarza,

mistrza Getulia, tak fortunnie położoną tuż poniżej furtki, gręplarz już dwukrotnie pozywał ich do sądu o straty i siostrzyczki od świętej Deodaty też narzekają, że sierotki z przytułku nad bramą nieraz oglądają wypięte zadki, więc nasz kasztelan wyraźnie się obrusza tym publicznym zgorszeniem i niebawem cała jego złość, wieszczą nie bez uciechy wartownicy, skrupi się na garbusie, zwłaszcza że Fulko nie dość szybko ustąpił dziś jego córce z drogi.

Nasza kasztelanka, Mona Giulia, która nie cierpi wszystkiego, co szpetne, na widok garbusa wzdryga się i z odrazą rozdyma nozdrza, Fulko z przestrachu prawie już pełźnie po bruku, przygięty pod skorupą garbu jak brunatny żuk gnojarski, podczas gdy Mona Giulia zasłania twarz chusteczką, łańcuszki przy bransoletach na przegubach jej dłoni podzwaniają tak słodko, że Fulko miesza się jeszcze bardziej, ręce mu się trzęsą, na darmo usiłuje odmykać sztaby, prędzej, błagam, Przenajświętszy, prędzej, ale klucz ze szczękiem spada na ziemię i pobłyскуje szyderczo pośród końskiego łajna, a trzeba wam wiedzieć, że jeszcze przed brzaskiem przejechała tędy wielka kawalkada, jako że nasz kasztelan razem z całym dworem wybrał się na odpust do opactwa Świętego Dezyderiusza i nieprędko wróci, jarmark i zabawy będą się ciągnąć aż do następnej niedzieli, ponieważ opat, wróg klasztornego chóru i postnego refektarza, hojnie podlewa pobożność trunkiem z klasztornych winnic i czci swojego patrona w towarzystwie linoskoczków, połykaczy ognia i gładkoliczych śpiewaków, którzy mają wyśpiewywać męczeństwo patrona opactwa i odwodzić od grzechu, ale chętniej zawodzą o słodkim kochaniu, opat przysłuchuje się temu z pobłażaniem, gdyż skrzynki na jałmużnę łatwiej się napełniają przy skocznej melodii, najmiłsi, możecie się znaleźć o sto dni wcześniej w raju, jeśli chciwość nie pozbawi was tego odpustu, jeśli wyzbędziecie się zaledwie jednego florena, o ileż bliżej znajdziecie się dusz waszych czcigodnych ojców, matek i wszystkich waszych zmarłych bliskich, braciszkuwie ledwo nadążają wypełniać zaświadczenia o odpustach, tak,

tak, pokuty u świętego Dezyderiusza są lekkie, a wieczerze tłuste, bo właśnie tak szczęśliwie tu sobie żyjemy, bez zgryzot, udręk i niedostatków.

Na razie jednak kasztelański orszak stoi jeszcze pod bramą, halabardnicy rechoczą z wysoczyzny muru, wyłoczonej złotą łuską cegieł, ruszże się, człowieku! – krzyczy Mona Giulia, która, jak wszyscy szlachetnie urodzeni, jest nadzwyczaj wrażliwa na szyderstwo, więc na wszelki wypadek wymierza Fulkowi kopniaka prosto w supeł grzbietu, stopę ma zbyt drobną, żeby mogła go naprawdę uszkodzić, ale garbus zapamięta cios, nie pozwoli sobie zapomnieć, bo jedni zbierają dukaty, inni księgi, jeszcze inni pocałunki, a koślawiec gromadzi razy i rozpamiętuje smak każdego upokorzenia.

Ja również pamiętam jej trzewiczki z purpurowego safianu z rozetką z pereł i podkręconym noskiem, tak małe, że bez trudu zamknąłbym je w dłoni, gdybym mógł się poruszyć, tyle że patrząc na nie, akurat stoję w dybach, z głową przygiętą nisko do ziemi i w żelaznej obręczy, gdy Mona Giulia zatrzymuje się przy miejscu kaźni i wysuwa koniuszek języka spomiędzy warg, oczy ma wilgotne jak wewnątrz muszli, a twarz podbitą perłowym blaskiem, albowiem, moi dzielni wojacy, tam właśnie, pomiędzy kolumnami kary, gdzie wymierza się chłostę, zaczyna się moja opowieść. Mona Giulia, wciąż blada i wielkooka po chorobie, która toczyła ją całą zimę, stoi tuż obok, nie mogąc oderwać wzroku od moich poranionych pleców, powiadam wam, jedwab szeleści, kiedy kasztelanka pociera nogą o nogę i wije się pośrodku Piazza della Cisterna jak kotka w marcu, chociaż to już maj, wprost litość bierze patrzeć, więc nikt się za bardzo nie dziwi, kiedy przed mszą i ogłoszeniem odpustu właśnie mnie wybiera spośród bluźnierców, wedle zwyczaju ratując mnie od kaźni, bo choćby patriarcha nie wiem jak wzdragał się i marszczył, niewiele może poradzić przeciwko karnawałowym prawom, jako że Monę Giulie właśnie obwołano narzeczoną Pana Karnawału, a po trochu i nas



wszystkich pospołu, a na tę jedną noc la Sposa staje się potężniejsza od kasztelana, potężniejsza od wszystkich wielkich panów, patriarchów, rycerzy i samego cesarza Efraima na jego odległym tronie za górami, może dziś uwolnić jednego spośród skazańców i oby wybrała go bardziej roztropnie niż jej świętej pamięci babka, która, jak powiadają, w roku żółtej zarazy oswobodziła lichwiarza Bianca, co stało się początkiem nieszczęsnej rewolty Bianchich i do tej pory napełnia Città di Sant'Angelo zamętem; na szczęście Mona Giulia nie ma żadnej skłonności do heretyków, za co żarliwie dziękuję Stwórcy, podczas gdy służebne odpinają rękawy jej sukni, tak, ma gołe ramiona niczym prosta łąziebniczka, kiedy zanurza mnie w cysternie, pełnej cudownie zimnej wody, zupełnie jakby chrzcila mnie powtórnie i zmazywała grzechy, zresztą tak właśnie jest, bo pozostałych pięciu bluźnierców przed zmierzchem zgorzeje na stosach, choć przyznam, że sumiennie zasłużyli sobie na ruszt, roznosząc po wzgórzach herezję Bianchich, nakłaniając kmiotów do opieszałości w płaceniu dziesięcin i urągając wszystkim naszym świętym, podczas gdy ja jedynie nakładłem łąjna w beczki z winem w katedralnej piwniczce i trudno to wprost pojąć, ale nie nabrzmiało słodyczą, kiedy je patriarcha błogosławił na ołtarzu, ani nie wezbrało cudowną wonią. Tymczasem nasi heretycy gracko się palą, przyświecając komediantom, którzy wykrzywiają się na drewnianym podium, handlarzom odpustów i poświęconych obrazków, a także mniszkom, sprzedającym wśród tłumu łąkocie w kształcie głowy świętej Fortunaty, która bynajmniej nie była aż tak fortunna, skoro bezbożny cesarz ściał ją w samym pąku młodości i nawet nie zakosztowała mężczyzny, w przeciwieństwie do większości panien przechadzających się tego karnawałowego wieczoru po placu przed Duomo, ukrytych pod maseczkami z czarnego aksamitu, żebyśmy nie umieli połączyć ich piersi, brzuchów i ud, ochoczo obnażanych w dyskretnym mroku bram i zaułków, z ich twarzami, które widzujemy codziennie, cóż, jak powiada

kasztelan, wobec niewiast wszyscy jesteśmy głupcami, a jego córka jest łajdaczką gorszą od innych i słodką, słodką jak miód.

Pamiętam, jak kasztelanka pociąga mnie w ciemność pomiędzy składami cechu wełny, bramy są obrośnięte winoroślą, na jednej ktoś zawiesił pęczek drozdów, zapewne podarunek dla wiarołomnej kochanki, ich główki podrygują miarowo, kiedy wbijam się w śliskie wnętrze Mony Giulii, rozumie się, nie jest dziewicą, co mnie dziwnie złości, chociaż nie powinienem tego oczekiwać, wszak wszystkie wielkie panie to dziwki, więc uderzam mocno, jakbym chciał dosięgnąć jej serca, którego bez wątpienia nie ma, bo chichocze bezwstydnie i odchyła głowę, jej szyja jest nieskazitelnie biała i spływa z niej ciężki wisior z wizerunkiem trupiej czaszki, który również przynależy do kostiumu la Sposy, ponieważ narzeczoną Pana Karnawału czyni się najpiękniejszą dziewczynę w mieście i przed wiekami była nią święta Fortunata, tak, zacni panowie, wirowała na Piazza della Cisterna z rozpuszczonymi włosami, kiedy zobaczył ją cesarz, jego armia przekroczyła Catena di Confine i Monti delle Graticole i pięła się przez nasze skromne Bosconegro ku złotonośnym portowym miastom, które unoszą się na nadmorskich skałach jak olbrzymie białe chmury i przyciągają barbarzyńców z północy skuteczniej niż ścierwo zwabia sępy i kruki, ultramontanie są nieokrzesani i chciwi, od wieków bardziej miłują nasze grosiwo niż zbawienie swej duszy i nazbyt często ich władcy postanawiają przyozdobić się w Brionii żelazną koroną, lecz ostatecznie tylko ustrajają Bosconegro swoimi mogiłami, i jakże wiele krwawych historii rozpoczyna się od pięknej dziewczyny w tańcu, pięknej hardej dziewczyny, która odmawia, i potem wydarza się cała reszta, więzienie, smok i katowski miecz, z każdym pocałunkiem Mony Giulii nasz taniec przyspiesza, lecz nawet tej rozszalałej nocy – a może zwłaszcza wtedy – coś musi przypominać, że istnieją śmierć, kara i lęk, choć pod jej skórą perli się śmiech, wierzcie, śmieje się bezwstydnie jak praczka, po czym nagle, bez żadnego ostrzeżenia, szepcze: jeśli mnie chcesz, zabij smoka,

szepcze i wbija mi paznokcie w plecy, aż rany od katowskiego kańczuga się otwierają i znów płynie krew, nie jej, tylko moja, i to jest zupełnie na wspak, ale zanim zdążę o tym pomyśleć i zanim choćby spróbuję zrozumieć, kasztelanka splata nogi na moich biodrach, jest ciężka, słodka jak miód i ma setki żądań, nieżywe ptaki patrzą ciekawie, jak się parzymy, oniemiała z rozkoszy jak zwierzęta, a kiedy jest po wszystkim, ona szepcze: czy się odważysz? – po czym ześlizguje się ze mnie niczym jadowita żmijka i nie udaje mi się jej przytrzymać.

Noc jednak nadal się toczy, pełna wina, huk bębnow, piszczałek i trąbek, rozbitych dzbanów i zaciśniętych pięści, rynek kołysze się wokół nas, płoną ogniska, kotły parują, dziwki w czerwonych rękawiczkach i uczciwe niewiasty wirują wokół nich jak ćmy, zrównane i przemieszane w ciemności, pokutnicy na tę jedną noc uwolnieni z klasztornej furty rozdymają się od trunku i jadła niczym bukłaki, cnotliwe wdowy stają się chutliwsze od rozpasanej maciory, mrok bowiem jest ich zaufanym współnikiem, a spośród nich wszystkich najjaśniej błyszczy Mona Giulia, la Sposa w czerwonej jedwabnej sukni i purpurowych trzewiczkach, wszyscy w mieście wiemy, że niebawem, już u kresu lata, odeślą ją z kasztelu do jakiegoś starca, patriarcha pobłogosławił jej małżeństwo i heroldowie obwołali je na wszystkich placach, lecz na razie przeczuwany smutek tylko dodaje jej blasku i tej nocy może zatańczyć, z kim zechce, mistrzowie cechu rzeźników i paralitycy z przytułku Świętego Symforiana są na jej skinienie, wybiera jednego po drugim i poniża swoją młodością w szalonej, rozchybotanej galiardzie, ale ja się nie dam upokorzyć, ponieważ od czasów Guerina to miasto należy do kołodziejów, oliwiarzy i młynarzy, jesteśmy bezlitośni i nienasyчени w swoich życzeniach, i będę ją miał, właśnie taką, z plamami potu na sukni, pasmami włosów wysmykniętymi spod wieńca i ustami jak grudka rozgniecionej szminki, bo skoro już raz należała do mnie, to się może powtórzyć, wszak w Città di Sant'Angelo cuda są na wyciągnięcie ręki i wszyscy o tym dobrze wiecie.

Właśnie z tego powodu mijam dzisiaj Fulko Garbusa, pogwizdując niedbale, zupełnie jakbym nie szedł na wygnanie, tylko zakładać wnyki na zające albo okopywać winnicę, tyle że zamiast gracy mam miecz, ostry szpikulec za pasem, nawet nie usiłuję go kryć, mimo że w mieście surowo zakazano noszenia broni, ale ja włożyłem podróżny płaszcz, czapkę i buty z ostrogami, miejski ront nie może mnie zatrzymać, udaję się bowiem w podróż, w daleką, niebezpieczną drogę, oczywiście nadrabiam miną, bo kara nie jest mi tak całkiem obojętna, ale kto wie, dokąd zaprowadzi mnie ścieżka, więc nie dziwcie się, moi dzielni wojacy, oby Stwórca odpłacił wam długim życiem za to wino, że ja również potrzebuję w mojej wędrówce ochrony, ostrza z solidnego żelaza i modlitw, wielu, wielu modlitw, żeby mnie wiodły wciąż wyżej po wyschniętych zboczach Nebbii i doprowadziły tam, dokąd sobie zamierzyłem.

Ty głupcze, mówi garbus, zamykając za mną furtę.





\* IEDY NASZA historia się zaczyna, Draco wyczekuje przy murze, czyniąc nieuczciwą konkurencję żebrakom, o, właśnie przywarował przy Furcie Banitów, która rozwiera swoje wielkie oko ku Nebbii, patrzajcie, jak potrząsa kikutem ramienia, powiadają, że stracił rękę w karczemnej bójce albo kat uciął mu ją za złodziejstwo, ale stało się to jeszcze przed naszymi narodzinami, bo jak daleko sięgamy pamięcią, zawsze był kaleką, jednym z tych darmożjadów, którzy całymi dniami włóczą się po Città di Sant'Angelo, oczekując jałmużny i szukając okazji do kradzieży, teraz jednak uśmiecha się obłudnie do wychodzących z bramy, a nuż się trafi przyjezdny, nie kupiec naturalnie, ci bowiem są zbyt chciwi, i nie wędrowni przekupień z wielkim koszem – naparstki, szpilki, sznurki, tasiemki, nożyczki, haftki i modre wstażki, piękniejszych nie znajdziecie! – bo on napęłni spiesznie bukłak i wyruszy dalej, ku wioskom, gdzie dziewczki z rękami upapranymi krowim łajnem roztkliwiają się nad byle kłębkim przędzy, nie, najlepszy będzie najemny żołnierz, węszący za zapachem burdelu, czekajcie, łaskawy panie, ruchałem wszystkie kurwy w Città di Sant'Angelo i ruchałem ich matki, wiem, które chrapią jak wieprze i które cuchną od spodu, kusi ochryple Draco, oblizując wargi spękane z braku trunku, bo zawsze jest spragniony i, jak dobrze wiecie, owego pragnienia nie da się ugasić wodą, wynajdę wam świeżą dziewczynę, czystą, nieomal dziewicę, wspomóżcie, błagam, nędzarza, ja też kiedyś nosiłem miecz, uwierzcie, prawie byłem żołnierzem.

W tamtych dniach najemników zaczyna niepokojąco przybywać, pojedynczo, po dwóch i grupkami zagłębiają się w grube fałdy Città di Sant'Angelo, zwawiej od żab wykluwających się z bagna wskazują

w zaułki i podcienia, lecz wcale się nie kwapią do zwierzeń, nie, z pewnością zabląkali się tutaj przypadkiem, powtarzają niespokojnie przekupnie w swoich ciasnych kramach jak stado kurcząt wtulonych w mur Duomo, ani chybi wygnała ich z rodzinnych stron jakaś karczemna bójka, spór rozwiązany zbyt pospiesznie nożem, pańska niełaska czy zawiedziona miłość, tak, po prostu szli przed siebie brzegiem strumienia na południe i nie przyświecał im w tym żaden szczególny zamysł, dopiero po jakimś czasie rozchodzi się wieść, a podobno wyłuskuje ją z plotek powtarzanych przez przybyszów la Botte, bo nie darmo nazywają ją najzręczniejszą dziwką w Città di Sant'Angelo, że pękły łańcuchy chroniące przełęcz w Catena di Confine i tamtejsi książęta okazali się lżejsi od pierza, co nie jest naszą sprawą i nie napełnia nas smutkiem, bo czyż nie rozgrabili dziedzictwa Guerina, czy nie odebrali nam nawet jego świętych relikwii, tak że w grobowcu w naszej katedrze pozostały zaledwie proch i pył, tak, czas, by ktoś przyuczył ich wreszcie do bojaźni Bożej i może będzie to cesarz Efraim, wszak nie może się okazać gorszy od innych, nadto cudze nieszczęście jest zawsze soczyste jak owoc i choćby nawet tkwiła w nim oścista pestka niepokoju, zaprawdę łatwo ją wypluć i zapomnieć.

Jednakże w następnych dniach dezserterzy nadal garną się do nas jak pchły do psiego futra, o, jakże jesteśmy zdziwieni, kiedy stają u naszych bram w zardzewiałych napierśnikach i z pustymi pochwami, bo nawet miecze zdążyli już prehandlować za dzban kwaśnego wina i kęs czerstwej focaccii, cóż, przywykli do bardziej sycącego jadła, lecz czując na plecach szpice cesarskich włóczni, biegną na oślep, byle dalej od swoich białych miast, od zaklętych ogrodów i czarodziejów w szpiczastych czapkach, z różdżkami, które ponoć są pełne zaklęć, ale nie chronią od niczego, a ich niedola tylko dodaje Dracowi wigoru, pokonałem smoka, powtarza, z błogością ugniatając w bezzębnych ustach kłamstwa, zanurzyłem się w mgłę, rudawą i cuchnącą,

i znalazłem go w zaklętym leżu, obciąłem mu głowę, a on obciął mi ramię.

Żołdacy słuchają go z roztargnieniem, popatrując na mosiężnego delfina z fontanny, który jest zwyczajną rybą odlaną z metalu, a nie jakąś niezwykłą machiną, i nie plunie im znienacka w twarz ogniem ani złotymi rybkami, na starodawne szyldy majstrowskich warsztatów i płaskorzeźby o grubo ociosanych twarzach, wreszcie na niemrawe kamienne cielsko Duomo, wewnątrz cuchnie piwem i bydłem, co jednak nikogo nie gorszy, Bóg ponoć chętnie nawiedzał obórki, więc i nasz patriarcha bez skrupułów wystawia woły na sprzedaż, nie ma w tym nic dziwnego, mnisi zarzucają wędkę nie na nasze dusze, tylko na złote floreny i cekiny, na srebrne gigliata i aspery, wszak grzech pogardzić godziwym zarobkiem, najstarsze krypty przerobiono na magazyny zboża, ale czyż nie lepiej, żeby umarlacy służyli żywym, niż żeby żywi byli sługami śmierci? – nadto nikt się o nich nie upomni, bo stare familie z czasem wymierają, zwłaszcza te najbardziej zasłużone, zbyt dużo tłustego mięsiwa i za młode żony, zaprawdę życie jest niebezpieczne i tak szybko mija, odźwierny również się niecierpliwi, bo nadchodzi pora sjesty i jego połowica zżyma się nad garnkiem małży w ostrym sosie, a taka jest z niej cholera, że jeśli potrawka przestygnie, otłucze małżonka warząchwią po grzbiecie, co, jak dobrze wiemy, i wcześniej się nieraz trafiało, jest to bowiem baba nieokrzesa, tyczkowata i płaska, bez żadnych krągłych urozmaień, w których nadmiar czarnej żółci sublimuje w rozkoszną niewieścią przymilność, dosyć, łaskawi panowie, odźwierny ze złością wypycha najemników w jaskrawą kałużę światła, bo na zewnątrz słońce pali z iście pogańską zajadłością, żołnierze kręcą się chwilę bezradnie po placu, po czym siadają pod cysterną, nad nimi marmurowy anioł w milczeniu rachuje uderzenia serc sprawiedliwych, a stare ciotki kraczą, że kiedy przeważą nad nimi zatwardziała cisza, ognie piekielne pochłoną nasze miasto, lecz najemnicy o to nie dbają i nie sprowadziła ich tu troska o Città di Sant'Angelo, głowy mają raptem

ociężałe i puste, na oślepr przesuwają palcami po cembrowinie, jakby chcieli wymacać, co się kryje pod chropowatą powłoką piaskowca, szukają ukrytego sekretu, który mogliby przeniknąć, i cudownych, magicznych tajemnic, żeby je wykraść i obrócić na swoją korzyść, tyle że tutaj nic nie ma i nikogo nie bierze litość, kiedy znów wyruszają na ulice w splugawionych wymiocinami tunikach, zarośnięci na twarzach, coraz bardziej źli, choć trudno nam się mierzyć z ich niechęcią, wszak nie prosiliśmy ich tutaj i nie wiadomo, co przyjdzie za nimi, za ich plecami zgrzybiałe ciotki czynią znak odpędzający zło, kręcą w palcach swojskie uroki z końskiego włosia i słomy, oj, braciszku od świętego Calogera mieliby używanie, gdyby je przydybali, nie obyłyby się bez chłosty i pokutnej procesji wokół Duomo, lecz wszyscy zdążyliśmy się przekonać, że w świecie są rzeczy straszniejsze od naszych mnichów, mimo to nasze stregi rozpierzchają się w popłochu, kiedy z Duomo wychodzi dwóch kanoników, chwila trwogi mija bez śladu i tylko uzdrawiająca woda szyderczo ciurka przez szparę cysterny, pokątnie poimy w niej osły, jeśli nie chce się nam ich pędzić do brodu, co zdarza często, bo na człowieka czyha zbyt wiele pokus, żeby zdołał się im wszystkim oprzeć.

Najemnicy krążą zatem po Città di Sant'Angelo, pod łagodnym spojrzeniem anioła o twarzy Guerina, i z każdym krokiem nam powszednieją, aż stają się tak odarci z godności i grozy, że dzieciaki zaczynają w nich rzucać grudami łajna, co jest doprawdy rażącą niewdzięcznością, bo czyż nie w obronie tych wszawych uliczników najemnicy walczyli przeciwko czarnej armii cesarza Efraima, zaniedbując własne dziatki, które pewnie cierpią teraz nędzę i głód, bo w poszukiwaniu ratunku dla ginącego kraju ich jedyni żywiciela dotarli aż tutaj, na sam kraniec świata, gdzie demony wylaniają się z mgły i kamienie przemawiają ludzkim głosem; czy to możliwe, żeby zawędrowali tak daleko na darmo?



Obudźcie się! Na co czekacie? – drze się wreszcie któryś z nich, tarmosząc w zaułku za klasztorem córkę perukarza, płową niedojdę, która nie dość szybko schroniła się przed nim na podwórzu ojcowskiej kamienicy; jej wstyd miesza się z rozgoryczeniem, ponieważ najemnik jedno ramię ma wyższe i gębę pokrytą wrzodami, jakby splódzono go w leprozorium, i może naprawdę tak było, kryjcie, mistrzowie, córki, pokrzykujemy z wysokości świątynnego muru, kryjcie młode żony w komorach, wojacy i trędowaci mają wielkie przyrodzenia i czarne języki, parzą się jak czarci na malowidłach pod kopułą Duomo, jeśli słońce przyświeci wystarczająco jasno przez latarnię nad transeptem i witraże clerestorium, wewnątrz katedry rozbłyska, ściany połyskują złotem, a biedacy golizną, bo Città di Sant'Angelo lubi przyodziewać kamień w strojne szaty, a swoich synów porzuca nagich, więc bogactwo się rozpiera, przepych sławi nie Jedyne Boga, lecz naszych zaradnych przodków, kupców, kamieniarzy i handlarzy wełną, dzięki którym cała katedra jaśnieje i widać, jak święta Fortunata poskramia w lochu smoka, by zaraz zginąć przed obliczem okrutnika z północy, a diabły na polichromiach nadziewają grzeszne dziewice na różny i ciągną je w ogień piekielny, nie szczędząc im po drodze plugawych rozkoszy, kamienne monstra wychylają się z okapów oraz pachwin łuków i rozwierają pyski, tak bezecnie spragnione, że nasze bogobojne matrony, rozparte pod medalionami z symbolami cechów, uderzają córki w kark, jeżeli któraś zbłądzi wzrokiem w górę, oczy są często wrotami dla grzechu, choć patriarcha dla uniknięcia zgorszenia dobre pięć lat temu kazał pozakrywać czartom przyrodzenia opaskami, cóż, z naszą kamieniarską robotą nie poszłoby mu tak sprawnie, ale z malowidłami jest całkiem prosta sprawa, najął do tej roboty trzech wędrownych pacykarzy, z których jeden spadł z rusztowania i skręcił sobie kark, mistrz Adelchio, którego dziadek przyozdabiał kopułę freskami, gadał potem, że sam Stwórca pchnął niecnego malarzynie palcem za okaleczenie wielkiej sztuki, ale po prawdzie tamten pewnie

był pijany, wszak wszyscy muiropiŝcy chlają, spłukując z gardła smak wapna i wyziwy farby, ale nie o tym przecieŝ chcieliŝcie ŝluchać.

Obyŝcie zdechli nędzną ŝmiercią, samolubne skurwysyny! – krzyczy do nas ŝołnierz i w piwnicznej szyi okłada pólglupią dziewczkę kułakiem, o, juŝ ŝię obroczyła posoką, dalej jednak milczy, bo od dziecka nie potrafi mówić i choćby spadły na nią wszystkie męki ŝwiętej Fortunaty, nie wydobędzie z ŝiebie ani ŝłowa, ale najemnik oczywiŝcie o tym nie wie, więc młóci ją coraz zajadlej, aŝ krzyki zwabiają kolejnych obszarpańców, rozciągają ją międy ŝobą i raptem w zaułku pod nami od mordobicia przechodzą do bardziej dobrodusznych uciech, co jest doprawdy niefortunnym pomysłem, bo jej ojciec, mistrz perukarz, obłudny ŝwiętoszek, naleŝy do bractwa pokutniczego ŝwiętego Dezyderiusza, które wie dzie prym w mieŝcie, i jest wŝród tych ŝczęŝciarzy, co w procesjach noŝą baldachim nad patriarchą, więc z pewnoŝcią nie ucieszą go bękarcięta pierworodnej córki, choć zdaje ŝię, ŝe jej te pomniejsze przykroŝci nie wadzą, zresztą sami popatrzcie, jak ŝię ta niezguła ŝmieje i nadstawia, kiedy ją wojacy łechcą jeden za drugim, wedle porządku i szarŝy, aŝ przyjemnie popatrzeć, jak wojskowe ćwiczenie pomaga im na sprawnoŝć.

ŝmiejemy ŝię, kiedy tarzają ŝię i pospołu charczą z błogoŝci w kamienistym jarze uliczki, odpychają ŝię i szarpiają, jeŝli któryŝ nie kończy zbyt dłu go, niema dziewczka tłucze głową w bruk, teraz całkiem juŝ niewesoła, łzy ciekną jej ciurkiem z oczu, a wszystko wokół staje ŝię ciche i umęczone upałem, przywiędły nawet trójlistne koniczyny na frontonach kamienic, astwerki wiotczeją ze znuŝenia, Draco, przechera, równieŝ gdzieŝ zniknął, juŝ on wie, co ŝię ŝwięci, mniszki w opactwie ŝwiętej Fortunaty ŝczelnie pozaciągały zaŝłony, ale na pewno nadstawiają uszu, bo nieczęsto trafia im ŝię tyle jurnych sproŝnoŝci, a nasze pulchne nieboŝątka, umęczone w rozgrzanym garnku konwentu, wachlują ŝię gałązkami pomarańczy i wpychają w naboŝne

ciałka słowicze języczki w miodzie, w gryzają się w miękkie wnętrza fig i z rozkoszą oblizują palce, podczas gdy najemnicy kończą wreszcie i zarzekają się z butą, że obrócą miasto w perzynę, jeśli nikt im nie wyjawia tego, czego szukają, ale najpierw muszą się posilić, trudno tak mordować o pustym żołądku i w gardłach pozasychało od wrzasków, więc idą do oberży Pod Pękniętym Dzbanem, a musicie wiedzieć, że maszerują całą szerokością ulicy, plądrują po drodze warsztat gręplarski, rozbijają tace i misy powykładane na ladach do handlu, wkrótce po mieście niesie się krzyk: ferro! ferro! żelazo! żelazo! i łoskot zatrzaskiwanych kramów, nie, nasi dzielni mieszczanie wcale nie zamierzają chwytać za broń, przeciwnie, chowają się po spichrzach, składach i magazynach, wpełzają aż pod kalenice, kulą się w ciemnych wnękach i wykuszach, czekając na nadejście rontu, żeby wybawił ich od tych bezbożnych żołdaków, ci zaś wciąż mają na ramionach zamotane wstążki w barwach księcia, którego porzucili, lecz całkiem o tym zapomnieli, podobnie jak nie rozumieją, że ich życie zostało zważone i osądzone, i właśnie to jest rozdzierająco zabawne.

Ront wygarnia ich z oberży tak zgrabnie, jakby zbierał szumowiny z powierzchni gara, jeszcze mają resztki grosza w sakiewkach i przeorali zaledwie parę dziwek z Wieży Skowronka, nasze wesole panienki machają im na pożegnanie z okien zamtuza i wydzierają się na całe gardło, żeby zaświadczyć przed światem, z jakim poświęceniem wykonują swoje rzemiosło, służąc nawet najszpetniejszym przybłędom, ale poza tym kochają Città di Sant'Angelo równie tkliwie, jak najzacniejsze córki mieszczan, i równie skrupulatnie płacą podatki, doprawdy uczciwe z nich niewiasty i godne szacunku, choć teraz akurat obnażają w oknach piersi i krzyczą: wciąż czuję w sobie twoją piękną pytę i odetnę ci ją na pamiątkę z powroza! podczas gdy strażnicy prowadzą żołdaków groblą mostu do kasztelu.

Dziwki oczywiście drocą się tylko, chociaż szubienica przydarzy się tutaj naprawdę, i to niebawem, bo kasztelan lubi szybko wymiatać śmieci, a cechy wespół z patriarchą aż gulgoczą ze wzburzenia i nie chodzi bynajmniej o tę nadpsutą niemotę, córkę perukarza, ani o kilka okradzionych kramów, tylko o złe wieści, które siekają im plecy jak północny lodowaty deszcz, poza tym strach pomyśleć, jakie demony mogły się zaplątać w sakwach oraz tobołkach dezerterów, niedobrze im z oczu patrzy, nie znają uczciwego rzemiosła, nie modlą się do Jedyne go Boga, tylko do złotych pucharów, ampuł i kielichów, które płoną na ołtarzach, do waz z porfiru i relikwiarzy z kryształu i sardonixu, bo nasi święci cenią to, co najlepsze, i zdobią swoje mieszkania nieprzeliczoną ilością złota oraz drogich kamieni, i nie możemy im tego małodusznie skąpić, choć przyznajemy, że może to stanowić pokusę, grzech jest jak woły robocze, nieustannie się trzusi, a ci wojacy chełpią się, że przeżyli swojego pana, lecz może zawinili przeciwko niemu nie jedynie zdradą, zresztą nie po to nasi ojcowie wyłupywali skały z kamieniołomów i obrabiali ciosy, a potem układali je w smocze mury, barbakany, bastiony oraz basteje, by mógł tu teraz włączyć, kto chce, dość mamy własnych nędzarzy, którzy wysiadują pod murami w łakomym oczekiwaniu na jałmużnę, jedzenie i legowisko, zaprawdę miłosierdzie staje się zbyt kosztowne, nadto żołdacy, szczęśliwie doprowadzeni z lupanaru prosto do ciemnicy i badani na okoliczność swoich licznych bezceństw, szybko rozeźlili kasztelana, opowiadając w śledztwie głupoty, jak to przywędrowali w nasze strony bynajmniej nie ze strachu, ale w poszukiwaniu tajemniczych krain, pełnych grozy i cudowności, które pluną cesarskiej czarnej armii w twarz potworami i demonami, bo te, sami rozumiecie, kiedy już zagryzą bezceńnych sługusów cesarza Efraima, z pewnością pokornie powrócą w swoje strony, w każdym razie przybłądy śmiały czynić kasztelanowi gorzkie wyrzuty, że jedynie z powodu osobistego tchórzostwa i samolubstwa ukrywa przed innymi panami Bosconegro bramy do tych zakazanych krain, na koniec zaś

jeden z nich, ten najszeptniejszy, krzywy w plecach i dziobaty na gębie, ogłosił się księciem, pokonanym przez cesarskich żołnierzy i wyzutym z dziedzictwa, a teraz poszukującym na obczyźnie najskuteczniejszych sposobów, żeby wyrzucić na nich sprawiedliwą zemstę, co nas niemało rozbawiło, wszak pamiętamy, z jakim zapamiętaniem szukał ich pomiędzy nogami perukarzówny, jednakże kasztelan bardzo się rozjuszył, podobno dawno temu jakiś szczywany wyrobnik zbałamucił mu córkę powiastkami o smoczych skarbach i cudownych krainach, utkanych z majowych snów, z czego, mówią ludzie, narodził się bękart, tak, Mona Giulia za młodu powiła sekretnie dziecię i kazała je spalić w żarze, bo u tych wielkich pań nie znajdziesz ani sumienia, ani odrobiny litości, ale trzeba przyznać, że los jej za to potem odplacił w małżeńskim stadle, mąż ją ponoć traktował jak najszkaradniej, póki nie umorzyła go jesienna wilgotna zimnica, w każdym razie odtąd kasztelana mierzą wszelkie sekretne misje i tajemnice, toteż zamiast wezbrać współczuciem do pobratymca w niedoli, uniósł się gniewem i natychmiast kazał wszystkich dezertersów powiesić, bo i po cóż trzymać w ciemnicy więźnia, którego nikt nie zechce wykupić, nędzarz, powiadają, umiera tak łatwo, jak gdyby umierała mucha, i spójrzcie, oto stary Gervasio już wiezie naszych żołnierzyków na kaźń na swoim gnojowym wózku, lecz nawet w cieniu szubienicy nie opuszcza ich hardość, miotają w nas tak paskudne klątwy, że co młodsze mieszczki omdlewają ze strachu, podczas gdy dezertersy do ostatniej chwili okazują hardą nieuprzejmość nam i naszym obyczajom, nie chcą wybaczyć katu ani przyjąć pocałunku pokoju, chociaż jednooki Ursmaro jedynie sprawuje swoje rzemiosło i bardzo porządnie zadzierzguje węzły, musieliście słyszeć o szewcu Ursmaro, co spalił niegaszonym wapnem swoją żonę dzierlatkę i jej trzech zakonnych gachów, zresztą kasztelan tylko dlatego darował mu życie, że chciał utrzyć nosa patriarsze, bo jak powiedział, mnisi od świętego Calogera mają się modlić, a nie rozpychać uda rozpustnicom, lecz ostatecznie dzięki ich

nieposkromionej lubieżności mamy nowego kata, mistrza Ursmara, bo cóż by to było za miasto bez miejskiego oprawcy, i właśnie on, pokrzykując z wysiłku, przerzuca teraz sznury przez belkę, nierządnicę oczywiście też stoją przy miejscu kaźni w swoich czerwonych rękawiczkach, pięknie wyszminekowane, i pokazują palcami najemników, ten łysy ma dłuższego niż gęsia szyja, poleciałabym na nim jak na ożogu aż na samiuśki szczyt Nebbii, zaiste wszystkie kobiety mają noże w końcach palców i w językach, chociaż to tylko słowa i nasze wesołe panienki wcale nie zamierzają odcinać przyrodzenia wisielcom, czarownice u nas cienko przędą, wsadza się je do ciemnicy i trzyma o chlebie i wodzie, póki nie zdechną, zresztą mistrz Ursmaro, który oprócz tego, że sprawuje inne obowiązki, zarządza również miejskim burdelem, nie dopuściłby się żadnego diabelstwa, jesteśmy przyzwoitymi mieszczanami i nie potrzebujemy w murach Città di Sant'Angelo ani wiedźm, ani demonów, ale właśnie wtedy ten krzywy najemnik zaczyna krzyczeć: zdradziliście mnie i zdradzacie własne dziedzictwo, oby moja krew spadła na was i na głowy waszych dzieci!

Potem mistrz Ursmaro kolejno podciąga skazańców, kołyszą się jak kwiczoły na sznurku, podczas gdy słońko przygrzewa błogo i całe miasto wyległo na błonie, mieszczanie zbili się jak kierdel owiec i zdeptują trawę, ich córki ssą lukrecję w cukrze, a synowie wspinają się na drzewa, obłamując gałęzie, obwieszane owocami, doprawdy, jak na nieboszczyków, podrygują całkiem dziarsko, bo przecież nie minie miesiąc, gdy wszyscy będą martwi, sami spójrzcie, oto mistrz Porziano, który wyrabia najszlachetniejszy safian i zanosi się dusznym śmiechem, kiedy w chwili konania samozwańczy księżę folguje sobie w spodnie, sam też niebawem zdechnie z rozerwanym gardłem, spośród ladacznic zaledwie dwie umkną losowi pod ruinami Wieży Skowronka, po to jedynie, żeby cesarscy żołdacy wyruchali z nich życie, a czterej kapitanowie pokutnego bractwa, którzy stoją na przedzie tuż przed szubienicą, będą zawczasu próbowali wymknąć się z Città di

Sant'Angelo tajną furtką w Muro Vecchio, starym murze, ale zostaną wydani przez kmiotów z okolicznej wioski i tyran Efraim każe ich przykuć do granicznego kamienia, żeby zdechli z głodu, patrząc na konanie miasta, które opuścili i wydali na zatracenie, ponieważ ludzie północy spośród wszystkich grzechów za najbardziej nikczemny uważają zdradę, na razie jednak mieszczanie radują się tym rozkosznie ciepłym dniem i ani im w głowach martwić się zagładą odległych książąt, bo czyż możni nie uśmiercają się nieustannie nawzajem? – a jednak odrastają wciąż nowymi głowami, zupełnie jak łan zboża, zawsze jakieś kłosa wybudują ponad inne i chwala Stwórcy, jeśli któregoś ubędzie.

Najemnicy zdążą dobrze poczerpieć i zeschnąć, zanim mistrz Ursmaro odetnie ich z powroza i pogrzebie w niepoświęconym grobie, sami rozumiecie, muszą wisieć i karmić wrony na postrach tym wszystkim przybłedom, którzy zechcą przyjść po nich, żeby węszyć w zakamarkach Duomo, zaglądać w malowidła, obmacywać kwiatowe wici na elewacjach kamienic i zadawać niepocziwe pytania, bo powtarzam, że nie skazano ich za tę niemą niedojdę, która zresztą zaraz pocziwie zdechła, nie sprawiając nikomu dalszego kłopotu, nie, moi mili dobroczyńcy, poszło o to, że pogwałcili nasz spokój, przywlekli ze sobą odór wojny i pogrożki wieśniaków, którzy przewąchawszy nadchodzącą pożogę, gdzieś tam za lasem i za Ruscello Nero zbierają się na diabelskich konwentyklach, żeby wypowiadać niecne i bluźniercze słowa, nawołujące do mordowania możnych, prałatów, kasztelanów i mieszczan, i wszystkich, co mają odrobinę aksamitu na grzbiecie i układają się do snu pod własnym dachem, doprawdy żadna kara nie jest dla takich zbyt okrutna, i dlatego nawet kasztelanka zaszczycą kaźń swoją obecnością, wychyla się ciekawie z lektyki, może zwabiły ją zachwyty ladacznic, bo jak wiadomo, ona też nie gardzi dobrym chujem.

I kiedy ostatni z żołdaków, ten niski i dziobaty, w zapamiętaniu kopie powietrze, mistrz Ursmaro przybliży usta do jego ucha, które jest teraz

bezbronne jak muszelka i za chwilę wraz ze wszystkimi tajemnicami zostanie wrzucone w najgłębsze morze, oprawca ma smutną, surową twarz, cóż, szewstwo to melancholijne zajęcie i nazbyt sprzyja rozmyślaniom, a i katostwo nie krzepi duszy, nadto Ursmaro nie tyka kobiet, chociaż jako nadzorca burdelu mógłby sobie ulżyć do woli, powiadają, że własnoręcznie odrąbał głowę swojej cudzołożnej żonie i ukrył ją w majolikowej wazie, zaprawdę nigdy nie należy ufać szewcowi, nawet jeśli zostaje katem, należało szukać we mgle, szepcze, odczytujemy słowa z jego ust, i raptem twarz mistrza Ursmara rozpogadza się jak u skazańca, kiedy wypuszcza z siebie ostatni oddech, ponieważ wreszcie wypróżnił się z sekretu i nie spotka go za to żadna kara, a sekret, moi mili, ciąży kamieniem w kiszkiach, nawet jeśli naprawdę w niego nie wierzysz, i nie ma w tym nic dziwnego, lecz nagle chmury się ściągają, stara Mirtilla, którą wiele lat temu zamurowano w krypcie Duomo, zawodzi jak strega i czarna suka Draca także zaczyna wyć, zupełnie jakby przeleciał nad nami anioł śmierci.







WIERZCHNICY CECHOWI, kiedy wyprawiają konwój z towarami, zwykle najmują na drogę zbrojnych pacholców, najlepsi są ci z oberży Pod Pyskiem, powiadam wam, jeden w drugiego chwackie zbiry, dawniej ochotnicy w wojennym zaciągu albo pacholcowie wyrzuceni z rontu za burdy, nadmierne opilstwo lub nienaturalne skłonności, co łatwo da się rozpoznać po katowskich znamionach na ich mordach, wciąż jednak są dobrze odżywieni i sprawni w swoim rzemiośle, a mają i tę zaletę, że wykpią się każdemu rabusiowi przy trakcie, bo z większością są w zмовie, nie liczą sobie zbyt drogo, wolą zejść patriarsze z oczu niż bezpłodnie siedzieć wewnątrz murów, w bliskości całej gromady beczynnych jurystów, a, jak wiadomo, z nudów różne niedorzeczności przychodzą urzędnikom do głowy, zwłaszcza że praczki znów znalazły topielca w tataraku, w klasztornej stajence owca urodziła dwugłowe monstrum i ślepa mniszka od świętej Fortunaty wieszczy srogą zagładę, więc miasto szumi od złowieszczych pogłosek i tak rozdyma się strachem, że kasztelan niebawem zechce mu upuścić krwi, roztropniej zatem nie świecić pacholcom w oczy grzesznymi pyskami, tylko skorzystać z okazji i wyruszyć z kupcami na jarmark, w błogą krainę linoskoczków, połykaczy ognia i wędrownych kurew, gdzie wszystko się może wydarzyć.

Mnie jednak eskorta niepotrzebna, idę sam, z węzełkiem przytroczonym do pleców oraz szpikulcem u pasa, i zanim słońce wyłoni się na dobre znad łuskowatego grzbietu Monte Burroso, gdzie dobywa się złoty marmur, i zacznie się przeciskać pomiędzy przesłami akweduktu toczącego wodę z górskich źródeł – witajcie, matko Edvige, zaprawdę pięknie wam wyrósł pasternak! – wydostaję się z przepastnej

płataniny winnic, sadów i warzywników, obdzierganych krzywym ścięciem chruścianych płotków, studni i kamieni granicznych, psy ujadają, krowy i jałówki ufnie przeżuwają trawę w letnich promieniach słońca, osły z zapalem gryzą tłuste osty, młodziankowie pędzą owce, przydrożne próznicze drzewa kwitną diabłu na pożytek, służąca rozkłada na błoniu świeżo wybielone płótno, pod mostkiem grupa obszarpanych dzieciaków trąca kijami rozpuchnięte truchło kota, w poprzek tego błęgiego, nieruchomego pejzażu jasnowłosa panna niesie w czepku kaczęta, puchate kulki wspinają się jedna na drugą i usiłują wyskoczyć poza karbowaną piankę białego płótna, dziewczyna śmieje się do wędrowca, przygryza źdźbło trawy i pociera bosą piętą o łydkę, odsłaniając znacznie więcej, niż powinna, i raptem najmniejsze kaczę wypada na trawę, popiskując, gramoli się w bruździe, jedną nogę złamało, zapewne zdechnie przed zmierzchem, tak to właśnie na świecie bywa, więc idę dalej.

Mam porządny skórzany pas, długi na pięć łokci i trzykrotnie owinięty wokół ciała dla ochrony nerek i brzucha, a także laskę, którą się podpieram, chociaż moje nogi, te dwa wierne konie pociągowe, nadal niosą mnie bez wysiłku, czasem spłoszona kuropatwa wypada tuż przede mną z zarośli, chociaż to okolica dobrze zaludniona, nocami wypuszczałem się tutaj z kamratami zakładać królicze wnyki, biesiadowaliśmy przy starych kamieniołomach, gdzie tylko ślady po klinach przypominają, że kiedyś wyrywano stąd kęsy kamienia na budowę naszej Duomo oraz wielu innych katedr, gdzie sławi się Twórcę Światła, lecz my sławiliśmy dobrze wypełniony kocioł i rozdęty bukłak, i teraz na wspomnienie pieczonej tuszki mój brzuch burczy z zapamiętaniem, pozostało tu bardzo wiele schronień, kamieniarskich szop, porzuconych kuźni i chat węglarzy, którzy dostarczali kowalom węgiel drzewny, mimo to maszeruję wytrwale, zagryzając głód marzeniem o mgle, o krainie obfitości, w której płynie dziewięć rzek, jedna jest pełna słodkiego miodu, drugą ciecze twardy i płynny cukier,

trzecia wzbiera ambrozją, a czwarta nektarem, w piątej pieni się manna, szósta natomiast aż występuje z brzegów od chleba tak białego, że nawet umarłemu przywróciłaby radość, siódma toczy fale czystego i wonnego masła, ósmą od brzegu do brzegu wypełnia mleko, dziewiątą zaś najwykwintniejsze wino – wiwat wino i wiwat ziarno! – deszcz zamienia się w zupę, z drzew zwieszają się pęta soczystych kiełbas, pieczonych kuropatw i rumianych półgęsków, tłuszcz ścieka jak żywica po korze, liście są z marcepanu, po najzieleniejszej trawie kicają zające, a każdy jest już upieczony i trzyma w pyszczku jabłko.

Tak pochłania mnie przetykanie tych wszystkich wspaniałych kąsków, że ledwo udaje mi się uskoczyć z grobli, którą pędzi mnich od świętego Amandusa na mulicy, spieszy się, okłada zwierzę po grzbiecie, rękę ma po dziecięcemu małą i pulchną, z pierścieniem na każdym palcu, a na kciuku dwie obrączki, zapadam się po kolana w błocie, oby psiego syna przed zmierzchem wypatroszyli zbójcy, przytroczył przy siodle sakwy bardziej pękate niż u niejednego kupca, mnisi mają się w Città di Sant'Angelo jak pączki w maśle, podczas gdy ja ledwie uszedłem stamtąd z życiem, bo kościelne młyny, jak powiadają, miały wolno, lecz zajadle, a patriarcha nie szanuje dawnych zwyczajów i wielce się gorszy, kiedy mu ujmują jakiegoś skazańca ze stosu – to zupełnie jakby piecyste podfrunęło z talerza, wydierał się z ambony, i popierdując pieczonymi jabłkami, uleciało w niebiosa – a przecież Mona Giulia właśnie to zrobiła, kiedy w noc karnawału wyrwała mnie oprawcom, w rzeczy samej było to cudowne ocalenie, dorównujące czynom naszych męczenników, którzy przed wiekami zmagali się tutaj z potworami, zanim na chwałę naszych dusz wypędziliśmy je na pustkowie, w mgłę, która czasami pożera i oczyszcza nie gorzej niż ogień, a przecież wszyscy pragniemy rozgrzeszenia.

Tymczasem moje karnawałowe pragnienia, suto podlane winem i złością, krzewią się jak parzące ziele, powiadam wam, od karnawału

jestem jakby napęczniały Moną Julią, nie darmo patriarcha przestrzegał z ambony, że szczęście jest podstępne i toczy duszę jak czerw, nieraz skuteczniej niż grzech wiodąc głupców ku zagładzie, co – kiedy spojrzę wstecz – wydaje się słuszną przestrogą, lecz nie myślę o tym, tylko wspominam, jak tamtej karnawałowej nocy druhowie niosą mnie na ramionach do naszej siedziby w Dole Wisielca i wiwatuja dziarsko, bo przecież jestem ich opatem, złodziejskim królem, władcą sztyletu i pustej sakiewki, i dzięki Monie Giulii ześlizgnąłem się szczęśliwie ze stosu, choć czuję, że moja skóra wciąż skwierczy od gorąca, tyle że innego rodzaju, wokół płoną pochodnie, panny wirują dookoła ognisk, kołyszają się nawet panny mądre i głupie na katedralnym portalu, przed Duomo skwierczą heretycy, doprawdy, karnawałowa noc jest ogromna niczym cały świat, nie da się jej ogarnąć ani przemierzyć, mieści w swym wydętym brzuchu wielkie kęsy białego pańskiego chleba, tłuszcz zastygający na pieczonej świninie, gładkość młodszej skóry i słodką czerwien wina, sprośne piosenki, skowyt wioli i fletów, a także szcęk toczących się po stole kości, zaprawdę, młyńskie kamienie czynią mniejszy łoskot niż one, przymykam oczy i ów dźwięk unosi mnie coraz wyżej, tam gdzie są tylko wicher i chłód i gdzie Urodzeni stają naprzeciw tego, co przychodzi spoza mgły, kiedy byłem dzieckiem, słyszałem ich w bezksiężycowe noce, ojciec bił mnie wtedy trzonkiem łopaty, którą się wyjmuje chleb z pieca, nie będziesz podnosił wzroku na Nebbię, krzyczał, nie będziesz nasłuchiwał w mroku, jednakże w noc karnawału szept Mony Giulii rozbrzmiewa nad podziw wyraźnie, zagłuszając ojcowskie ostrzeżenia, i naraz wcale nie jestem pewien, czy jej słowa są jedynie żartem, skleconym z pychy i szyderstwa, wszak demony potrafią nami ować na wiele sposobów, a są tu przecież, kłębią się nad Città di Sant'Angelo jak mgła, miotam się w naszej siedzibie, niegdyś cała okolica wokół Città roła się mrówczą, kamieniarską robotą i w Dole Wisielca także wydobywano kiedyś piaskowiec, zimą kamieniarze obrabiali w tej szopie ciosy i składowali narzędzia, charkając do syta

flegmą, bo ci, co pracują w wilgotnych podziemnych korytarzach, łatwo nabawiają się pylicy, lecz teraz w naszym mieście nie wznosi się nowych kościołów, mistrzowie kamieniarscy uczą raczej wyrabiania moździerzy niż wiązania łuków zwornikiem, ich uczniowie rozbiegli się po całym półwyspie, niektórzy wbrew zakazom wymykają się poza Monti delle Graticole, ukrywając w węzłkach kielnie, poziomice, piony, cyrkle, kątownice i liniał z podziałką oraz wszelkie sekrety swojego rzemiosła, które w imię niedorzecznych rojeń i niespełnionych obietnic oferują przekłętym ultramontanom, z czego jest taka wszakże korzyść, że zmieniliśmy ich opuszczoną siedzibę w Dole Wisielca w nasz próżniaczy konwent i teraz moi towarzysze patrzą, jak dźgam sztyletem zestalone od gorąca powietrze, krzyczę, usiłuję je odpędzić, lecz oczywiście mi się nie udaje, gdyż nie potrafię wspiąć się wystarczająco wysoko, moi bracia się śmieją, demony wirują nad wieżami Duomo z przenikliwym wizgiem, wino przelewa się w kadzi, aż wreszcie księżyc zamyka litościwie wielką gadzią powiekę.

Następnego poranka budzę się, kiedy inkwizytor, brat od świętego Amandusa o wyschniętym pysku charta, pryska mi w twarz śliną, wystrzeliłeś z łuku prosto w niebo, krzyczy, wymachując mi przed nosem połamanym drzewcem, i z przykrością rozpoznaję na strzale rdzawy cień zaschniętej krwi, cóż, zeszłej nocy ani chybi naszpikowano grotem niejednego kapłona, bo chłopcy z rontu też nie zasypiali gruszek w popiele, myślę, podczas gdy mnich wciąż zawodzi, że usiłowałem zamordować Jedyne Boga, aż chce mi się śmiać, bo czyż mnisi od świętego Calogera, którzy rywalizują zajadle z braćmi od świętego Amandusa i potrafią mieć im za złe wszystko, łącznie z surowością pokut i nadmiarem postów, nie powtarzają do znudzenia, że On nie ma nóg, piersi, brzucha ani serca, które tłoczyłoby jego krew, nie uroniłby jej zatem na strzałę ani nie doniósł na mnie oprawcom, ale w gruncie rzeczy wcale mi nie jest do śmiechu, bo mnich wręcz dławi się zgorszeniem, strzała powróciła zakrwawiona, całe drzewce pokrywała

posoka, jest to istny cud grozy i kary, niech Stwórca ma nad nami litość i niech oczyści twoją nędzną duszę, nie wspomina jednak o tym, że wczoraj niecie uniknąłem stosu, choć przecież o to właśnie chodzi, skruszony grzesznik winien się na klęczkach biczować, a nie zasiadać z kośćmi do stolika, ponadto patriarcha lubi postawić na swoim, więc patrzcie, zacni żołnierzykowie, a także wy, druhowie i sąsiedzi, którzy nie zapłaciliście za tę opowieść ani kubkiem wina, a przecież z zachłannością świń nurzacie ryje w historii moich nieszczęść, jeszcze się bowiem nie zebrał żaden sąd, a mnisi od świętego Amandusa już gromadzą chrust na placu, zapobiegliwe z nich niebożątka, co, przyznam, napędza mnie pewnym niepokojem, świętobliwi braciszczkowie, mówię, że pijaństwo zaprawdę jest wszeteczną rozrywką, lecz strzała to jedynie psikus, ot, kawałek drewna pomazanego kurzą krwią, w dodatku nie miałem w nim żadnego udziału, i jeśli znaleźliście tę strzałę przy mnie, to zapewne chciano ze mnie zakpić, przecież nikt z nas, doprawdy, nie podlega do świętokradztwa, jesteśmy jedynie gromadką zacnych cechowych synów, w których szumi młodość, a jeżeli cymkolwiek zawiniłem, to tylko umiarkowanym opilstwem oraz skłonnością do hazardu i urodziwego liczka, niechże mnie piorun strzeli, jeśli było inaczej.

Piorun spada na plac pod postacią kasztelańskiego rontu, a prowadzi go jeden z tych fanfaronów w pstrokatych, bufiastych portkach, ale doprawdy nie mam mu ich za złe, kiedy płazuje mnichów po grzbietach, braciszczkowie rozpryskują się jak stadko kur, kołaczą sandałami po bruku, dzień jest słoneczny i pełen nadziei, ale zaraz potem wtrącają mnie do wieży i znów zapada noc, a kiedy dobiega kresu, pachółkowie powiadają mi, że z rozkazu kasztelana zostanę na trzy dni umieszczony w żelaznej klatce na murze kasztelu, żeby wszyscy mogli się napawać moim poniżeniem, a i to mam sobie poczytywać za łaskę, której mi udzielono jedynie przez wzgląd na mojego ojca, sąd był znacznie bardziej surowy i juryści już przycinali pióra, by podpisać

wyrok, tymczasem zaś nawet stateczne żony majstrów przerywają darcie pierza i przędzenie wełny, żeby zerknąć na moją pokutę, cóż, każdego ptaka da się schwytać w sidła, zwłaszcza jeśli się nie trzyma własnego gniazda, a ten doprawdy próbował się zagnieździć dalece ponad swój stan, chichoczą jak najplugawiej, pokrzewka nie powinna się mieszać z krogulcami, choć trzeba przyznać, że nasza kasztelanka jest słodka jak figa i niejeden rad byłby ją podziobać, lecz jakże to kosztowny posiłek, skoro przyszło za niego zapłacić utratą młyna, pól i kamieniołomu, bo tak, moi mili, ukarano mnie za bluźnierstwo, a nasze prawo stanowi, że majątność kacerzy przypada ich prześladowcom i tak powstało bogactwo braci od świętego Amandusa, których posłano w nasze góry na krwawą rozprawę z herezją, ale też nie są osamotnieni w tym trudzie, a patriarcha od dawna ostrzył sobie zęby na moją ojcowiznę, wyrzekając na bezbożne ceny mąki i wydobywanego z naszych złóż wapienia, wapno jest niezbędne do wiązania zaprawy i bielenia mnisich pokoi, więc czy nie powinienem ofiarować go mnichom, gdyż jałmużna jest pokarmem dla duszy, tak jak chleb jest pokarmem dla ciała, lecz choć wszyscy muszą jeść, niektórzy są bardziej zachłanni od innych, toteż sprytnie wyzuto mnie z dobytku i oto zostałem utracjuszem, jakiego tutaj nie widziano od czasu wygnania Bianchich, co ma swoją wagę, gdyż rajcy powtarzają, że powołano nas, byśmy pomnażali i przydawali, i w naszej miejskiej arytmetyce ujmowanie jest najpotworniejszym grzechem, podobnie zresztą jak dzielenie, więc każdy posąg okupiony jest gorzkimi biadoleniami i tak wiele mieszczkańskich córek zamurówuje się żywcem w klasztornych kruchtach, mieszczki z przyganą cmokają wąskimi wargami, kiedy przestępuję w klatce w mojej szubienicznej włosiennej koszuli, jakież to jednak zgorszenie, kiedy syn zacnego młynarza hula z bękartami i nędzaczami, zamiast trudzić się i pracować jak inni, ziemię puścił w dzierżawę, pola zarastają kąkolem, grobla u młyna nienaprawiona, ani im przejdzie przez myśl, że nie urodziłem się, by zostać młynarzem, tak, ojciec wyzuł mnie z mojego

dziedzictwa, zanim ja zmarnotrawiłem jego ojcowiznę, ale o tym te głupie kwoki nie wiedzą, więc będą gdakać po wszystkich jarmarkach, jak to z powodu niedorzecznego próżniactwa i paru figli z córką kasztelana nakazano mi opuścić Città di Sant'Angelo na dobre, by uchronić moich ziomków od dalszego zgorzenia.

Właśnie z tego powodu wkrótce trafiam na bezdroża, na jałowe ziemie, obsiewane ziarnem ułudy i okryte zgrzebną suknią lasu, po których chadzają jedynie niedźwiedzie, wilki i dzikie kozły, a wyżej zalega zwaliste cielsko Nebbii, nieodmiennie przesłonięte rdzawym oparem, gapię się w mgłę, ale nic jeszcze nie widzę, ani potworów, ani skarbów, brama, za którą uwięziono monstra, pozostaje zatrzaśnięta, oczywiście nie spodziewałem się niczego innego, ale stąd góra wydaje się jeszcze większa, przebija na skroś wełnisty kłęb chmur, patrzę, aż oczy zaczynają mnie ćmić z wysiłku, łzy ciekną po policzkach, lecz zanim odwracam wzrok, widzę światłość wyzierającą spod mroku, moja matka mawiała, że właśnie w tym blasku dusze Urodzonych przechodzą przez bramę, po prawdzie była z niej trochę heretyczka i dobrze, że wyzionęła ducha, zanim mnisi od świętego Amandusa zadomowili się u nas i zaczęli prześladować dawne opowieści, znała bowiem każdą z nich i pamiętam, że siedziałem nisko przy piecu, a ona gręplowała wełnę i opowiadała, jak to dawno temu ojciec wszystkich czarnoksiężników uciekał z raju z wykradzionym ogniem w garści i na szczycie Nebbii upadła mu grudka żaru, tak że wrota nie mogły się na powrót zamknąć, kto wie, co jeszcze zdoła się przez nie przecisnąć, w każdym razie mnie by się teraz udało, wybucham śmiechem, taki jestem chudy po tym, jak kasztelan zadał mi w klatce pokutę za niecne karnawałowe wyczyny, nade wszystko zaś za zdradziecką zażyłość z Moną Julią, która po karnawałowej zabawie zrzuciła strój la Sposy i ukryła się za murami kasztelu, lecz ponoć w następnych dniach snuła się po ogrodowych dziedzińcach i z zadziwieniem gładziła po piersiach i brzuchu, zupełnie jakby odmieniły się pod moim dotykiem, jak mi donieśli, nie bez zawiści,



pachołkowie więzienni, do każdego zamka da się dobrać klucz, a kasztelanka, byle głupi to widzi, została odemknęta na oścież i kto wie, co się tam teraz kisi w grząskich zakamarkach jej ciała, podczas gdy mnie wywieszono niczym ojcobójcę w żelaznej klatce, długiej ledwie na dwa łokcie, ani się wyprostować, ani usiąść, zaprawdę, jak niewiele musi się wydarzyć, żeby człowiek spadł na samo dno świata, a jego prochy rozsypano na rozstajnych drogach.

I posłuchajcie, wrony kraczą z obeschniętej sosny, że niedawno zakopali tu wisielca, a nuż stregi przyjdą go odkopać i może trafi się jakiś gnata obleczony mięsem, ale nie, prędzej przypałęta się coś żywego i nie jest to taka całkiem przykra niespodzianka, myślę, gdy raptem na ścieżce prowadzącej do pustelni Świętego Arnona mój dobry druh Mniszek szczerzy do mnie nierówne zęby z takim zadowoleniem, jakbyśmy właśnie knuli w Dole Wisielca jakąś niecną sztuczkę, ochoczy jest z niego kamrat i zawsze gotów siać zamęt, tamtego wieczoru, kiedy podobno przedziurawiłem niebo, przewyższając w ten sposób niegodziwością heretyków, sodomitów i czcicieli demonów, których zakuwa się w dyby i oprowadza po rynkach, ale przecież pozwala im się wykupić grzywną od poniewierki po świecie, podczas gdy mnie wygnano i zagrożono mi kaźnią, jeśli tylko zbliżę się do murów Città di Sant'Angelo, tamtego wieczoru Mniszek ograł mnie do gołego grzbietu, czego nie wybaczyłem mu jeszcze całkowicie, żywię też uzasadnione podejrzenie, że maczał palce w tym przeklętym psikusie ze strzałą, mimo to całkiem miło widzieć jego mordę, tak rozkosznie pucołowatą i pełną niewinnej skwapliwości, która sprawia, że nabożne panienki od świętej Fortunaty dadzą mu kilka pajd chleba, choćby był całkiem pijany, nikomu z nas nie udaje się ta sztuka, lecz my, z naszymi kościstymi kolanami i grdykami winożłopów, nie przypominamy mniszkom różowiutkich dzieciątek z rosą matczynego mleka na policzku, nasze mieszcзки wyprawiają je na wieś do poczciwej mamki, przezacna kobiecina ma piersi jak mleczne zdroje, mawiają, niechże się maleństwo na nich zdrowo chowa z dala od

trujących wyziewów Città di Sant'Angelo i jej zaułków, zbutwiałych i wypełnionych stęchlizną, niejedno dziecko poczęto w nich w zadyszaniu, z dala od małżeńskiego łoża, po czym równie pospiesznie odesłano do pasterskich szałasów na wzgórza, co w niczym nie przypomina straszliwego grzechu dzieciobójstwa, o nie, bo jeśli tak pisane, ktoś przyjmie je i wychowa jak własne, przecież nawet w najdzikszej kniei niedźwiedzice i łanie karmiły ludzkie niemowlęta, i z dala od miejskich grzechów wyrosły na wielkich rycerzy lub prałatów, a czasem nawet męczenników, jak święty Symforian, który chował się w sokolim gnieździe i widać rozsmakował się tam w mięsie gigantów, którzy, jeśli wierzyć mnichom, lęgli się w tamtych czasach z piasku, wapienia i plwociny demonów, bo ścigał ich potem zajadle po całych górach z włócznią i kropidłem, zaprawdę krwiożerczy musiał być z niego braciszek i nadal sroży się na ścianach kościoła pod swoim wezwaniem wśród monstrów o jednej nodze i trójokich olbrzymów, lecz nas na szczęście wybawiono już od tego sąsiedztwa, więc porzucone bękarcięta, jeśli im się poszczęści, wyrastają na zupełnie zwyczajnych pastuchów i może się zdarzyć, że wiarołomna matka rozpozna na jarmarku swój grzech w jednym z tych hardych włóczykijów, którzy kroczą z pasterskim kijem w ręku i owcą na ramieniu, tak, mój synek też powinien mieć już szesnaście wiosen, uśmiecha się tak samo jak jego ojciec, wręcz wypełnia cały dziedziniec blaskiem, lecz najlepiej zepchnąć to słoneczne wspomnienie w głąb pamięci i niech każdy podąża ścieżką własnego losu.

Rozumiecie, mój towarzysz w gruncie rzeczy wcale nie jest mnichem, chociaż jakiś czas przesiedział w przytułku przy klasztorze Świętego Symforiana, dokąd posyła się małych uliczników przydybanych na kradzieży, żeby mnisi różgą wyćwiczyli ich do uczciwego rzemiosła, lecz z Mniszkiem nie powiodła się ta nauka i zbiegł stamtąd przed biciem, gdyż, jak twierdzi, nie zgadzał się zaspokajać mnichów, ale każdy z nas rozpowiada czasem różne rzeczy, więc nie przywiązujcie się do nich

zanadto, pewne jest jedynie to, że nasze nie całkiem cnotliwe panienki od świętej Fortunaty kilka miesięcy piastowały Mniszka w obórcie na sianku razem z osiołkiem, owcami i stadkiem gęsi, starannie tając całą rzecz przed swoim spowiednikiem, bo zaprawdę niezmierną jest przemyślność i wszeteczność rodzaju niewieściego, aż któraś musiała go na koniec wydać, ani chybi z zazdrości, gdyż pojмали biedaka i wysmagali na rynku za cudzołóstwo oraz świętokradztwo, co również dowodzi, jak niegodziwie mnie potraktowano, ponieważ mojemu kamratowi uszło na sucho deprawowanie zakonnic, podczas gdy mnie wypędzono jak psa za zwyczajne karnawałowe zabawy, które są naszym przywilejem od początku świata, ale dość o mnie, gdy tylko zelżał ból chłosty, Mniszek jął się chełpić swą klasztorną sztuczką, powiada, że sam kasztelan o mało się nie rozpuknął z uciechy, kiedy mu o niej opowiedziano, i posłał mu dobrze nabitą sakiewkę srebra, właśnie tak uczynił, tyle że sierzant z rontu ją zagarnął, po czym calusieńką przepił i nawet najnędziejisi z jego pacholków przetaczali się po ulicach jak beczki.

Mój kamrat potrząsa bukłakiem na znak, że nie będzie dla mnie tak całkiem bezużyteczny, w drugim ręku trzyma kielbasę, dobrze się, psi syn, wyposażył na drogę, ani chybi za tę garść niegodziwych dukatów, które ode mnie wyszalbierzył nad kośćmi, i nie myślcie sobie, że się wyzbędę urazy, kiedy tylko poczuję na języku pierwszy kęs mięsa, osnutego jałowcowym dymem, zwłaszcza że nie idzie wyłącznie o hazard, nasz Mniszek nazbyt wiele chełpił się zażyłością z pacholkami z rontu i mogło się tak zdarzyć, że puszczono mu płazem figle u świętej Fortunaty jedynie z tego powodu, byśmy go dopuścili do komitywy i by mógł szeptać do kasztelańskiego ucha, co też się tam lęgnie w umysłach wesołego bractwa w Dole Wisielca, a skoro przysłużył się i wcześniej, może maczał też palce w tym przykrym psikusie ze strzałą, bo po wypadkach karnawałowej nocy nasz dobry pan kasztelan z pewnością nie chciał mnie oglądać obok swojej córki, a teraz posłał za mną tego

podrzutka, który dla paru srebrników wyrzekłby się własnej matki, gdyby ją kiedyś rozpoznał, więc bez wstępu poderżnie mi gdzieś na bezdrożu gardło, żebym na dobre przepadł we mgle i nie wplątał w przyszłość kasztelańskiej córki. Rozmyślałam o tym wszystkim w milczeniu, a mały zdrajca uśmiecha się przypochlebnie, koszulę ma porozrywana, krew we włosach i wokół lewego ucha, czy raczej jego ochłapu, na pierwszy rzut oka poznaję, że to nie nasz dobry mistrz Beverand je przystrzygał, bo on odmierza skórę z istic szewską pieczołowitością, tnie przy samym czerepie, a potem przypala ranę, rozciągając piętno aż na policzek, bo jeśli zaznasz żelaza, bratku, zbrzydnie ci gmeranie w cudzych sakiewkach, nieszczęśnik wije się i wierci, a tuż obok jakiś braciszek od świętego Amandusa, rozszczekany kaznobździejca o wrednym pysku wydry, miota się i wygraża złoczyńcom karą, ale po prawdzie zerka zachłannie na te wszystkie śliczne, tłuste bigotki, które nazbiegały się z całego miasta, żeby popatrzeć na kaźń, jedna w drugą spocone i rozedrgane z powodu widowiska, wyciągają szyje, nie chcą uronić ni jednego krzyku, a świątynne dzwony kołyszają się nad rynkiem leniwie jak jaja starca.

Jednakże, moi mili, wiem doskonale, że mistrz Beverand nie przyłożył ręki do nieszczęścia Mniszka, nie tknął go ani jednym palcem, wyświęconym tłuszczem, zaiste katu dobrze się powodzi i po udatniejszej egzekucji nasz zacny pan kasztelan posyła mu resztki z własnego stołu, a i patriarcha czasem coś dorzuci, zwłaszcza jeśli palą heretyka, jednak klnę się na własne uszy, na mnie kat się nie wzbogaci, wykrzykuję do Mniszka, prędzej skonam, niż dam wam tę satysfakcję, że się przywlokę pod bramy i będę z płaczem kołatał, żeby mnie wpuszczono, jeszcze odpowiecie za nikczemności i zniewagi, których od was doznałem, bo zamierzam powrócić z mgły, tak samo jak przed wiekami uczynił Guerino, choć przecież i jego nie przyjęliście bez oporu, głupcy i nikczemnicy bowiem są nieodmiennie mierzwą lepiącą się do butów bohaterów.

Na razie jednak Mniszek, skulony i pokorny, łypie na mnie tymi przebiegłymi oczami podrzutka, bo przecież nie wiadomo, skąd się przywłókł do Città di Sant d'Angelo, a on sam prędzej spłynie krwawym potem, niż to wyzna, nie wygarnie też z ozora, dlaczego moi dzielni bracia z konwentu w Dole Wisielca rzucili się sobie do gardeł, gdy tylko garbaty Fulko przymknął za mną bramę, tak właśnie było, wręcz widzę ich, jak skaczą niczym pchły na psie, orzą sztyletami żebra, wybijają zęby, drą kaftany i portki, i właśnie wtedy jakiś rozsierzony kamrat odgryza Mniszkowi pół ucha, a wszystko z powodu mitry, która po moim wygnaniu stała się tak nęćaco bezpańska, że pospiesznie zapomnieli, jak to z własnego wyboru uczynili mnie opatem i nikt mnie tej godności nie pozbawił, ot, jakie liche nasze ziemskie władztwo i nad podziw nietrwale, a najtrudniej o tym zapomnieć na rozstajnych drogach, pod sosną nacechowaną na korze znakiem czaszki, aby nikt nie śmiał przeoczyć, że pod spodem gniją bluźniercy i wszetecznicy.

Przyznam, że na myśl o zdradzie moich towarzyszy ogarnia mnie nieposkromiona złość na Mniszka, że oto nawet taka lękliwa klasztorna wywłoka, taki charłak śmiał się połaszczyć na moją opacką schedę, ale wówczas ten niegodziwiec, syn hycła i trędowatej wiedźmy, otwiera gębę i mówi, że widział ślady smoka przy letnich pastwiskach i jeśli go przyjmę, jeśli pozwolę mu iść ze sobą, pokaże mi drogę, więc zastanówcie się, mili bracia w grzechu, czy zdołam mu się oprzeć.





\* EDWO SIĘ biedne żołdactwo skłęsło nieco na słonku i oberwało ze stryczków – ku radości starych ciotek, bo one na podobieństwo kruczysk nieustannie węszą wokół szubienicy, wszak zeschnięta ręka wisielca niezawodnie czyni niewidzialnym każdego, kto ją ma za pazuchą, a niejeden chciałby zniknąć, zważywszy, na co się zanoszą – kolejni zbiegowie stukają do naszych bram, powiadam wam, garną się do Città di Sant’Angelo jakoby oseski do cycka i już od bramy rozwierają zachłannie pyski, licząc, że miasto im tryśnie wprost do gardła mlekiem bogactwa i rozkoszy, zaprawdę mistrz Ursmaro nie nadaża ich wieszać, z wytężonej pracy popadł w pijacką melancholię i pewnej nocy wlaźł nieproszony do piwnicy, gdzie przechowuje się świątynne wino oraz prywatne trunki patriarchy, i zabarykadowawszy się tam w ostatecznej desperacji, pokrzykiwał do pacholków z rontu, że prędzej sam się obwiesi, niż wróci do obowiązków, które obmierzyły mu ze szczętem, nie możemy tak po prostu czekać, krzyczy, cesarska czarna armia przelała się przez Monti delle Graticole jak kipiące mleko przez krawędź garnka, najemnicy z północy nazywają się synami cesarza Efraima, lecz w gruncie rzeczy są synami samego diabła i nie da się ich udobruchać winem ani złotem, ziemią ani naszymi córkami, tak, Pani Śmierć jest spragniona i znów wędruje po świecie, trzeba szukać ratunku, trzeba wejść w mgłę i odnaleźć bramę, perorował z szewskim uporem, ale też pan kasztelan nie oszczędzał go ostatnimi czasy i nazbyt długo poprzestawał ze skazańcami, więc ich opowieści pokąsały go srożej od pcheł, na koniec nie dość, że schlał się bez pamięci poświęconym winem, to jeszcze wytlukł beczki, aż sam patriarcha przytruchtał do kasztelu domagać się jego śmierci, w rzeczy samej

zabiliby go niechybnie, gdyby kasztelan, którego takie psoty nieodmiennie śmieszają, nie pchnął chłopca z rozkazem, żeby pozwolić oprawcy wyspać się do skutku, a wówczas niechybnie wróci do rozumu, co się istotnie stało, i oto po trzech dniach pijaństwa mistrz Ursmaro wypełził z piwnicy, może tylko cichszy i węższy niż wprzód, ale znów skory do pracy.

Tymczasem Città di Saint'Angelo w oczekiwaniu dalszych wypadków przywarowuje bezgłośnie przy ziemi, nawet pacholkiwie z rontu kręcą się jak okopcone pszczoły i ani myślą kąsać, co daje nam tę błogą korzyść, że nikt się za bardzo nie wzburza, gdy przydybiemy w zaułku jednego czy dwóch żołdaków, wedle słów patriarchy to jadowite pająki, które jakiś zły czart wyrzygał na naszą ziemię, więc nikt się za bardzo nie trapi ich śmiercią, il Doppo co rano zbiera trupy na wózek, po czym bez modlitwy wrzuca je do dołów za gminną łąką i przesypuje niepalonym wapnem, co nader skutecznie wypraża z nich wszelką niegodziwość, i niebawem przy milczącej aprobacie czcigodnych ojców miasta co drugi z nas nosi żołdacki kapelus i buty, trzeba przyznać, buty mają całkiem porządne, tylko sakiewki przetrzebione, bo Gianna spod Pękatego Wieprza również nie zasypia gruszek w popiele, ale takie prawo jej rzemiosła i jeśli kogokolwiek można winić, to wyłącznie Draca, który wymachując kikutem, z iście kaznodziejską swadą zachwala przybłędom sztuczki naszych ladacznic, oczywiście kiedy już skończy bełkotać o smoku.

Pod rozpalonym letnim słońcem dni niepostrzeżenie przelewają się w tygodnie, widmowe cielsko nieistniejącego gada oplata tych grackich żołnierzyków, którzy nie przeczuwając niebezpieczeństwa, rechoczą ze wzgardą nad opowieścią żebraka, chociaż uścisk jego słów jest jak najbardziej prawdziwy, lecz czas zaczyna z wolna wzbierać trwogą, kupieckie konwoje zamierają, nikt nie potrzebuje wełny, ani tym bardziej wapienia, a domokrażcy, mendykanci oraz pokutnicy od



świętego Dezyderiusza przynoszą wieści o wymordowanych klasztorach i spalonych miastach, nasi nieszczęśni majstrowie chyłkiem zakopują trzosi w ogrodach i wciskają klejnoty w szparę pod paleniskiem, co wprawdzie nie daje procentu, lecz banki w tych niepewnych czasach tracą na powabie, najcnotliwsze małżonki majstrów zaciskają kolana, żeby nie rodzić dzieci i nie sprowadzać ich na ten obmierzły padół, los bowiem nie poprzestaje na jednym nieszczęściu, skoro może ich przynieść więcej, i po pierwszej grozie spadają na nas świeższe wieści, nie, nie płaczemy po armiach, rozgromionych gdzieś w ciemnej, nierzeczywistej dali, nie, nas martwi nasze własne dziadostwo, nasi kmotrzy wieśniacy, którzy, rozkosznie podnieceni wieściami o cesarskiej czarnej armii mordującej książąt, podnieśli rejdach, domagając się chleba i świeckich trybunałów, a ich kuzyni pasterze z wysokich łąk, nieszczęśnicy o poczerniałych, obwisłych wargach morderców, batożą sługi patriarchy, kiedy ci, jak co roku, obchodzą letnie pastwiska, zbierając dziesięciny z jagniąt, i jakby tego im było mało, nasi domorośli buntownicy jawnie głoszą w karczmach i na jarmarkach, że powieszą każdego, kto okaże się księdzem, chociażby był ich własnym synem, na odpuszcie przy kapliczce Świętego Calogera spalili kukłę patriarchy, pokrzykując, że szkoda, że nie mogą tego zrobić z prawdziwym patriarchą, kasztelanem, a także z książętami i samym pontifeksem z Brionii wraz z jego prałatami, którzy są źródłem wszelkiego zła, co może nawet przypadło do gustu czcigodnemu męczennikowi, wszak sam też skwierczał na ruszcie, wskazując nam, niegodnym, drogę do świętości, która się niebezpiecznie przybliża, wieść bowiem niesie, że owczarze się zbroją i skupiają w bandy, nie gardząc towarzystwem smrodliwych heretyków, którzy bębnią w brzuchy własnych córek, płodząc półdemony o psich pyskach.

Ponadto krążą wieści, że na północnym trakcie widziano niedobitków Bianchich, dawno temu obdartych ze wszelkiego majątku i wypędzonych z miasta z powodu nikczemnej herezji dziesięciny, bo

wprawdzie mnisi nadal wypominają im wielką bezbożność, lecz przecież nie przegnano ich z powodu niedowiarstwa oraz utyskiwania na świętych, czyściec i odpusty, owszem, zapewne ten sztylet, którym Bianco ugodził dziadka naszego pana kasztelana, kiedy ten bogobojnie modlił się przed ołtarzem Świętego Calogera, też miał pewne znaczenie, ale w gruncie rzeczy poszło o prawo do leśnego wypasu i dziesięcinę z jagniąt, której nie płacili patriarsze, wedle starego obyczaju zmieniając ją na jałmużnę dla pustelni Świętego Arnona, przez co tamtejsi eremici także popadli w wielką niełaskę i rozpędzono ich na cztery wiatry, oraz o dziesięcinę z bydłat, której nie płacili wcale, a także o ich nieszczęsne majstrowanie przy wełnie i jedwabiu, ku wielkiej zgryzocie nadzorców cechów, którzy dotąd wyrzekają, że Bianchi oszukiwali na cłach, przyjmowali do pracy w warsztatach byle kogo i bogacili się na różne sposoby niezgodne z sumieniem i wiarą, oszukiwali na miarach, wystawiali weksle bez pokrycia, okrawali monety i pożyczali gotowiznę na lichwiarski procent, czym z wielką zatwardziałością serca doprowadzali bliźnich do ruiny, słowem, z nadzwyczajną zręcznością opróżniali sakiewki współobywateli, a wieść niesie, że na wygnaniu jeszcze mocniej obrośli w piórka i dzięki swoim bogactwom wkradli się w łaski cesarza Efraima i teraz powracają wziąć odwet za dawne krzywdy, z każdym dniem coraz ich więcej, a w każdym razie tak się teraz mówi, raptem Bianchi lęgną się w borsucznych jamach i lisich wykrotach, zaludniają zmurszałe górskie twierdze i niezamieszkane pustelnie, zwołują do pasterskich chat i odludnych sanktuariów krewnych oraz sprzymierzeńców, podjudzają do buntu zupełnie zwyczajnych rzezimieszków i zbiegłych poddanych, którzy łupią nie gorzej od zbójców i jeszcze większą wzbudzają grozę, i jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, właśnie z tych wszystkich strachów, przestroóg i pogłosek powstanie niebawem owa niecna plotka o buncie, który jakoby doprowadził do zagłady Città di Sant'Angelo, chociaż wierzcie mi,

przyczyna była zupełnie inna, co się okaże w dalszym biegu tej opowieści.

Po prawdzie ani knowania Bianchich, ani niepokoje wśród pastuchów nie są naszą sprawą, chociaż miło popatrzeć, jak majstrowie spokornieli, stali się uprzejmi i skłonni do jałmużny, zapraszają nas do swojego stołu i oto wieczerymy razem, jak to się działo w dawnych dobrych czasach, wszak wszyscy jesteśmy braćmi, mówią, my, zrodzeni z gościnnego łona Città di Sant'Angelo i z kroplą jej mleka przyschniętą pod powiekami na znak przymierza, musimy trzymać się razem, zwłaszcza teraz gdy ta zuchwała czereda ze wzgórz śmie jątrzyć, zbyt wiele zółci i gadania o podrzynaniu gardeł, więc teraz napijemy się wina, jeden dzbanek wystarczy, trunek jest cierpki jak błogosławieństwo dla nędzarzy, ale czegoż więcej oczekiwać po zeszłorocznym cienkuszku, utrzymanym w piwniczce chyba tylko na okoliczność odwiedzin braciszków od świętego Calogera, którzy mają tak przepastne bańdziochy, że wszystko zeżrą, gdyby mogli, ukąsiliby kamień, lecz oto zacny majster Urdino już się dźwiga ze stołka na znak, że wieczerza skończona, spieszenie przetykamy ostatnią łyżkę grochu, nic więcej nam się tutaj nie trafi, żaden poleć słoniny zawieszony w kominie do uwędzenia ani kawałek sera odłożony na półkę, nawet koszyczek z ułamkami chleba zebranyymi ze stołu gospodyni trzyma przez noc pod kluczem, bynajmniej jednak nie udamy się na spoczynek, jak czyni nasz gospodarz i jego małżonka, stara, swarliwa mała, która nieustannie pluje nabożnym jadem, nie, musimy jeszcze wysprzątać cały warsztat i omieść podwórze, wybrać nieczystości z latryny, napełnić koryta wodą i przynieść dREW do kuchni, podrzucić osiołkowi siana i wypełnić jeszcze z dziesięć spośród najplugawszych posług, których niegdyś imaly się ubogie dziewczęta, krzepkie, grubonogie oślice z okolicznych wiosek, posyłane na służbę do Città di Sant'Angelo, żeby nazbierały na posag, lecz w tych niespokojnych czasach wiele z nich w popłochu uciekło, przeczuwając nadchodzącą wojnę i grabież, inne zaś odesłano do domów, gdyż

w trwodze nasi dostojni majstrowie jeszcze bardziej niż zwykle zaciskają trzosa.

Przezorność jest bowiem cnotą, podobnie jak jej siostra oszczędność, więc w Città di Sant'Angelo od dawna szczeni się chleba dla uczniów i grosza dla czeladników, nocami śnią nam się baranie głowy i szyje, z których wyjadamy oczy, języki, policzki i mózgi, śnią się wnętrzności wołów, podroby, kopyta i słonina, słowem, wszystkie specjały, których nam się skąpi, majstrowie z księżą obludą przestrzegają nas, że musimy być wstrzemięźliwi w pokarmach i napojach, lecz nasza wstrzemięźliwość jest zwyczajną nędzą i darmo się dłużej łudzić, że któryś z nas zdoła się wykupić z terminu, kiedyś wystarczyło zapłacić pięć florenów, by zostać uznanym za swego i razem z majstrami zasiąść przy cechowym stole, lecz teraz musisz mieć nieruchomość w mieście, dom albo kawał winnicy, więc prędzej niebo wzbierze mlekiem, niż osiadziemy we własnych warsztatach, nawet wdowy już ich nie dziedziczą, jeśli która ma dziatki, trzech zacnych majstrów spośród wyższych w cechu bierze je, sieroty, w opiekę wraz z całym interesem, matce pozostawiając wycieranie nosów i pranie obsranych prześcieradeł, jeśli zaś babie nie poszczęściło się w macierzyńskim fachu, odsyła się ją precz z tą garścią maneli i cynowych garnków, które wniosła w posagu, a wszystko dla chwały prześwietnej Città di Sant'Angelo, nasi majstrowie przekonują, że na odchodnym Bianchi rzucili klątwę i odtąd się nam nie wiedzie, demony prześladują nas na jawie i we śnie i obracają wszystkie nasze wysiłki wniwecz, co oczywiście nie jest prawdą, ponieważ Città di Sant'Angelo zawdzięcza swoje bogactwa pracownikom kamieniołomów wydobywającym marmur, piaskowiec i wapień, rębaczom obrabiającym ciosy, kamieniarzom i murarzom układającym mury, gipsiarzom i robotnikom szykującym zaprawę, dekarzom, wyrobnikom i robotnikom od rusztowań, kowalom, ołownikom, a także rymarzom robiącym siodła, chomąta i uździenice, rzeźbiarzom, malarzom i układaczom posadzek, wozakom i flisakom,

a także całej rzeszy podręcznych, pomocników i czeladników, którzy wykonywali wszystkie brudne roboty w kamieniołomach, żwirowniach i na budowach w czasach, kiedy tutejszy kamień transportowano aż nad morze, a nasi mistrzowie wznosili katedry, warowne zamki i pałace, żeby ci wszyscy bałamutni książęta i prałaci mogli teraz w nich drzeć ze strachu przed czarną armią cesarza, ziemskie potęgi murszeją jednak znacznie szybciej niż mury, lecz nowych gmachów i kościołów też się dzisiaj nie wznosi, na ziemi zapanowała przebiegła chciwość i małoduszność, dlatego mamy teraz tylko pięciu szewców, mimo że pokolenie temu było ich ośmiu i dla wszystkich starczało roboty, oraz siedmiu garncarzy, choć starzy pamiętają, jak ledwo się mieścili przy swojej ulicy, warsztaty stały tak ciasno, że ich ściany wypuczały się od małych majstrzątek jak dynie, tak, moi dobrzy ludzie, zostało jedynie trzech rękawiczników, ośmiu krawców, dwóch mosiężników, trzech kowali, ale za to domostwa tych trzech szczęściarzy rozrastają się coraz bardziej – jeśli dziad któregoś trzymał dwóch czeladników, to on ma ich teraz dziesięciu, sami rozumiecie, kto ma, temu będzie dodane aż do nadmiaru, a biednemu zostanie zabrane także to, co ma, zabiorą mu nawet słowa i tańce, potyczki na kamienie na rogach ulic, karnawałowe ognie z chrustu i biesiady w naszym opactwie w Dole Wisielca, i wiedzcie, że połowa z tego tałatajstwa zaludniającego warsztaty i kramy nie należy do naszego bractwa ani nie praktykuje starożytnych obyczajów, nie, to pospolite nierozgarnięte pachyły o krzywych palcach i przygarbionych plecach, niewydarzone plemię zrodzone we włóczędze, oddane próżniactwu, żyjące z kradzieży i żebractwa, wielu takich wysiaduje od rana pod bramą albo obok cysterny, są ludźmi do wynajęcia, rzucą się na każdą robotę, jaką dostaną, wcale nie pijacy, zachwalają ich naganiacze, wytrwali i posłuszni jak psy, żaden nie ukąsi pańskiej ręki, o zmierzchu wpełzają do swych bud, gnieźdzą się za murem, tam gdzie kiedyś była winnica mistrza Getulia, nawet nie trzeba pamiętać ich imion, bo wszyscy są w swoim bydłectwie jednacy.

Jednakże dzisiejszy wieczór będzie spokojny i cichy, możecie zatem, cne panie i dziewczeczki, układać śliczne główki na puchowych poduszkach, podścielić się mężom i ulżyć im w lędźwiach, nie dbając o ich cuchnący oddech, wydęty bańdzioch i zaropiałe krosty na plecach, cóż, takie są niedogodności małżeńskiego stanu i doprawdy nie można na nie narzekać, więc zostawimy was w spokoju, zresztą całkiem miło popatrzeć, jak o poranku idziecie do kościoła w sukniach wyszywanych srebrnymi feretkami i z zawieszzeniami z pereł albo turkusów na szyi, potężna ochmistrzyni z czarnym wąsikiem na spoconej wardze toruje drogę, hojnie wymierzając kuksańce, z tyłu drepcze pacholik z parasolem od słońca albo małpką na misternym łańcuszku, bo zasobne panie namiętnie kochają zwierzątka, im osobliwsze, tym lepsze, ta nosi na ramieniu małpę, tamta pstrokatą papugę, inna znowu jaszczura, który zmienia barwę, kiedy padnie na niego światło, piastują je, tulą do piersi i obsypują czułością, a jaśnie kasztelanka hoduje śnieżnobiałego kota, każe taszczyć go za sobą na poduszce z czerwonego aksamitu, bydlę ma na szyi obróżkę wysadzaną rubinami i rubinowe kolczyki w uszach, czyż to nie jest obrazą w oczach Stwórcy, zresztą wiele innych głupich dzierlatek tak czyni, idąc za przykładem tej wszetecznej starej dziwki, poją papugi winem i podtykają małpom pod nos kasztany smażone w cukrze, podczas gdy my jemy groch zapijany zimną wodą z koryta, i nie tylko wielkie panie tak grzeszą, ale też pomniejsze łajdaczki, nawet córki rakarzy, sprzedających kocie skórki na serdaczki, kaftany oraz rękawice, a także księżę gospodynie, które powinny należeć do wszystkich, bo w ukryciu nocy żadna z nich nie jest uczciwą kobietą, z pewnością nie jest nią również Orsola od świętego Ermenegilda, dychawiczna stara szkapą, popatrzcie, kolana ma trupio sine od szorowania parafialnych podłóg, mówią, że zadusiła troje dzieci, wyslizgiwały się z jej brzucha gładko jak ryby, a ona wpychała im do gardeł kulki chleba ugniecionego z trupim woskiem i nawet nie zdążyły odetchnąć, zaiste musi być luźna w kroku, bo u świętego Ermenegilda

oprócz proboszcza siedzi trzech wikarych, Orsola obdarowuje ich wszystkich wedle wieku i godności, ale nam skąpiradło nie da się obłapić przy studni i pomacać po cyckach.

Dzisiaj jednak zasiedziała się, nieboraczka, w jakiejś okopconej kuchni, bo księżę ochmistrzynie mają zwyczaj się schodzić w takich miejscach, niby to wić wianki lub stroiki przed ołtarz, naprawdę zaś obmawiają swoich kochanków i podjudzają się do coraz straszniejszych wszeteczeństw – widzicie, jak się skrada pod murem? – bo trzeci dzwon już wybrzmiał i wszystkie uczciwe niewiasty powinny siedzieć za pięcioma żelaznymi zamkami w domach, tymczasem Orsola kłapie podszwami po bruku, płosząc kota uczującego w rynsztoku, wyciąga nogę z błotnistej kałuży, wyżej zadziera spódnice, przeklina mistrzów kamieniarzy, którzy mimo nakazów kasztelana nie rozpalają przed domami nocnych latarni, ale wciąż gracko posuwa się naprzód, zaprawdę, jeszcze parę chwil, a znajdzie się tuż pod ścianą gołębnika, na którego dachu rozkoszujemy się młodym winem, jak niewinne jagniątko pcha się w paszczę lwa, choć w gruncie rzeczy stara z niej owca, w nosie ma sztywne siwe włosy i wyszarpuje je co niedzielę przed sumą, w każdym razie tak mówiła malutka Felicia, którą przed odpustem najęto do pomocy w kuchni u świętego Ermenegilda, ale w nocy wszystkie koty są czarne i każda kobieta wystarczająco ponętna, ciągniemy losy, który pierwszy zarzuci jej na łeb spódnice, krztusząc się zdławionym śmiechem i przepychając łokciami, kiedy tak sobie drepcze, nie spodziewając się niczego, i wtedy właśnie dachówka strzela pod zezowatym Enrikiem, głupiec wychylił się zanadto, baba podrywa głowę i raptem widzi w górze nasze rozradowane mordy, inna by się przestraszyła, zaczęła piszczeć albo złorzeczyć, ale Orsola, czerstwa stara cholera, od razu zrywa się do biegu.

Ścigamy ją niespiesznie, szczując okrzykami, zupełnie jak nagania się zwierzynę, kiedy naszemu szlachetnemu kasztelanowi zachce się

polowania, wieśniacy z psami idą przodem i wypłaszają w kierunku sieci nadobne sarenki i zajęczki, żeby Mona Giulia mogła je zmienić w obramowanie jesiennego płaszcza albo pasek z kunsztowną sprzączką, podobno za młodu była z niej łowczyni śmigła i niezawodna jak sama kostucha, przechwalała się, że nigdy nie chybia z łuku, i nasi majstrowie, gdy się dobrze napiją, dotąd wspominają, jak serce ścisnęło im się z bolesnego nieomal zachwycenia, kiedy galopowała na swojej białej klaczy, zbyt szybko i zbyt śmiało, żeby to mogło potrwać dłużej, i istotnie, pewnego dnia coś się wydarzyło, choć nikt nie jest pewien co, może w pościgu za zwierzyną zapuściła się zbyt głęboko, może jeleni okazał się nagle wilkiem, może klacz zrzuciła ją na skraju obozowiska trędownych, dość, że przyniesiono ją do kasztelu jak nieżywą i przeminęła cała zima, zanim przyszła do siebie, i później już nigdy nie była taka sama, bo polowanie odmienia zarówno łowcę, jak i zwierzynę, a skoro o polowaniu mowa, Orsola wciąż pędzi przed siebie jak sarna, jest nieco przyciężka w kłębie, na łydkach rosochata, lecz z każdym krokiem objawia się w niej ta sarnia płochliwość i kruchość, ochmistrzynie już się nie kryje w cieniach, rozpaczliwie kołacze do mijanych domów, wali pięściami w okiennice, ale zewsząd osaczają ją nasze wrzaski i ktoś otworzyłby po ciemku takiej pijanej zgrai, to jak prosić się o nagłą śmierć, pozwalamy jednak babie biec dalej, co nam oszczędzi wiele zbędnej szamotaniny, doprawdy taka stara kura musi znać wiele sztuczek, wkrótce ubijemy ją sprawnie jak śmietaną na masło, tężejemy na tę myśl w portkach, co jest znakiem, że czas kończy gonitwę – i właśnie wtedy zza rogu wyłania się ront, rozpryskujemy się bez słowa i jedynie gruby Enrico z rozpędu wpada pomiędzy pacholków, podczas gdy Orsola zawisa na szyi rycerza dowodzącego oddziałem i zieję mu w twarz kwaśnym oddechem, wdzięczność miewa, doprawdy, wiele szpetnych twarzy, więc bądźcie pewni, że nocna straż nie puści jej płazem tej bezecnej wycieczki po umilknięciu dzwonów, i zapewne niebawem ujrzycie Orsolę przy pręgierzu, czasy są niespokojne i nie



można przymykać oczu na stare lubieżnice, co się włóczą w zakazanej ciemności.

Wiedzeni tym samym zmysłem, który ściąga szczury do porzuconego noworodka, odnajdujemy się niebawem za cysterną, źli i rozpaleni, oddawalibyśmy się chętnie zwyczajnej rozpuście, ale rozpusta kosztuje, a nas nie stać na dziwki spod Pękatego Wieprza, bo od przybycia najemników cenią się jak córki rajców, nerwowo mięsimy stopami bruk, podczas gdy noc kłęśnie i zapada się w sobie jak przerośnięte ciasto, zaraz jej wcale nie będzie, a dobrze przed świtem stara majstrowa, wstrętne, swarliwe babsko, którego nie ima się sen ani miłosierdzie, zacznie walić w dzwonek u bramy, wywlecze nas w szarzejący chłód w samych koszulinach, znów trzeba będzie biec, rozpalać ogień pod kotłami, lać wodę w koryta i znosić opał do pieca, okradnie nas z resztek wypoczynku, więc nie możemy zmitrężyć całej nocy, wypoczynek zaprawdę ma swoją cenę, i wtedy kędzierzawy Iacopo, który jest tak mały i chudy, że wciąż biorą go za ucznia, chwyta się rynny i zręcznie jak kot wdrapuje po murze aż do okienka na podstryszu, gdzie gniazdują stajenni patriarchy, wewnątrz jest ciemno i cicho, ale Iacopo zaczyna popiskiwać i skomleć tak rzewnie, jakby mu serce miało zaraz pęknąć, dajemy znaki, żeby przestał – cóż go znowu opętało? – chociaż trzeba przyznać, że ma prawdziwy talent do naśladowania zwierzęcych głosów, i jakież jest nasze zdziwienie, gdy okiennice rozwierają się z trzaskiem, wygląda zza nich wielki, nalany ryj Innocenza, nadzorcy stajen, który tak jest gorliwy w swoim zajęciu, że nie pozwala nam się zdrzemnąć w sianie ani tym bardziej sprowadzać tu panienek łatwej cnoty, choć sam miewa z nimi wiele do czynienia i zeszłego roku nieomal go powiesili, gdy wyszło na jaw, że wywabiał z przytułku co nadobniejsze sierotki, a potem słodkie dzierlatki wypływały u brodu, świecąc gołymi brzuchami, ale ostatecznie wszystko się rozeszło po kościach, tak jak zwykle się dzieje, kiedy ktoś próbuje zdybać na niegodziwości sługę patriarchy. Wciąż na wpół oślepiiony snem, Innocenzo nie widzi naszego

brata Iacopa, bo ten skulił się pod parapetem, wręcz wrył się grzbietem w mur, i pomiaukuje z cicha – i czemu się drzesz, cholero, żeby ci tak na kiszkach diabli grali! – i raptem Iacopo się podrywa, chwyta stajennego za gardło, z Innocenza jest tęgi pachół, wypasiony u patriarszego stołu, więc w pierwszej chwili nic się nie dzieje, nasz chuderlak wisi na nim całym ciężarem, cienkie łydki dyndają w powietrzu, cóż temu Iacopowi strzeliło do głowy? – rechoczemy, i nagle wałą się obaj w dół, między beczki pod oknem, robią wrzask i rumor, na szczęście Iacopo wciąż śpiewa po kocurzemu i miauczy, gdzieś dalej z trzaskiem rozwiera się okiennica, ktoś rzuca niecelnie nocnym naczyniem, a potem wszystko cichnie i nieruchomieje.

Stoimy kręgiem nad stajennym, któremu z ucha spływa strużka krwi, ale szczęśliwie zaczyna już przebierać paluchami po bruku i zaraz dojdzie do siebie, cóż by to była za przykra okoliczność i całkiem by nam pokrzyżowała szyki, gdyby przypadkiem znów napatoczył się ront, choć pewnie wciąż są zaprzątnięci starą Orsolą i jej lamentliwym błaganiem, żeby ten jeden jedyny raz puścili ją wolno, wszak ciemnica i pręgierz są przypisane do zwyczajnych latawic, służących, praczek i innej hołoty, nie godzi się tak obcesowo postępować z bogobojną niewiastą, zawodzi ochmistrzyni, tymczasem któryś z naszych kamratów pospiesznie szpuntuje Innocenza szmatą, wciska ją tak głęboko, że oczy wychodzą nieszczęśnikowi z orbit, choć może to bardziej ze strachu, bo właśnie w tej chwili nas rozpoznaje i chyba już wie, co się święci, pospiesznie wlecemy go do obórki, nie potrzeba nam teraz litościwych duszyczek o zbyt wrażliwych sercach, Oddo skręca ze słomy mitrę, robota bardzo sprawnie mu idzie, bo terminował u powroźnika, choć prawdę powiedziawszy, wąsaty z niego pachół i za stary do terminu, zeszęlej wiosny płucna duchota zadusiła mu majstra i starsi cechu opieczętowali warsztat i przegnali Oddona jak psa, nie dali mu nawet ołowianego cechowego znaku, żeby mógł poszukać szczęścia w innym mieście, podobno jego mistrz nie zapisał go w rejestrach, co jest gównem i prawda,

zarzeka się Oddo, który od tamtego czasu straszliwie podupadł, sypia za murem w winnicy świętej pamięci Getulia, która stoi opuszczona, bo czterej synowie gręplarza wolą pozwolić jej zmarnieć, niż obyczajnie podzielić się majątkiem po zmarłym, i okrada serowarów na targu, lecz wciąż się odgraża, że przyjdzie dzień, kiedy ukręci sznury nie tylko dla cechowych majstrów, ale i dla samego kasztelana z jego szpetną córką, od czegoś jednak trzeba zacząć, więc na razie nasadza mitrę na łeb Innocenza, śmiejemy się, ukontentowani, trzeba mu jeszcze przystrzyć bokobrody i czuprynkę, a potem oblec go w purpurową szmatę, w jaką w największe święta odziewa się nasz czcigodny duszpasterz, na szczęście jest wśród nas dosyć dzielnych wyrobników, żeby go wyszykować, zaprawdę będzie piękny niby pieczone prosię, kiedy zawisnie na rakarskiej kolumnie jako nasz podarunek dla patriarchy, wymazany smołą i własnym gównem, tak, popatrzcie sobie, panowie rzemieślnicy i wy, przekupki spieszące na targ z koszami pełnymi jajek oraz zieleniny, mamy dla was wieści od pobuntowanych pastuchów i ukłony od kacerskiego bractwa, które lada moment tu wróci, żeby wygarnąć wam dukaty ze szkatuł oraz kiełbasy z rynek, a potem sięgną dalej, po wszystko, co im zabrano, odbiorą to sobie z procentem, powetują długie lata nędzy i głodu, i wiecie co, mili mistrzowie?

Będziemy wówczas z nimi.







PÓJRZCIE ZATEM, jak się wspinamy, pobratani wspólnym mozołem i ochrzczeni kurzem, Mniszek trzy kroki z tyłu, skromnie, jak przystoi pomocnikowi, słyszeliście zapewne, że Guerino również nie wyruszył w mgłę sam, miał sługę, który dźwigał sakwy, rozpałał ogień oraz pokazywał drogę, potem zaś służył jako jego kapitan w kampaniach, obozowiskach, potyczkach i oblężeniach, by na końcu doprowadzić do jego upadku, ponieważ świat nie jest przychylny synom kołodziejów i młynarzy, zwłaszcza jeśli wyrosną zbyt bujnie i sięgną za wysoko, i zemsta pańska ściga ich krok za krokiem, za zwycięstwem nieuchronnie kroczy zdrada, i dla tej właśnie przyczyny zamiast wielkich grzeszników rządzą nami dzisiaj pomniejsze bestie, samolubne i nieskłonne do miłosierdzia jak smoki, lecz Mniszek nie wie o tym zbyt wiele, bo choćby wiek cały przewąchiwał wśród tych opowieści, które unoszą się nad Città di Sant'Angelo jak dymy z kominów, nigdy nie zostanie jednym z nas, i tak podoba mi się ta myśl, że tłukę kamrata po łydkach kijem, jeśli wysforuje się choćby o stopę przede mnie, bo nie myślcie sobie, że tak od razu przebaczyłem mu zdradę i skwapliwość, z jaką chce się teraz wkupić w mój triumf, nasze pobratanie jest jedynie ułudą, ponieważ bez względu na to, jak często Mniszek baraszkował na tutejszych polach, kradnąc w listopadowym chłodzie brukiew i na przednówku chwytając w sieć kuropatwy, każde przemierzone wzniesienie, każdy pagórek i turnia rozdzielają nas, tak, tak, moi zacni panowie, zagłębiamy się bowiem coraz dalej w moją własną krainę i ścieżki nieuchronnie popychają nas w trzewia Nebbii, a mgła jest obojętna na zamysły głupców, choć Mniszek nie chce w to uwierzyć, ostatecznie dlaczemne przestrogi miałyby się naraz okazać

prawdą? – wszak każda okolica hołubi swoje banialuki i chce się poczuć lepsza od innych, ale może w bajkach jest jakieś ziarno prawdy, dlatego wpatruje się we mnie z lepką przymilnością podrzutka, co zaprawdę trudno mieć mu za złe, bo życie przybłądy nigdzie nie jest łatwe, nawet w naszej słodkiej Città di Sant’Angelo.

W południe morzy nas sen, przyprawiony cierpkim winem, którego nie skąpi mi Mniszek, zresztą smok zapewne również się gdzieś zdrzemnął, napchawszy bebecz mięsem mlecznych jagniąt, bo słońce pali zaiste bezmiłosierdzie, kiedy układamy się pod samotnym klonem, pomiędzy korzeniami jest lisia jama i spływają na mnie lisie sny, płochliwe, podstępne majaki, w których piżmo wysubtelnia się w woń Mony Giulii, jej palce przesuwają się po mojej szyi ku zagłębieniu pod grdyką, gdzie bije źródło oddechu, paznokcie są twarde jak łuski i kaleczą skórę, ale nawet we śnie nie oczekuję, że będzie łagodna, och, odpłacę jej sowicie, kiedy powrócę z tej wyprawy, do której popchnęły mnie jej słowa, przecież wszyscy mamy w sobie coś z mgły, zupełnie jak smoki, nawet ona, jej kości są tak cienkie, że byle ptak zmiażdżyłby je dziobem, ale nie drozd, bo tutaj, w głębi fałszywego lisiego snu, wszystkie drozdy są martwe i nieme, kołyszają się nad nami, powiązane w snopek, i kiedy pada na mnie ich cień, jest tak przeraźliwie zimny, krzyczałeś przez sen, Mniszek szarpie mnie za ramię, rozcierając twarz po ciosie – nie pamiętam, kiedy go wymierzyłem.

Nie mogę dłużej odpoczywać ani nawet zwilżyć twarzy wodą, która zebrała się w wykrocie po porannym deszczu, muszę się stąd zbierać, wiać co prędzej, jeśli nie chcę skończyć jak zając, który zanadto miłował kapustę, zaciągam ciaśniej pas, żeby odpędzić tę mdłą, cielesną słabość, która mnie dosięgła nazbyt prędko, Nebbia piętrzy się przecież o dobre dwa dni stąd i dopiero tam, w parowach wydrażonych pomiędzy palcami góry, zalegają pierwsze pasma mgły, Mniszek drży, gdy tylko nieopatrznie zbłądzi wzrokiem w tamtym kierunku, już czuje na skórze

wiotką pajęczynę strachu, ale ja nie mam przecież powodów do obaw, góra mnie rozpozna, jak zostało niegdyś obiecane, ponieważ pochodzę z Città di Sant'Angelo, a jej synowie są strażnikami przymierza i nic się nie zmieniło – oprócz całego świata.

Później wspinaamy się mozolnie wśród wzgórz, porośniętych twardą, kolczastą szczecina, której nie tykają kozy ani dzikie osły, ścieżka również jest twarda, dobrze ubita piętami pielgrzymów, zmierzających do źródła Świątego Calogera na odpust albo odbywających pokutę za fałszywe świadectwo, bo męczennik osobliwymi łaskami darzy kłamców, może dlatego, że jego własny język ucięto i upieczono wraz z właścicielem na ruszcie, a następnie rzucono psom, choć może były to dzieci psiogłowców albo innych czartów, bo pies myśliwski jest zwierzęciem szlachetnym i nie ruszy byle czego, w każdym razie skruszeni grzesznicy przedreptali tę okolicę na wylot i nie sposób się tu zgubić, co wcale nie napełnia mnie zadowoleniem, bo możemy się na kogoś napatoczyć, i oto jakaż przykra niespodzianka, dostojni dobroczyńcy i fundatorzy tego cierpkiego wina, które nie kosztowało was więcej niż trzy miedziaki, spójrzcie, już trzy zakręty dalej siedzi ciotka Brigida, skurczona i przywędnięta pod palącym słońcem, trzyma się blisko nad ziemią, zapewne nie chce się zanadto oddalać od robactwa, które niebawem stoczy jej kości, przy kosturze ma zamotany ołowiany krążek na znak, że pielgrzymuje do kapliczki, ale dobrze wiem, iż dźwiga cudze przewinienia, natężyła się tak i trzusi, że mało jej grzbiet nie pęknie, podczas gdy tłusta mieszcza, która nędznym srebrnym asperem okupiła jej mordęgę, bez fatygi obnosi po ulicach Città di Sant'Angelo swoje trzy podbródki i bańdzioch krągły jak beczka, beztroska i uwolniona od grzechów, lecz co począć, ciotka Brigida para się tym zajęciem od dawna, lepiej nosić obce grzechy niż żebrnąć, powiada, objuczając się jak oślica cudzą niegodziwością, ot, teraz przysnęła na słonku, może zdołamy się przemknąć mimo, przezacna z niej kocica i nie strzyka naokoło śliną, ale każdemu wymsknie się

czasem zbędne słowo, a nie chcę, by wiedza o mojej górskiej eskapadzie zbyt wcześnie objawiła się panu kasztelanowi, więc idziemy tak cicho, żeby żaden kamień nie zagrzechotał pod podszwą, ciotka wciąż śpi, wsparła głowę o kostur, lecz zanim ją miniemy, rzucam jej jedno niepotrzebne spojrzenie, cóż, oczy zawsze wystawiają nas na pokusę, a ciotka Brigida ma rozszarpane gardło, krew jeszcze dobrze nie zastygła, w oczach, powleczonych żółtą starczą błoną, tężeje zdziwienie, ciekawe, czy cudze grzechy zostaną przy niej i będzie je teraz musiała dźwigać znacznie dłuższą i bardziej wyboistą ścieżką, ale kpię, żeby nie wydać się przed Mniszkiem z tkliwością, naprawdę dobra z niej była kobiecina, zeszłej zimy dała mi miskę bobu, kiedy leżałem w załomie muru, półżywy po pijaństwie, i lubiła, jak grałem na piszczałce najsprośniejsze piosenki, wesołość przystoi młodości, mówiła, i te wszystkie melodie dźwięczą mi w uszach, kiedy – nie bez ulgi, bo już wiem, co zwiastował chłód, który mnie wyrwał z drzemki – łagodnie opuszczam jej powieki.

Mniszek z niewinną miną rozciera w palcach grudkę ziemi, jest tłusta i powleczona złotawym śluzem.







\* IE TAK miało być, przyznajemy, ale któż mógł przewidzieć, że Draco akurat tamtej nocy przyśnie pod rakarską żerdzią, powiodło mu się z najemnikami, cały wieczór mamlił ich bajędami, ożłopał się cienkim winem jak bąk przypięty do księżego bebecha i bez cienia przestachu omsknął się w sen pośród psów, bo dużo ich zwykle czatuje przy kolumnach kary, licząc na soczysty ochłap, a o poranku, jakaż przykra niespodzianka, pachółkowie zdybali go, uśpionego słodko tuż obok Innocenza, który już niespiesznie przestygał, trzeba przyznać, że któryś z kamratów przyłożył się zanadto, przyżegając mu zadka, acz nasz czcigodny patriarcha powinien docenić tę przysługę, bo bardzo wiele jego grzechów zniknęło wraz z Innocenzem na zawsze, ale liczyć na księżą wdzięczność to jak oczekiwać od kury śpiewu, więc właściwie się nie dziwimy, kiedy z Duomo wypada dwudziestu pachółków w barwach patriarchy i biczami rozpędzają gawieź, bo zdążyło się zbiec z pół miasta, nieczęsto wszak ogląda się łotrzyka z wylupionymi oczami i w patriarszej mitrze, nieco okrutna sztuczka, przyznajemy, ale jak już mówiliśmy, nie cierpiał całkiem niezasłużenie, czego nie można powiedzieć o wielu innych, których poturbowano tamtego ranka, żeby choć odrobinę przejednać patriarchę, ten bowiem miota się i sierdzi, zupełnie jakby to jemu, a nie Innocenzowi, wsadzono w zadek pół łokcia rozżarzonego pręta, tak, musi czuć tamtego dnia gorąco między pośladkami, bo trzy dni nie pokazuje się w Duomo, kasztelan posyła własnego cyrulika, żeby mu puścił krew.

Zatem nieszczęsny Draco gnije w wieży, chociaż wszyscy bardzo dobrze wiemy, że nie powaliłby Innocenza, który był chłopem mocarnym i żernym, o przepastnym brzuszysku i grubej szyi, Draco mógłby go

swoją jedyną ręką najwyżej wylechtać, ale jakie ma to znaczenie, teraz, gdy kacerze puścili z dymem dwa kościoły mnichów od świętego Amandusa w Nori, mateczniku naszego patriarchy, doprawdy sprawili się gracko, nie szczędząc poświęconych chorągwi, obrazów i cudownych relikwii, i podchodzą coraz bliżej Città di Sant'Angelo, czemu oczywiście winne są zamęt i wzburzenie umysłów przywleczone przez zbiegów, a przynajmniej patriarcha z kasztelanem pospołu dokładają starań, żeby w to uwierzyć, musicie zrozumieć ich zakłopotanie, przecież nigdy wcześniej nie mieliśmy tu podobnych niesnasek, czeladnicy szanowali mistrzów, nie nakładano bezprawnych podatków ani nie zbierano dziesięcin w rok pomoru i suszy, biedacy zanosili modły za bogaczy, wielmoże rozdawali swój majątek pomiędzy sieroty i wdowy i ocierali łzy ubogich, dalibóg, owca układała się na posłaniu obok wilka, a potem pojawili się ci podli najemnicy i wszystko popsuli, toteż czyż nie jest sprawiedliwe, że Draco pocierpi w ich imieniu, skoro tylko on jeden skorzystał na ich przybyciu?

Jednoręki siedzi zatem w dole i przysparza nam niegodziwej uciechy, gdy o najprzedziwniejszych porach wyrzaskuje swoje zasługi i pretensje, bo rozdzielono go z ukochaną Principessą, a wszak tylko ona ochrania go przed smoczym jadem, więc potrzebuje jej, zwłaszcza teraz, gdy smok nawiedza go w ciemnicy każdej nocy jak, nie przymierzając, świętą Fortunatę, w każdym razie tyle da się wywnioskować, kiedy skowyczy po nocy, zapewne udręczony pragnieniem, bo pachołkowie, owszem, zaopatrują więźniów w trunki, ale nie czynią tego bynajmniej z miłosierdzia, i gdyby człowiek posiadał tyle złota, ile wypierdzi, Draco byłby najbogatszym z ludzi, na razie jednak ma tyle, ile na grzbiecie, więc przesycha z pragnienia, co z pewnością dopomoże jego grzesznej duszy, ciało nikczemne też jednak dusi o swoje i czyni to z takim jazgotem, że pachołkowie już nie raz i nie dwa porachowali mu kości, oczywiście z umiarem, żeby się dobrze zaprezentował na szubienicy, wszak takiego końca wszyscy oczekujemy, ale na razie przychodzimy do

wieży, trzeba nawiedzać grzeszników i utwierdzać ich w wierze, więc stajemy przy zakratowanym okienku i plujemy z góry na Draca, a czasami tryskamy na niego także innym sokiem ku uciechu oprawców, czarna suka wyje, póki nie odpędzimy jej kamieniami, ale trzyma się nieopodal, zajadła z niej bydłę, zdążyła pogryźć dwóch pacholków, więc podejmujemy się ją ukatrupić za dwa srebrne aspery, lecz oprawcy to skąpe ścierwa, woła hycła, który otrzymuje zapłatę z miejskiej kasy, no, przekonamy się niebawem, jak na tym wyjdziecie, rakarz moczymorda chętnie tropi tylko świnie, które zbiegły z mieszczańskich zagródek i chlewików, wałęsają się po ulicach naszej starożytnej Città di Sant'Angelo, onegdaj dwie zapędziły się na dziedziniec kasztelu w tym samym czasie, kiedy dostojna Mona Giulia wyprawiała się na konną wycieczkę, pacholkiwie z godzinę ganiłi je potem po murach, i zdążyły się jeszcze wytarzać w świeżo bielonym praniu, ich właściciel, mistrz Nevio, warzelnik, musiał zapłacić srogą grzywnę za straty oraz dwa gigliati wykupnego, bo każda taka odłowiona świnia stanowi czysty zysk dla rakarza i jego pomocników, więc nie będą sobie zaprzętały głowy starą suką, za którą nikt nie zapłaci, zwłaszcza że i oni miewają porachunki z więziennymi oprawcami.

Z rozczarowania obrzucamy Draca przegniłą brukwią, nawet nie całkiem po złości, bo znajdzie na niej jeszcze parę zdrowych kęsów, a nie chcielibyśmy doprawdy, żeby sześć przed czasem z głodu i pozbawił nas w ten sposób zasłużonego widowiska na szubienicy, potem zamierzamy iść swoją drogą, tylko mały Iacopo droczy się jeszcze i ociąga, ta historia z Innocenzem nieźle mu podbiła bębenka, rozumiecie, nie jest dobrze, gdy ludzie raptownie wyrastają ponad swoją miarę, i może wkrótce będzie trzeba przytrzeć mu rogów, coś nowego bowiem pojawiło się w jego rechocie, jakaś obłudna chępliwość, w tej chwili usiłuje dźgnąć Draca naostrzonym kijem, ale jednoręki wie, że z góry nie da się go dosięgnąć, więc czyni obsceniczne gesty, kpiąc z męskości Iacopa, i wywodzi kwieciście, co starzy tkacze zwykli robić swoim uczniom, żeby

ci za prędko nie rośli, i jak gracko obracać pod pierzyną wrzeczono, śmiejemy się do rozpuku, chociaż nasz chuderlawy kamrat nie bawi się za dobrze, zwłaszcza że nieszczęśnik ma i tę przywarę, że kiedy się zezłości, słowa więzną mu w gardle, dlatego zamiast coś sprawnie odpalić, jąka się tylko i ślini z wysiłku, co wzmacnia naszą wesołość, i oto Iacopo już płacze, naprawdę dzieciuch z niego, ale zapamiętały w gniewie, bo nim ktokolwiek zdoła go powstrzymać, przypada do żelaznego kotła, w którym oprawcy warzą strawę, jest wczesny ranek, więc zaledwie kilka wołowych kości bulgocze smętnie na dnie i nigdy już nie spoufała się z fasolą, albowiem Iacopo podrywa gar znad ognia, zupełnie jakby mu w tym dopomagała nieczysta siła, po czym chlusta wrzątkiem w dół, na Draca, i teraz już naprawdę musimy zmykać, oprawcy nie puszcza nam płazem straty, mimo że po prawdzie powinni rozdzielić jadło między więźniów, i trudno kryć, że przynajmniej poczciwy stary Draco dostał swoją porcję.

Wieczorem kręcimy się przy warsztatach masarskich, skąd udaje nam się zwędzić pasztet i dwie kiełbasy we flaku, ktoś przynosi bochen świeżego pszennego chleba, bo majstrowie najchętniej raczą nas chlebem z prosa, ktoś inny – garniec piwa, a potem biesiadujemy przy pochodniach, wcale się nie kryjąc, zresztą nawet wcześniej pacholki nie zapuszczali się do Dołu Wisielca, więc tym bardziej nie zrobią tego teraz, kiedy nocami na Cresta di Rospo płoną strażnicze ognie, przestrzegając o zbliżającej się armii, a wzgórze wokół Città di Sant'Angelo nabrzmiewają ropą jak rana i niebawem trysną im w twarz buntem, dalibóg, cóż to będzie za pocieszny dzień, kiedy zrewoltowani chłopci podejną pod mury, łatanie teraz w desperackim pośpiechu na rozkaz kasztelana, zawezwano wszystkich kamieniarzy, i tych krzeszących kamień, i tych, co go ciosają, wyrobnicy znów chodzą w kołowrotach jak woły, ciągnąc w górę ciosy, ceglarze całymi nocami wypalają cegły, wapniarze mieszają zaprawę, cieśle tną i piłują z zapamiętaniem i wszyscy z dumą obnosimy kaftany upaprane

wapnem na znak naszego patriotycznego zapału, nie szczędzimy potu ani znoju, majstrowie dobrowolnie opodatkowali się dla wzmocnienia obronności miasta, miłośnicy kasztelanie, jeśli będzie trzeba, spoimy te odporne kamulce choćby własną krwią i pozatykamy dziury główkami naszych dzieci, ale naprawdę mistrzów przejmuje strach, lodowaty lęk, który wzbiera głęboko w krzyżu i pełźnie przez kości, odbierając sen, apetyt na salceson i alkowiane radości, choć w tych ostatecznie możemy ich wyręczyć, rechoczemy serdecznie, skądś pojawiają się kolejne bukłaki wina, pijemy, aż bulgocze w bebeczach i przelewa się nam nosem, mały Iacopo czka, że mało mu nie rozedrze piersi, co nikogo nie dziwi, bo tkacze często są dychawiczni, poklepujemy go życzliwie po plecach, niechże się niebożę napije, oparzelinowe bąble popękały mu na rękach, więc owinał rany szmatami, ale jutro rzecz się wyda i jeśli nie siądzie do warsztatu, majster przegna go precz, jest wyschłym bogobojnym skurwysynem z wersetami prawości wypisanymi na czole, więc nie wątpcie, że pozbędzie się darmozjada, choćby wszystkie hordy piekła wyły mu pod murami Città di Sant'Angelo.

Cisza! To moja opowieść i tak, będziecie słuchali o czeladniku tkackim Iacopie, póki nie powiem, że dosyć, bo to nie żołnierze Efraima zamordowali Città di Sant'Angelo i nie smoki strawiły ją piekielnym ogniem, tylko samolubność, chciwość i pycha, i nie, nie opowiem wam o buncie, w który tak bardzo pragnęlibyście uwierzyć, bo teraz opiewam gniew małego, chudego Iacopa, który znowu przypina się do dzbana, pozwólcie mu nasycić pragnienie, bo to jego trumienny poczęstunek, jest z niego zacny kamrat i czeladnik, więc słowo „umiarkowanie” drapie mu gardło jak diabelskie widły, ale co za dużo, to niezdrowo, i kiedy zaczyna rzygać nam po kostkach, wypychamy go kopniakami z szopy, Iacopo przeklina i łomocze w drzwi, żeby go wpuścić z powrotem, koty parzą się z potępieńczym miauczeniem na murkach okalających stare winnice i osioł ryczy szyderczo z obórki ukrytej pomiędzy zdziczałymi kasztanami, ale puszczamy cały ten jazgot mimo uszu, dmiemy

w piszczałki i dudy, wygrywamy łyżkami wściekle staccato na blatach, tańczymy, wycinając dzikie hołubce, wrzawa zaraz rozsądzi dach, okładamy się pięściami, już idzie posoka z nosów, nadszczerbiają się zęby, zaraz ruszymy w miasto, spłodzimy mnóstwo najduszków, pogruchoczemy kramy, podpalimy domy jurystów i wywlecziemy świeżych truposzów z grobów, żeby ich podrzucić pod okno naszej lubej kasztelanki, jesteśmy pełni zapału i chęci, jesteśmy łowną zwierzyną piekieł, choć lubimy tylko zwyczajny, staroświecki grzech i nic nas nie obchodzi heretyckie ciągotki Bianchich, mimo to zgadzamy się z nimi, że wszyscy prałaci i mnisi są jak tłuste wieprze, siedzą w swoich pozłacanych karmnikach, płodząc zbytki i rozpustę, nie przejmują nas grozą nawet ta nowa ultramontańska herezja, która wlecze się razem z wojskiem cesarza Efraima, bo właściwie nic dziwnego, że Stwórca dochował się syna, skoro byle klecha miewa ich półtuzin, ponoć lubi się włóczyć po świecie i biesiadować z weselnikami, więc wypijemy i jego zdrowie, na rozmiękczonych nogach wytaczamy się w rzeźkość nocy, co nas wcale nie cuci, niski, obrzmiały księżyc omywa wszystko trupim światłem i zaprawdę będzie tej nocy posługaczem nieboszczyków, również takich całkiem świeżych, bo raptem słyszemy beczenie, jakby szlachtowano kozła, i to nasz Iacopo tak lamentuje, a w jego głosie pobrzmiwa coś zupełnie niepijackiego, więc my też na gwałt trzeźwiejemy, tego czy innego zdejmujemy chęć, żeby solidnie wygrzmocić Iacopa za przerwana zabawę, ale kiedy tak patrzymy, jak leży pośrodku rozdeptanego błota, sownie skrapiając je krwią z rozszarpanego gardła, dochodzimy do wniosku, że raczej nie będziemy już mieli po temu okazji, zaiste, cóż za strata, wesoły był z niego kompan, skłonny do wszelkiej swawoli, po prawdzie nie wyzionął jeszcze ducha, czepia się tego świata z rozpaczliwym uporem nędzarzy, którzy nawet zawczasu zrozumiałwszy, że przegrali, nie potrafią ustąpić, to naprawdę przykre widowisko, niby przywykliśmy do śmierci, mistrz Ursmaro nie ustaje w wysiłkach, byśmy o niej pamiętali, jednak jakoś nieswojo, kiedy

umiera jeden z naszych, ukatrupili go nieomal na progu naszego konwentu i jest w tym, przyznaję szczerze, niemała obelga, więc nachylamy się nad tym nieszczęsnym zdechlakiem, niepewni, czy chcemy go utulić przed śmiercią, czy wydusić z niego dech, spaskudził taki piękny wieczór, z przykrości aż nas kłuje w piersiach, nie mógł sobie rzygać na progu?

Bo Iacopo wcale nie ucierpiał od sztyletu, co zasmuciłoby nasze czułe serca, lecz przecież zdarza się wystarczająco często, żebyśmy nie poświęcali temu wiele uwagi, nie, Iacopo nie podstawił się żadnemu zdesperowanemu nożownikowi ani wiejskiemu rzezimieszkowi, nieświadomemu, że zawędrował do siedziby złodziejskiego bractwa, a my mamy zwyczaj mścić swoich, zrozumcie, proszę, tę irytację, gdyż nasz drogi Iacopo ma rozszarpane gardło, Iacopo ma pokąsaną pierś, z rozerwanego brzucha Iacopa wnętrzności wyslizgują się jak pęk okrwawionych powrozów, wszystko to nieprzyjemnie napawa lękiem, ktoś łka za naszymi plecami i wzywa Stwórcę, chociaż ten nie zapuszcza się do Dołu Wisielca i wierzcie, nie pośle tutaj też swojego Syna, bo i czegoż miałby tu, do cholery, szukać, Iacopo tymczasem porusza wargami, naprawdę zawzięty z niego nieborak, pochylamy się jeszcze niżej, żeby nie uronić ani słowa, nic innego nie da się dla niego zrobić, chyba już nas nie widzi, ale poświstuje ohydnie z piersi, śmierć nie powinna się ciągnąć tak długo, Iacopo jeszcze raz próbuje przemówić i tym razem, o dziwo, nawet mu się udaje.

Suka... szepcze i widzimy, że na policzku ma jeszcze jedno ukąszenie, ślad zębów, delikatny jak pocałunek, jesteśmy pewni, że zostawiła go kobieta, a potem przychodzą nam na myśl wszystkie diabelstwa, które lęgną się we mgle, może jednak w przestrogach patriarchy kryje się odrobina prawdy, może rzeczywiście z armią Efraima idą czarownicy, którzy uwalniają wszystkie monstra i demony, żeby mogły nas gryźć i kąsać, a my pokpiliśmy sprawę, zamiast tropić więdźmy i Urodzonych,

a także stronników Bianchich, którzy, jak wiadomo, są za pan brat ze wszelkim diabelstwem, bo musicie wiedzieć, moi dobrodzieje, że w tamtych dniach wielu cnych mieszczan z zapamiętaniem wyszukuje sługi czarta, a ich zapał wzmaga jeszcze nagroda wyznaczona przez patriarchę za każdego zadenuncjowanego heretyka, do niedawna i święci, i demony siedzieli spokojnie na ołtarzach, a teraz za przyczyną tego wojennego zamieszania znów nieprzyjemnie rozpełzli się po świecie, kręcą się i bzyczą jak muchy nad truchłem, my zaś sami już nie jesteśmy pewni, w co wierzyć, w każdym razie świat wydaje się tej nocy jakoś paskudnie nieprzystępny, nasi majstrowie chrapią na miękkich siennikach i poduszkach z gęsiego puchu, ich młode żonki śpią słodko, każda przytulona do męzowskiego ramienia, podczas gdy coś, obojętne człowiek, zwierz czy demon, wlaźło nieproszone do naszej siedziby i zagryzło Iacopa pod samym węglem konwentu, prędzej zdechniemy, niż puścimy to płazem, z rozkoszą wybebeszemy samą Monę Giulię, jeśli zawiniła, chociaż właściwie nie jesteśmy pewni, czy myślimy w tamtej chwili o zemście, czy też przypominamy sobie o niej później, a wówczas jedynie wybałuszamy oczy, podczas gdy Iacopo zachłannie bierze swój ostatni oddech i odcisk na jego policzku rozdyma się w łapczywe małe usteczka, jest w tym coś nieopisanie plugawego, i nie zapominajcie, mili słuchacze, o ranie w jego gardle, suka... powtarza Iacopo, nim wyzionie ducha, a kiedy wreszcie kończy, dostrzegamy coś jeszcze, zaiste starczy już tych odkryć, więc usiłujemy sobie wmówić, że to tylko strzęp szmaty umazany błotem, ale nie, truposz ściska w ręku długie pasmo kruczych włosów.

Następnego ranka nikt już nie pamięta o tkackim czeladniku Iacopie, tak samo jak wy zapomnicie o jego istnieniu, gdy tylko opróżnicie kubki i wstaniecie od stołu, mistrz wyrzuca skrzynkę z jego skąpym dobytkiem ze stryszku, podszytego wiatrem, gdzie nasz cherlak sypiał razem z dwoma podobnymi do niego nieszczęśnikami, i dzieje się to tuż po tym, jak rozbrzmiewają dzwonki przy warsztatach, oznajmiające



początek naszego codziennego znoju, lecz przecież nie o zgonie Iacopa rozprawia się nad krosnami i przy kowalskich miechach, nie, tego dnia dzieje się jeszcze coś innego, któż by teraz dumiał nad Iacopem, skoro nasza najświetniejsza kasztelanka tuż po jutrzni wyłania się z zamkowych komnat i każe się nieść w lektyce prosto do wieży, w ogóle się z tym nie kryjąc, pacholankowie mistrza oprawcy mało nie zatchną się ze zdziwienia, kiedy się im objawia w jedwabnej sukni, co doprawdy nie przystoi takiej starej prukwie, i ze sznurami pereł upiętymi na kunsztownej fryzurze, chociaż powiadają, że to robota mistrza perukarza, spleciona z włosów bogobojnych mniszek, zamyka się je w najgłębszych czeluściach klasztoru, żeby nie zdradziły sekretu kasztelanki, bo tak naprawdę jest łysa jak kolano, sparciałej starej małpie nie pozostał na łbie ani jeden włos, ale z daleka nie da się tego rozpoznać, czasami się podjudzamy, żeby któryś przyskoczył i szarpnął ją za perukę, lechczemy się mile tą myślą, ale oczywiście nie dopuszczają nas bliżej, podczas gdy oprawcy mają ją na wyciągnięcie ręki, kiedy żąda, żeby uwolnili Draca, i to już, natychmiast, nie rozumie, dlaczego odmykanie kłódek trwa tak długo, z dołu bucha smrodem, służąca podaje jej chusteczkę nasączoną wonnym olejkiem, cóż, jaśnie pani chyba się nie spodziewała, że loch zakwitnie różami specjalnie na jej powitanie, jak się niegdyś przydarzyło świętej Fortunacie, lecz od tamtych wypadków minęło już trochę czasu, tymczasem słudzy oprawcy przepraszają czołobitnie, w duchu już rachując na żebrach siłę razów, które niezawodnie na nich spadną, bo żyjąc tak blisko pańskiej sprawiedliwości, wręcz jedząc pokornie z jej ręki, wiedzą, że ma ona również ostre zęby i lubi je ścierać o cudze grzbiety, nie musieliście się aż tutaj fatygować, łaskawa pani, mamrocze najważniejszy nadzorca, ten najtęższy w kłębie, wystarczyło po nas posłać, a wtedy czcigodna Mona Giulia, ta uszminkowana stara raszpla, która nosi na sobie więcej farby niż niejeden pacykarz w skrzynce, wymierza mu policzek tylko za

to, że się ośmielił odezwać niepytany, i cedzi przez zęby: on kiedyś wybrał się dla mnie w dłuższą drogę.

Rozumiecie zatem, że natychmiast zapominamy zarówno o Iacopie, jak i o pochodzie cesarza Efraima, bo całe miasto szumi tylko o tym, że nasza nadobna kasztelanka postanowiła celebrować miłosierdzie, do czego nie ma, trzeba przyznać, przesadnej skłonności, zresztą w ogóle nie miesza się w sprawy Città di Sant'Angelo, odkąd powróciła tu jako wdowa, acz niektórzy powiadają, że małżonek zwyczajnie ją przegnał z powodu bezpłodności i wybuchów jałowego gniewu, nie dała mu ani jednej marnej córki, chociaż z kurtyzan miał ponoć sześciu synów, więc po cóż hodować niepłodną sekutnicę, w każdym razie Mona Giulia powróciła do ojca, z początku kryła się po kątach jak wyskubana kura, ale teraz znowu nosi się hardo i wcale nie we wdowim welonie, ojcowskie złoto przepływa jej przez palce, i to bynajmniej nie rozdzielane na jałmużnę, tylko wydawane na suknie, klejnoty, konie, powozy, jedwabne obicia i nieobyczajne malowidła, a tu dzisiaj taka nieoczekiwana łaskawość, i to komu okazana? – bo przecież nie żadnemu dzielnemu wyrobnikowi, nie ubogiej panience, której niedostatek wiana przeszkadza w uczciwym zamążpójściu, nie dłużnikowi, którego majątek licytują na rynku, słowem, języki w mieście rozkręciły się niby młyńskie koła, doprawdy, nie było w Città di Sant'Angelo takiego podniecenia, odkąd napuściliśmy pcheł do poduszek, na których bractwo Świętego Arnona nosi swoje najświętsze relikwie, a one zaczęły skakać i kasać w środku procesji, kiedy wszystkie cechy maszerowały uroczyście w najwytworniejszych szatach, nie żebyśmy kochali Bianchich, ale odkąd ich wypędzono, nie da się już popatrzeć na zacząć bijatykę, a ponoć wprzód nawet pękaci mistrzowie i rajcy brali się za łby o męki dusz potępionych i błogosławieństwa świętych jak, nie przymierzając, dziady pod kościołem, opowiadano nam, że kiedyś dwóch majstrów piekarskich utopiło się w kanale, a żaden nie oderwał rąk od szyi drugiego i wciąż bezbożnie szepieni, wypłynęli następnego

dnia pod klasztorem świątobliwych pańienek od świętej Prudencji, ale tamta pocieszna awanturka wydarzyła się dawno temu i od nieustannego opowiadania wyschła jak gnat na słońcu, więc, co tu dużo gadać, potrzebujemy świeżej, tłustej plotki, która oderwie nasze myśli od wojny i pobuntowanego chłopstwa, a tajemnicza wyprawa kasztelanki do miejskiego więzienia wyśmienicie się do tego nadaje, zaraz zaczynamy dociekać, dlaczego Mona Giulia postanowiła się wstawić właśnie za Drakiem, a może obdarzała go również innymi łaskami? – opasłe, grubonogie przekupki, które handlują zieleniną pod klasztorem Świętego Gryfona, zanoszą się sprośnym rechotem, majstrowie uśmiechają się półgębkiem i są znacznie bardziej powściągliwi, ale ich także cieszy nieoczekiwane spospolicenie szlachcianki, od dawna rozpoznawaliśmy w jej oczach skłonność do kurestwa, ani chybi wymyka się z kasztelu pod osłoną nocy i wyciera tyłkiem wszystkie barłogi w mieście, wszak wiemy dobrze, że ciągnie ją do smrodu, do nędzy, do zgniętego mięsa, i zanim dzwon wyśpiewuje do końca nieszpory, Draco zostaje jej kochankiem, przecież tylko dzięki jej opiece może swobodnie szczebrać po placach, skoro innych za głupstwa wtrącano do ciemnicy, żeby gnili o chlebie i wodzie, szaleństwo nie jest żadną wymówką, zresztą kiedyś był ponoć zupełnie normalny i z pewnością żądza wypaliła mu umysł, bo czyż nie widywaliśmy ich, szczepionych jak psy, w załomach klasztornej muru albo pomiędzy składami cechu wełny, oczywiście wiemy, że to nieprawda, ale nie mamy nic przeciwko socystemu kłamstwu i wierzcie, was również zwiedziemy, gdy tylko nadarzy się okazja, ta historia jest zaprawdę zbyt słodka, rozplywa się na języku jak miód, i czyż można skącić sobie odrobiny radości w tych ponurych czasach?

I właśnie wtedy, kiedy wszystkie brzuchy trzęsą się ze śmiechu, a lubieżne żarty przyspieszają bieg krwi, grucha wieść, że Bianchi naprawdę przystali do czarnej armii cesarza Efraima, chyłkiem przeprowadzili ją Passo dei Pastori, ominąwszy niepostrzeżenie naszych

panów, którzy szykowali obronę w Valle dei Fiamme, i razem nieomal podchodzą pod mury miasta.





TEDY JESZCZE niczego się nie spodziewam, wam również ani postanie we łbach, w jaką stronę się ta wędrówka obróci, i nic w tym dziwnego, ponieważ pod powierzchnią każdej opowieści kryją się niebezpieczne wiry, nawet smok, którego pokonała święta Fortunata, ma na witrażu w Duomo słodką twarz młodzieńca i owija się wokół świętej węzowym ogonem, zupełnie jakby chciał pić jej oddech, i nigdy nie wiadomo, jak się to wszystko skończy, dlatego patrzcie uważnie, bo prawda stoi otworem dla wszystkich, i wszak to dla was wspinamy się z Mniszkiem w krystalicznym górskim powietrzu, wystawieni na żer cudzych oczu, półprzezroczyste postaci z barwnych szybek, i nawet krew nie jest prawdziwa, chociaż wtedy, na zboczu Nebbii, wydaje się niemal czarna i wżera się w kamień jak kwas.

Pasterze siedzą przed wejściem do chaty, niby nie wolno im budować bacówek tak wysoko i pod okrywą mgły, żeby nie zatajali przed poborcami świeżo narodzonych jagniąt, owczego runa i serów, ale nieustannie tak robią, nie przynoszą też ziarna do miejskich młynów, po staremu mielą w żarnach, jawnie kpiąc z nakazów kasztelana, przecie nie zataszczy aż tutaj pękatego brzucha, mówią, bo dla ludzi z gór wszyscy panowie są krągli jak pączki i ociekają tłuszczem, choć akurat nasz kasztelan jest cieńszy od suszonego sztokfiszka i kiedy kroczy ulicami Città di Sant'Angelo, a spod jego tuniki przezierają koślawe golenie, wygląda jak ostatni kutwa, którym zresztą jest, tłoczy grosiwo, skąd może, śmiejemy się, że kręci korbą jak prawdziwy kołodziej, ma w żyłach taką samą zachłanną łapczywość, jaka wygnała Guerina w mgłę i pozwoliła mu powrócić, a potem zostać najślynniejszym z kondotierów, zawładnąć tuzinami białych miast i schwycić za gardła czarodziejów,

którzy, powiadają, w tamtych mrocznych czasach byli potężni jak prałaci i każdy trzymał w sakwie tuzin demonów, żeby mu służyły, wznosiły wieże sięgające nieba i wskazywały skarby zakopane w ziemi, chociaż krew Guerina, jak mi się zdaje, musiała się przez pokolenia ogromnie rozcieńczyć, bo nasz dobry pan ani myśli mierzyć się z czynami przodka i tropić ślady demonów na zboczach Nebbii, nie, nasz kasztelan chce jedynie spokoju w mieście, oliwy pachnącej truflami, szynki, przepiórczego pasztetu, dojrzałych fig, a potem wystarczająco dużo wina, żeby mógł usnąć błogo w cieniu cyprysów, i niekiedy jeszcze uciesznej zwady z patriarchą, ale im bardziej się człek oddali od miasta, tym bardziej wietrzeją takie kunsztowne drwiny – kiedyś nazwał patriarchę knurem Jedynego Boga i zaprawdę za samo to piękne bluźnierstwo wybaczyłem mu niejedno spotkanie z biczem przy pręgierzu – płowieją szaty i pleśnieje ziarno, które kazał wydawać ze spichrzy w roku żółtej zarazy, kiedy każda rodzina w Città di Sant'Angelo zapłacała śmiertelny podatek od mieszczańskich dostatków i wspaniałości, lecz pastercy nędzarze nie mają o tym pojęcia, ponieważ nic ich nie trzyma na miejscu, codziennie mogą ruszyć dalej, każda góra jest wystarczająco dobra, jeśli tylko znajdą dość trawy dla owiec i czysty strumień, podczas gdy my jesteśmy przywiązani do naszych domów i dźwigamy je ze sobą zupełnie jak ślimak taszczy skorupę, a kasztelan niesie całe miasto, lecz cóż mogą o tym wiedzieć ci cuchnący postrzygacze owiec, którzy widzą w kasztelanie jedynie tłustego zaborcę jagniąt i wełny, obleczonego w złość, zawiść oraz chciwość, i tu, wysoko w górach, gdzie nie sięga prawo ani przyzwoitość, nazywają psy jego imieniem i imionami jego czcigodnych przodków, nie szczędząc samego Guerina, co jest, sami przyznacie, przedziwną nieoględnością, i może właśnie dlatego tkwią na przyzbie chaty jak dwie utrudzone stare baby, nieodwołalnie dotknięci przez Nebbię, bo ona, w przeciwieństwie do kasztelana, nie wybacza niczego.

Gardła mają rozszarpane, domyśliliście się już?

Widzę, że umarli całkiem niedawno i twarze powleka im taki sam złocisty śluz, jaki znaleźliśmy przy starej Brigidzie, jednakże ślady smoka nic mnie teraz nie obchodzą, ledwo powłóczę nogami, niemoc spadła na mnie nagle jak klątwa, może naprawdę u podnóża góry żyją wiedźmy i pod osłoną mgły przybierają kształty wron albo innych ptaków, matka mi opowiadała, że rzucają czary, żeby wygubić nieszczęśników, którzy zanadto się do nich przybliżą, jednakże znacznie bardziej boję się gniewu Stwórcy, ponieważ zostawiliśmy ciotkę Brigidę, nie przysypawszy jej nawet garścią żwiru, zbiegliśmy z pątniczego traktu jak złoczyńcy, jakbyśmy byli winni jej śmierci, a może tak przeraziła mnie bliskość smoka, bo teraz nie jestem już pewien, czy ścigam bestię, czy to ona idzie naszym tropem, w każdym razie biegliśmy z Mniszkiem na oślep ku Nebbii, upadając i kalecząc sobie kolana o żwir, nie wiem, jak długo to trwało, a kiedy dzień zamienił się w noc, pojawiła się gorączka i na koniec Mniszek prawie niósł mnie razem z moim mieczem, podróżnym płaszczem, pasem i butami z ostrogami, które doprawdy do niczego mi się nie przydały, bo powiadam wam, dzielni panowie, że gdyby mój druh nie natrafił na domostwo pasterzy, uświerklibyśmy na bezdrożu, gdyż noce są tu lodowato zimne i szpecą kałuże sztywną błoną, ja tego jednak nie widzę, zupełnie też nic nie czuję, kiedy Mniszek wciąga mnie do chaty, i może tak właśnie jest lepiej, bo żaden z nas nie może znieść zbyt wiele, a zdrada i śmierć są wpisane w tę opowieść równie głęboko jak miłość.

Jak długo trwa śmierć na zboczu Nebbii, pytacie. Trzy dni i trzy noce, ani chwili krócej.

Trzy noce błędę nad Nebbią z Urodzonymi, których, jak mnie, powito w kapturze łaski, żeby walczyli z demonami, bo tam gdzie jest blask, musi być również ciemność, i właśnie z tego powodu demony nieustannie wyfruwają spoza uchylonej bramy, jeden potwór za każdego bezgrzesznego, mówiła matka, jeśli przed decydującym sądem zechce

przejsć do szczęśliwej krainy, więc żeby ich zatrzymać, palimy świece przed ich posągami, przynosimy chleb i wino, namaszczamy próg świątyni oliwą i przystrajamy ołtarz pierwszymi wiosennymi kwiatami, chociaż patriarcha krzyczy, że wszystko to zabobon i diabelska sztuka, a mnisi od świętego Amandusa, którzy przywędrowali w nasze strony całkiem niedawno i nie znają miejscowych obyczajów, zrównują ofiary dla świętych z trądem heretyckiej bezbożności i niejedną starowinę usiłowali posadzić na chruścianym stołku, tak, mnisi nie mają w sobie dość pokory, żeby dostrzec przestrożę, wypisaną na niebie ciemnym konturem Nebbii, my jednak rozumiemy ją bardzo dobrze i każdego wieczoru prosimy: święta Fortunato, zostań z nami, święty Calogero, wstaw się za nami, święty Ermenegildo, strzeż nas od złego, nie odstępujcie nas w ciemności, stójcie u wezgłowia naszych łóżek i barłogów, żeby demony nie wkrały się do naszych snów, bo naprawdę potrafią wśliznąć się przez ucho i kęs po kęsie wyjść z człowieka życie, aż zostanie tylko pusty futerał ze skóry i bliscy nie będą go nawet mogli pochować, bo mnisi nie zechcą pokropić resztek z uczty demona, dlatego trzeba je powstrzymać jak najwcześniej, zanim nasz świat je wypaczy, bo czymkolwiek są wcześniej, kiedy wychodzą z mgły, przepoczwarzają się, zupełnie jakby z gnijącej tuszy odpadało mięso, aż zostają tylko nagie, kostropate kości, i jeśli chcą je przyoblec, muszą zaczerpnąć od nas, nocami wraz z mgłą opuszczają się całkiem nisko i jak pluskwy lgną do ciepłego, rozgrzanego ciała, i wtedy właśnie Urodzeni zwołują się uderzeniami bębna i wychodzą na niebo, wychodzą na niebo jak więdźmy i jak więdźmy płoną na stosach, bo zaprawdę sędziowie są ślepi i nie odróżniają psa strzegącego owczarni od wilka.

Przez trzy noce wędruję wysoko nad Nebbią, tam gdzie Urodzeni toczą swoje walki, moi przewodnicy noszą szare płaszcze i długie drewniane drągi, którymi przebijają demony na wylot, na twarzach mają maski z ptasimi dziobami i pyskami zwierząt i wiem, że pod ubraniem na piersi każdy chowa woreczek z kapturkiem, który zdjęto im z głowy



w dniu narodzin i który pozostaje źródłem ich mocy, matka opowiadała, że kiedy wyszedłem z jej łona, zapłakała nad darem, jakim mnie obarczono, bo niektóre błogosławieństwa dają więcej bólu niż szczęścia, ale zaraz potem ojciec wpadł do izby i roztrąciwszy babki pomagające przy porodzie, pochwycił spowijające mnie błony i rzucił czepek na palenisko, żeby uchronić mnie od losu Urodzonych, bo co dla jednych jest darem, innym jawi się jako przekleństwo, a mój ojciec pragnął syna jak z zakwaszonego chlebowego ciasta, syna mocno osadzonego w świecie oraz samym sobie, kapturek podobno krzyczał w ogniu ludzkim głosem, położna odczyniała potem palenisko solą i powygarniała popiół, żeby go pogrzebać w poświęconej ziemi, a matka, kiedy minął czas połogu i oczyszczono ją w parafialnym kościele, zaniósła mnie do kruchty pustelnicy Mirtilli, żeby zadośćuczyniła mojej stracie i błogosławieństwem odwróciła zły los, lecz ojciec już dopiął swego i uwiązał mnie pod dachem na te wszystkie burzowe noce, kiedy Urodzeni potykają się na zboczach Nebbii z demonami i odpychają je od naszego świata, nie wiem, czy tak właśnie było, bo jak już wam mówiłem, matka cudownie opowiadała bajki i jeśli tylko ojciec musiał dłużej zostać we młynie, dzieciarnia z całej wioski zbiegała się do naszej kuchni, gdzie snuła niezwykle historie o przemyślnych chłopcach, którzy okpili gigantów, i o dziewczynkach tak małych, że zmieściłyby się w kwiatowym pąku, nawet starsi przychodzili posłuchać, zwłaszcza że nie brała za swe opowieści zapłaty, jak robią dziady po gospodach, i w każdej z tych baśni byłem księciem albo dziarskim żołnierzykiem, który wymyka się z pułapek demonów i powraca z workiem złota do domu, na próżno ojciec się sierdził, że matka nabija mi głowę głupotami, i nieraz ją obił kijem, nic nie pomagało, a ponieważ nie zdołał rozerwać tego niewidzialnego przymierza zawiedzionych nadziei, które nas połączyło, ledwie skończyłem pięć lat, wziął mnie do terminu do młyna i uczynił nadzorcą mlewa, jedynie na niedzielę wracałem do domu, tak umordowany, że usypiałem za dnia nad miską jagieł, a matka nikła

i marniała w oczach, aż pewnego dnia umarła równie cicho, jak żyła, wydawszy na świat martwy płód, czwarty z kolei, bo po mnie rodzice nie dochowali się już żywego potomka, zupełnie jakby wszelka żywotna siła wyczerpała się w nich wraz ze mną, ojciec nierzadko wypominał matce, że dała mu tylko jednego chudego wypierdka, i widziałem w jego oczach, jak bardzo chciało mu się tuzina pulchnych, pyzatyh młynarzy, dla nich skupywał zboże w roku głodu, woził mąkę do miasta i brał w dzierżawę kolejne winnice, naprawdę harował ponad siły, nigdy nie oszukiwał na mierze, nie dosypywał do mąki trocin ani zmielonej kory, nie wycinał dogodnych dziur w workach przywiezionych do młyna, powinniście go zobaczyć, wielkogłowy, żyłasty chłop, podrzucający wory z mąką, które z trudem dźwiga dwóch pomocników, po śmierci matki nie wziął sobie żadnej kobiety, choć wiele wdów i panien ochoczo przysłoby do niego ze ślubem lub nawet bez niego, ale nie, najął tylko do posługi Rosalbę, wstrętą, starą miotłę, która karmiła mnie suchymi plackami i zgliwiałym serem, może zresztą ojcu tak było łatwiej, nie zastanawiałem się nad tym wtedy ani potem, kiedy ku jego nieutulonej rozpaczycy prysnąłem z młyna.

Mylicie się jednak, sądząc, że to wspomnienie rodziców koi mnie tamtej nocy na zboczach Nebbii, nie, w majakach widzę tylko Monę Giulię, im większa dzieli nas odległość, tym bardziej się staje realna i nabiera kształtów, bo to, co w Città di Sant'Angelo wydawało się szyderstwem i kpina, we mgle zmienia się w błaganie, bez końca wypowiadam jej imię, przyjdź do mnie, skomlę, pomóż mi, weź mnie we śnie za rękę i usiądź obok, mam miecz, czerwony płaszcz i buty z ostrogami, zupełnie jak Guerino na malowidle w komnacie kasztelu, gdzie takich nicponi jak my wpuszcza się raz do roku, w rocznicę jego powrotu z mgły, żebyśmy nie zapomnieli, jak się to wszystko zaczęło, oczywiście zwykle szukamy okazji, żeby coś zwędzić albo chociaż wysmarkać się w kunsztowne gobeliny, jednego razu ryży Anacleto capnął ze stołu czarkę i nie patrząc, wepchnął ją sobie do paszczy,

a wtedy się okazało, że w środku był tłuczony pieprz, powiadam wam, tak wył i skakał, że kasztelan chciał sprowadzać mnichów od świętego Calogera, żeby wypędzili z niego demony, innego razu Leandro od piekarza zapuścił się za służącą do piwnicy i dopiero po dwóch miesiącach go stamtąd wydobyli, kiedy podczaszy kazał odbić nową beczkę wina i w środku pokazał się nasz zacny Leandro, trudno rzec, czy próbował ją niecznie wyzłopać, czy też jakaś nieużyta dziewczka wepchnęła go do środka, kiedy jej sięgał pod fartuszek, i zabiła wieko ćwiekami, zastanawiacie się pewnie, na cóż nam teraz te wszystkie pocieszne historie, a jednak w pasterskiej chacie powracają do mnie w snach, podobnie jak malowidła, zółć i smoczy szkarłat rozmazany na chorągwiach, a także chleb i oliwa w rękach, które niedawno zadały bestii śmierć, miecz Guerina spoczywa na ławie, pomiędzy owocami granatu i mięsiwem, wiecie pewnie, że wcześniej Guerino był zwyczajnym rzemieślnikiem, synem kołodzieja, miał sad na zboczu góry i własnoręcznie wytłaczał oliwę, a potem troczył beczki na grzbiecie mulicy i wiózł je na targ, dlaczegóż więc syn młynarza miałby być od niego gorszy, w każdym razie tutaj, we mgle, wszyscy jesteśmy sobie równi i równie nadzy, jak w chwili gdy przychodzimy na świat, żeby popaść w żywot utkany z podłych dni i podłych nocy, choć przecież my wszyscy, synowie Città di Sant'Angelo, na równi z Urodzonymi dostaliśmy udział w przymierzu, mimo że większości z nas nie zaprowadzi on daleko i bez wątpienia tak jest lepiej.

Mniszek ociera mi czoło i poi mnie wywarami, które sprowadzają sny i ulotną ulgę, lecz jestem pewien, że w ciągu tych trzech nocy to Mona Giulia jest moim kapturkiem łaski, czymś, co należało do mnie, a co bezprawnie mi odebrano, rozumiecie, uratowała mnie w karnawałową noc, żebym mógł ją ocalić, i teraz też prowadzi mnie za rękę, kiedy na trzy noce zagłębiam się w śmierć, żeby zabijać demony, jej czarne włosy opadają mi na oczy, pachną dziwnie, arcydzięglem, piołunem i dymem, wszystko jest przyćmione i bolesne, i nic więcej się o tym nie dowiecie,

moi młodzi przyjaciele, nie ma się co dąsać, nie wymienię tego sekretu na dzban wina ani miskę soczewicy, ale jeśliście tacy skorzy, ruszajcie prędko w drogę, Nebbia nadal czeka, znajdziecie ścieżkę, głązy i piach, a także splątane, kolczaste zarośla, które są zupełnie bezużyteczne, nie dają wiele ciepła ani nie płoną zbyt jasno, poszarpią tylko na was odzienie, ale one także mają swoje miejsce w tej opowieści, więc jeśli chcecie się zapuścić tam, dokąd nie chodzą lisy ani dzikie kozły, naprawdę nie musicie na mnie czekać, bo ja będę teraz pić, pić, rozpamiętywać i milczeć, tak, wiem, dlaczego wciąż tu siedzicie i co kupujecie za te wszystkie dzbany wina, ale jeszcze nie, dajcie mi chwilę, jeszcze nie jestem gotowy opowiedzieć o smoku.





\* OBRA OPOWIEŚĆ buduje się powoli jak gmach, najpierw widać jedynie doły, żwir i głazy, zwały piachu i gromady robotników, którzy strzykają wkoło niegaszonym wapnem, zupełnie jak gołębie przed Duomo, kalające posągi naszych świętych, mury są krzywe, każdy gład sterczy w inną stronę, majstrowie wrzeszczą, mistrz architekt przechadza się pomiędzy wykopami z rękawiczkami i pałeczką w ręku, wskazując: masz ociosać ten kamień i przesunąć tamtą belkę, rzeźbiarz rozbił dłutem łeb naczelnemu cieśli, zaprawa się osypuje, bo jakiś szachraj i złodziej za bardzo ją omaścił piachem, a jednak wszystko to się wspina, pełźnie jedno po drugim ku górze, niechlujnie, bez żadnego ładu, który dałoby się zawczasu odnaleźć i odczytać, zebrowania obrastają kamieniarskim mięsem, wypiętrzają się kolumny, portale, zworniki, wimpergi, maswerki, maszkarony, zupełnie jakby powój i chmiel oplatały łodygi łopianu, i nasza opowieść również rozrasta się właśnie aż po zwornik sklepienia, ponieważ jest już jasne, że Efraim, ten tyran, heretyk i potępieniec, ciągnie przez nasze umiłowane góry, do ostatniej chwili łudzimy się nadzieją, że jednak zawróci, bo czegoż miałby tu szukać prócz tych paru kierdeli owiec czy oliwek, które z niedostatku wody już na gałęziach zsuchają się jak stare baby? – dopiero uciekinierzy z Nori przekonują nas, że cesarscy knechci już tu są, rabują dobytek, gwałcą niewinne dziewczęta i mordują, kogo popadnie, oczywiście z wyjątkiem krewnych i sprzymierzeńców Bianchich, ci bowiem mają się świetnie i niepomni na gniew Stwórcy, który wedle obietnicy patriarchy będzie ich ścigał aż do dziewiątego pokolenia, idą na szpicy armii, pokazując najdogodniejsze ścieżki i wodopoje, doprawdy paskudnie się odwdzięczają Città di Sant’Angelo

za łaskę, jakiej im udzieliła, należało ich wszystkich powiesić, póki była pora, powtarzają sobie ponuro majstrowie, kiedy spotykają się wieczorem w gospodzie Pod Pękatym Wieprzem, z zafrasowania ledwie mogą się upić i odganiają Draca, po uwolnieniu z ciemnicy znów nieprzyjemnie pełnego animuszu, nie w smak im dzisiaj jego pokrzykiwania, że nigdy go tu nie uszanowano, nie dostał żadnej nagrody za swe służby i straty, tłuste skurwysyny, krzyczy, noc po nocy opierałem się dla was truciźnie, ale teraz zostawię was własnemu losowi, bo złamaliście przymierze, to właśnie zrobiliście, z powodu najpospolitszej chciwości wygnaliście Bianchich i postawiliście Urodzonych na stosach, wydziera się tak donośnie, że pomywacz z gospody musi go odpędzić kamieniami, wszystko to wina kasztelana, powtarzają nasi rozsierdzeni pracodawcy, zawsze był zbyt miękki dla heretyków i bluźnierców, ale gniewnych słów nie starcza im na długo i wkrótce tylko siedzą w milczeniu, lęki bzyczą nad nimi jak muchy, cała ta repatriacja wydarzyła się bez naszej najmniejszej winy, przekonują się w myślach, pomagaliśmy Bianchim pakować tobołki, obiecaliśmy, że będziemy dbali o ich domy i zwierzęta, a pamiętacie, jak posyłałiśmy chleb do więzienia matce tego kacerza rzeźnika Durante? – miała takie spojrzenie, że cielęta same nadstawiały się pod nóż, zaprawdę dobrze, że patriarcha kazał ją spalić, stos trzy razy gasł i na pewno wmieszała się do tego nieczysta siła, jej córka była brzemienna, ale kiedy wreszcie musieli wyjść za bramy, dźwigała na plecach największy toból i przytroczoną do niego miedzianą patelnię, nie dotaszczyła jej nawet do Passo dei Pastori, ale na babski upór nie ma rady, i umarła na pierwszym postoju, wydawszy na świat nieżywą córkę, może i lepiej, bo wyrosłaby z niej taka sama czarownica jak babka, szkoda, że jej ciotki i kumy na wygnaniu narodziły całe mrowie bękartów, które teraz prą przez góry ku Città di Sant'Angelo, zaprawdę Stwórca czasami odplaca za miłosierdzie fałszywą monetą, a najgorsze ze wszystkiego są czarownice.

Tak, ogromnie lękamy się wiedźm, a każda kobieta Bianchich jest w gruncie rzeczy czarownicą, nadejście cesarskiej armii pozbawiło je lęków i teraz spadają na Città di Sant'Angelo pod postacią czarnych ptaków, wron, kruków, kosów i szpaków, na próżno patriarcha zarządza przebłagalne procesje i każe obnosić po placach oraz ulicach szczątki naszych świętych, okadzając nas sownicie mirrą i skrapiając węgły poświęconą wodą, doprawdy, żadna czarownica nie powinna ścierpieć takiego dobrodziejstwa, tymczasem jest ich tak wiele, że dachy domów zapadają się pod ich ciężarem, mówi się, że pogrzebały w kamienicy mistrza Porziana, wędliniarza, jego ojciec podczas banicji Bianchich z pomocą kilku równie godnych mistrzów powołał straż obywatelską, żeby przetrząsała przy bramie toboły idących na wygnanie, i teraz nasz pan kasztelan wraz z patriarchą i starszymi cechów dziarsko kroczą jego śladem, postanowiwszy, że trzeba się pozbyć tych wszelkich bezużytecznych dusz, co przeżerają nasze zapasy i utrudniają wojenny wysiłek, tych nędzarzy z chat na przymurzu, które trzeba zburzyć, żebraków, wdów i sierot wyczekujących w kościelnych podcieniach jałmużny, wędrownych handlarzy, zbiegów, złodziei i wszelkich nicponiów, zawczasu mających szyje przepasane grubym konopnym sznurem i żyjących w oczekiwaniu na kaźń, zbiegłych chłopów i pastuchów – krzywoprzysięzców o podniebieniach czarnych od bluźnierstw, a także wszystkich, co im się dało przypisać powinowactwo z Bianchimi, oraz uzdrowicieli, wróżów i Urodzonych lub tych, których obwołała nimi użyteczna plotka, na koniec wszystkich zaś, którzy schronili się w naszych murach, uchodząc przed cesarskimi knechtami z okolicznych wiosek oraz miasteczek, zaiste, miasto znienacka stało się tak przyjemnie przestronne, każdej wyprawianej za bramy rodzinie pozwolono zatrzymać jedynie skromny trzos, całą resztę majątku, jeśli ktoś go miał, musiała zostawić w gościnnych ramionach Città do Sant'Angelo jako zadośćuczynienie za zdradę i kacerstwo, i tak samo nasi dziadowie postąpili kiedyś z Bianchimi, trudno się zatem dziwić

ojcu mistrza Porziana, że chciał z tego ociupinę uszczknąć dla siebie, na cóż ma tyle dobra marnieć w kasztelańskich komorach, podobno miał zwyczaj przetrząsać pieluszki na dzieciach i rozdziwiać starców, cóż, wiele pięknych fortun zakiełkowało w żyznym cieniu północnej bramy, którą od wygnania Bianchich nazywamy Furtą Banitów, lepiej wszak, gdy pieniądz krąży, nie butwieje, toteż scheda po nieszczęsnym mistrzu Porzianie też się ktoś pożywi, choć raczej nie zdoła się nią długo cieszyć, gdyż cesarska czarna armia jest o dwie przełęcze stąd.

Kiedy zwiadowcy kasztelana wracają z tą nowiną, nikt nas już nie pędzi do pracy, dzwony przy warsztatach milczą, kurzą się krosna i koła garncarskie, tylko u starego Leandra pomocnicy, jak co dzień, wygarniają z pieca świeże chleby, ludzie wszak muszą żreć, choćby w śmiertelnej pościeli, ale staramy się o tym nie myśleć, dla podsycenia patriotycznego zapалу kasztelan rozkazał wydawać oliwę, ziarno i wino, więc siedzimy na murku przy Duomo, błogo otumanieni, i dodajemy sobie animuszu, strącając kamieniami różne pierzaste straszyska, dużo się ich gnieździ pod dachem konwentu, zakonnicy, niektóre całkiem jędrne, powyłaziły na galeryjkę i wypatrują pod czarnym pierzem czyichś żon i córek, bo ponoć w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa czarownice z powrotem wślizgują się we własne ludzkie postaci, ale służki demonów są złośliwe z natury i wolą zdechnąć, aniżeli się przeoblec, więc kończą w trzewiach jakiegoś bezpańskiego kota, i czyż braciszkanie od świętego Calogera nie mają racji, że czarownictwo nie popłaca?

Kot ciągnie po dziedzińcu jaskółkę z przetrąconym skrzydłem, ale nie żałujcie jej, moje piękne panienki, zresztą nie powinnyście kłać sobie uszu tymi wszystkimi okropieństwami, a nieprędko położymy im kres, bo tamtego lata śmierć jest jednaka dla ptaków i dla ludzi, chodzi ulicami Città di Sant'Angelo, bezimienna i nieunikniona, przed świtem dwóch oprawców zdechło, pełzając wśród własnych wnętrzności,



a braciszek, który nawiedzał dzielnicę ubogich, skonał parę godzin później, wyrzygując krew, pianę i bluźnierstwa, na twarzy miał takie same ślady, jakie widzieliśmy na szyi Iacopa, ale pewnie takie rzeczy dzieją się w każdym mieście, więc nie ma nad czym lamentować, tyle że ledwo przycicha wrzawa po ich śmierci, rozchodzi się nowa pogłoska, że tuż po porannej mszy zadławił się własną krwią prokurator patriarchy, który był gorszy niż reszta jurystów, bo z równą zachłannością ssał krew i złoto, wyłuskiwał z suterren i poddaszy pociotków Bianchich i chwacko wysyłał na stos heretyków oraz czarownice, mówiono o nim, że gdyby było trzeba, z własnych jelit ukręciłby szubieniczny sznur, stara Mirtilla od dawna wykrakiwała mu śmierć ze swojej wnęki, nocami odwiedzają ją anioły i wyjawiają przyszłe tajemnice, więc ten łajdak prokurator na nią również nastawał, przypisując jej niecną zażyłość z czartem, lecz na wieść o tym cechy zapałały wielkim oburzeniem, bo pustelniczka siedzi zamurowana w kruchcie, pokutując za miejskie grzechy, jak daleko sięgamy pamięcią i liczne są dowody wielkiej świętobliwości, diabeł nie ma wszak przystępu do poświęconej ziemi, a Mirtilla żywi się jedynie modlitwą i tą odrobiną deszczu, która ścieka przez szczeliny w murze, matki po połogu przynoszą do niej niemowlęta, żeby położyła na nich ręce i zdjęła z nich piętno Urodzonych, nawet jeśli nie urodziły się w kapturku łaski, nigdy nie można być całkowicie pewnym, czy mgła nie wślizgnęła się w kobiece łono wraz z nasieniem męża, i spójrzcie, żadna z nich nie pragnie dla syna losu Guerina, który wprawdzie zdobył sławę i bogactwo w wielkim świecie, lecz szczęścia w życiu nie zaznał, a Mirtilla zna najsilniejsze modlitwy, które chronią przed urokiem i niespokojnym losem, pomagała naszym matkom i babkom, i nikt nigdy nie powiedział na nią złego słowa, więc doprawdy żaden skurwysyn jurysta nie będzie jej teraz nakłuiwał igłami ani kąpał w potoku, takie pomysły czynią urągowisko całemu miastu, choć trzeba przyznać, że prokurator od dawna znajdował w nich upodobanie, nic więc dziwnego, wzruszają ramionami przekupki przy cysternie, że jakaś czarnopióra

strzyga postanowiła mu odpłacić pięknym za nadobne i odgryzła mu język, owszem, tenże sam, którym wydawał wyroki, i wydziobała pół twarzy, ta biedna dzierlatka, jego żona, wreszcie odetchnie, od dawna ją żarła tęsknota za młodym gachem.

Nie żałujemy jurysty, kiedy jednak roznosi się wieść, że ucieszne panienki znalazły na progu Wieży Skowronka mistrza Ursmara z gębą wygryzioną do samiutki czaszki, ogarnia nas przygnębienie, słusznie zauważacie, że oprawca niejednemu z nas wybiczował plecy, lecz nie czynił tego z własnej chęci, sprawował swoje rzemiosło rzetelnie i z taką melancholią, jakby dźwigał na ramionach występki skazanych, spotkała go zatem plugawa niesprawiedliwość, jak wcześniej naszego druha Iacopa, oplakujemy ich od rana, nasza żaloba jest ciężka od przetoczonego trunku, żłapiemy z takim poświęceniem, że więcej mamy w żyłach wina niż krwi, zataczamy się pijani w środku dnia, wyśpiewujemy sprośne piosenki, sprzedajemy na rynku narzędzia wyniesione bezwstydnie z majstrowskich warsztatów, ba, nawet podbieramy datki z mosiężnej puszeki przed Duomo – i nikt nie zwraca na nas uwagi.

Znaki bowiem mnożą się co godzinę, co kwadrans, zupełnie jakby miasto zbuntowało się przeciwko swoim mieszkańcom i raptem odmówiło im opieki, na stole patriarchy ryba podniosła łeb z talerza i ludzkim głosem nawoływała do pokuty, przy kasztelu źródło trysnęło krwią, koń kopytem wygrzebał między wełnianymi składami dwa niemowlęce trupki ze skrzelami zamiast ust, pakuły w kasztelańskiej zbrojowni same się zajęły ogniem i gdyby tam nie podrzemywał kulawy psiarczyk, pół wzgórze by zgorzało, a tak tylko jeden psiarczyk zdechł w męczarniach, ale wprzód narobił alarmu, co mu z pewnością będzie poczytane za zasługę, w każdym razie ten pożar nie dodaje otuchy majstrom, bo nocami na górach wokół Città di Sant'Angelo płoną ognie, czarownice tańczą dookoła płomieni i warzą najstraszniejsze dekokty,

od których skóra odchodzi od kości, a język puchnie i zamyka gardło, przed świtem porastają pierzem i niebawem zatrują Ruscello Nero oraz studnie, żebyśmy stali się bezwolni i słabi, kiedy cesarz zakołacze do bram, może zresztą naprawdę tak się wydarzyło i czar sprawił, że bezwolnie podstawiliśmy szyje pod miecze, choć wiedźcie, że kasztelan rozesłał posłańców, błagając o wojsko i pomoc, lecz przynieśli jedynie szyderczą odpowiedź, czyż będąc synami Guerina di Bosconegro, kpią nasi mężni książęta, pogromcy smoków oraz czarnoksiężników, nie uporacie się z tą garstką ultramontańskich przybłędów, niektórzy z nich, donoszą szpiedzy, ochoczo przyjęli północną cesarską herezję i kamieniarze już obrabiają wapień, a muropiścy mieszają farby, by wyposażyć katedry w wizerunki boskiego Syna, zresztą tutejsi panowie są gotowi oddawać cześć choćby owcom i cielętom, byle mogli się utrzymać w swoich pałacach i zamkach, tymczasem nasi mistrzowie znów milczą nad kubkami wina, ich żony i córki pozamykały się w alkierzach i klepią modły z taką samą zaciekłością, z jaką szewc obraca igłą, zapewne wolałybyście poczuć w sobie inne szydło, pokrzykujemy pod bramami, ale nic z tego, słodkie turkawki, wasi mężowie skapcanieli, męskość zwisa im bezwładnie między udami i dzisiaj nie tchniecie w nią życia, lepiej oszczędzajcie siły dla cesarskich synów.

Zanim jednak nadejdą, cieszymy się tą bezmierną, słodką chwilą, tuż przed śmiercią czas bowiem niknie i się rozplywa, jakby go nigdy nie było, nie respektujemy już pór modlitw, pracy oraz snu i wiele innych rzeczy również traci na znaczeniu, lecz o tym posłuchacie kiedy indziej, bo oto Draco przewrócił się w fontannie, suka biega wokół niego i wyje, zaczynamy się śmiać i po chwili mistrzowie jakby z ociąganiem przyłączają się do wesołości, wieczór jest rozkosznie ciepły, a my wszyscy zrównani pijaństwem i rozpaczą, zaraz się będziemy klepać po plecach, majstrowie zaoferują nam swoje córki za żony i puszcza warsztaty w dzierzawę, bo ich niemrawi synowie nie nadają się do niczego, wszystko da się jeszcze naprawić i świat znowu wskoczy we

właściwą koleinę, zasiądziemy wspólnie do wieczerzy i nikomu nie zabraknie chleba, pola obrodzą jak nigdy wcześniej, żadna modlitwa nie pozostanie niewysłuchana, winne grona staną się słodkie jak krew, a dziewczęta będą piękne i cnotliwe, naprawdę jesteśmy od tego o włos, prawie zaczynamy w to wierzyć, gdy nagle Draco, to niewdzięczne ścierwo, wdrapuje się na posąg anioła, tak, w najlepsze bezczęści świętą pamiątkę Guerina, który właśnie w tym miejscu zrzucił ścierwo smoka i wbił pierwszą łopatę pod fundamenty, na których pobudowano naszą świętą Città di Sant'Angelo, i drze się rozdzierająco jak paw, aż ciarki przechodzą po grzbiecie, siostrzyczki od świętej Deodaty uciekają z płaczem, z odszypuntowanej beczki leje się wino, ale nikt go nie łapie do dzbana, bo posługaczka znajda się skuliła i bije głową o ziemię, chociaż nie powinna robić scen, gdyż jest głucha jak pień i nie słyszy ani słowa, a nawet gdyby usłyszała, to też nic nie zrozumie, my jednak znamy tę śpiewkę na pamięć, towarzyszyła nam od kolebki jak kołysanka, rozumiecie, myślimy wtedy, że każde miasto ma swojego szaleńca, a my mamy Draca, który właśnie oburącz szarpie za kamienny miecz, wiecie, ten sam miecz, który miał ożyć wraz ze statuą anioła i spaść na nieprzyjaciół, kiedy zniknie wszelka nadzieja, podśmiewamy się, że łatwiej przyjdzie wlać życie w posąg niżli w tego starego grzyba kasztelana, tyle że zaraz śmiech staje nam kością w gardle, smok się budzi, wyrzaskuje Draco, smok się zaraz ocknie, ot, przydałoby się paru łuczników z rontu, żeby go strącić, ale oczywiście nie ma ich, kiedy są potrzebni, pochowali się, trzęsiportki, w kasztelu, więc to my pierzchamy w końcu jak stado kruków, ścigani słowami Draca, jest jak jeden z tych pyskatych proroków na malowidłach Duomo, wyciąga ponad Città di Sant'Angelo żyłaste ramiona, smok się budzi, krzyczy bez końca, strzeżcie się, bo smok nadchodzi.

Tej samej nocy pojawia się cesarz.





KIEDY MOZOLNIE wracam do sił, Mniszek przysysa się do hojnego cycka bacówki, ponieważ równie dobrze jak wy, moi szcudrzy fundatorzy oraz słuchacze, rozumie, że będzie potrzebował sił, jeżeli chce wrócić do domu żywy i ze zdobyczą, piecze nad paleniskiem jagnięta, wybiera sery z wędzarni, coraz bardziej krzepki i rumiany, zapija pieczyście moszczem z piwniczki, gęba mu się świeci, policzki tłuścieją, rozumiecie, zdrada jest wypełniona trudem i mozołem, mógłbym mu uczynić paskudny psikus i nie podnieść się z barłogu, chwilami myślę, że tak byłoby lepiej dla nas trojga, o, tak, zacni przyjaciele, bo kiedy wracam do żywych, kiedy po trzech dniach wychodzę z maligny i mgły, w izbie jest nas już troje – bo czyż dobra opowieść może się obyć bez niewiasty? – a Monę Giulię zostawiliśmy dawno za plecami, choć czasami mi się zdaje, że dopiero teraz przywołałem ją w prawdziwej postaci, Mniszek spętał ją jak cielę pod rzeźnią i, sądząc po okrwawionym odzieniu, zdążył oznakować nożem, podobno przysięgała na imię Stwórcy, że jest pasterką i smok wymordował jej rodzinę, co jest, mówi nasz dzielny podrzutek, czystym kłamstwem, widziałem, jak wypęzła z mgły, nawijała na siebie jej pasma, zupełnie jak wrzeciono zbiera nić, aż stała się właśnie tym, czym jest teraz, z rozmysłem wybrała chwilę i kształt, smok bowiem ma wiele sług i niektóre są straszniejsze od pozostałych, a ten demon przyszedł, żeby cię zabić, i nie ma w tym nic niepojętego.

Podnosi ją z klepiska, dziewczyna zwisa mu z rąk jak pęk gałganów, czarne rozczochrane włosy opadają jej na twarz, i nagle jakimś sposobem trzymam miecz, zupełnie nie wiem, skąd się tutaj wziął, ostrze leży tak pewnie, jakby spoczywało w ręku Guerina, kiedy sprawuje

sądy na mozaice w najstarszej wieży kasztelu, podobno kazał ją wznieść tuż po tym, jak powrócił z mgły, a w fundamentach zakopano łeb smoka, choć bestia nigdy na dobre nie zniknęła i jeśli uważnie się przyjrzyecie, dostrzeżecie ją na attykach naszych domów, na fryzjach, frontonach, ukrytą wśród liści w zdobieniach kolumn, wijącą się na progach i framugach okien, przekształconą w tęczową smugę w jamie potępieńców, czasami pozostaje jedynie owalny zarys łba, przebitego jak ostrzem pojedynczą kreską na znak przymierza, Guerino zawarł je w imieniu wszystkich, którzy osiedlili się w obrębie murów Città di Sant'Angelo, ich synów, a także tych, co dopiero mają się urodzić, aż do setnego pokolenia, jego obietnica wypycha nas na ten świat z łon matek i słyszymy ją na ostatku, czy wreszcie pojmujecie, jaka jest cena za warzywniki, winnice, gaje oliwne i pola porośnięte jęczmieniem, za mury, domy, warsztaty, barwne suknie kobiet i dołeczki w policzkach dzieci, za śpiew kościelnych dzwonów, ryk bydła i brzęk monet, przeliczanych po zmierzchu? – za wszystko jest cena, jest również bardzo wiele miast, z których każde ma swoją opowieść, lecz tylko nasza jest prawdziwa, więc spójrzcie na nas, zanurzonych w przejrzystym górskim powietrzu, chociaż pasterska chata jest akurat okopcona i ciemna, jesteśmy tu, żeby stanąć przeciwko temu, co Nebbia wyrzuje wraz z mgłą, nie zapominajcie, że niesiemy na ramionach całe Città di Sant'Angelo, moja matka mówiła, że jeśli Urodzony się waha przed obliczem demona, z murów miejskich wypada jeden kamień, i kiedy ubędzie ich zbyt wiele, miasto upadnie.

Dziewczyna ma chude, podrapane ramiona i twarz obwiązaną burą szmatą, nie waż się spoglądać jej w oczy, krzyczy Mniszek, kiedy wyciągam rękę, nie wolno spoglądać w oczy demonom, ale tutaj, we mgle, Mniszek jest jedynie sługą, a nie zapominajcie, że sługa Guerina zdradził go w decydującej walce, zresztą nie należy ufać podrzutkom, nie wiadomo, jakie myśli chowają w głowach ani czyje mleko ich wykarmiło, i Mniszek wcale nie jest lepszy od innych, pamiętajcie

również, że już raz usiłował mi wydrzeć, co moje, kiedy w Dole Wisielca sięgnął po moją mitrę, ktoś taki jak on nigdy nie zostałby opatem i nie przewodziłby wolnemu bractwu czeladników, nad dachem baczki Urodzeni nadal zwołują się gniewnymi uderzeniami bębna, a może to tylko serce tak bije, okryte kruchą, cielesną powłoką, smok, mówi Mniszek, pocierając stopą o brudne klepisko, mamy zabić smoka, lecz słyszę w jego głosie jakiś śliski ton, na zboczach Nebbii przyjaciele zmieniają się we wrogów, a demony wkradają się w cudze ciała, na pewno słyszeliście o mniszce, która połknęła jednego z nich na liściu sałaty, a on ją zapłodnił, i to się może przydarzyć każdemu z was, jeśli zagłębicie się w mgłę i nie będziecie wystarczająco ostrożni, tylko Urodzeni potrafią w nocy przeniknąć te sztuczki, ale i oni bywają omylni za dnia, a mój kapturek łaski spłonął dawno temu i dopiero w tej chwili uzmysławiam sobie, jaki jestem ślepy i pozbawiony ochrony, i raptem kobieta odzywa się niskim, chropowatym głosem, ogołoconym ze wszelkiego wdzięku, więc zapomniałeś już, kogo masz ocalić, i zaufasz temu zdrajcy, który wlewa ci truciznę do gardła?

I wiem, moi wojowniczy druhowie, że czasami każda decyzja jest lepsza niż wahanie, jednakże wtedy zwlekam zbyt długo i słyszę zbyt wiele, więc nie potrafię już uwierzyć żadnemu z nich, chociaż Mniszek wścieka się i ryczy, że piastował mnie jak własna matka, ale obaj rozumiemy, że cokolwiek powie, podsyci tylko moje podejrzenia, tak, zdzieram jej z twarzy tę szmatę, naprawdę nie powinienem tego robić, bo pasterka ma oczy Mony Giulii, mówiłem wam, że demony wślizgują się w cudze kształty, ale potrafią robić jeszcze inne rzeczy, mogą tchnąć głos w martwe ptaki, i cóż mi teraz po przestrozach Mniszka, że ta górská dziewczka szła przed nami pod postacią czarnego psa i rozrywała gardła wszystkim, którzy mogliby ją rozpoznać, należy bowiem do przekłetej rasy psiogłowców i czci smoka, zdradzi nas i swój ludzki kształt, bo przybrała go tylko dla oszustwa, widziałem ją przecież, jak stała z nożem u twojego wezgłowia, kiedy spałeś, i śpiewała jak drozd,



żebyś się już nie ocknął i nie obudził, ludzkie gardło nie potrafi wydawać takich dźwięków, krzyczy Mniszek, ale teraz wszystkie jego słowa to za mało.

Zwiąż ją, mówię, idziemy dalej.

Kiedy wychodzimy z chaty, na pastwiskach wokół zalegają martwe owce, jagnięce kłębki brudnobiałego runa i potężne czarne tryki o zakręconych rogach, owce białe, czarne, łaciate, szare, brązowe, trzeba stąpać ostrożnie, bo w trawie i pomiędzy kolczastymi kępami tarniny walają się kęsy mięsa i wywleczone jelita nadal drgają od gazów, pewnie wilki ucztowały tu zeszłej nocy, ale nie, poprawiam się zaraz, chociaż nie mam doświadczenia w pasterstwie, coś rozszarpało je po kolei, a one nawet się nie rozbiegły i tak, to przejmuje grozą – a czegoście się spodziewali? – zwłaszcza że nad pastwiskiem nie ma ani jednego kruka, na ranach poprzysychały muchy i one również są martwe, jakiś brzuch, wydęty od gazów, rozpęka się z głuchym puknięciem i obaj z Mniszkiem jednocześnie przypadamy do ziemi, obezwładnieni własnym tchórzostwem oraz rozrzutnością tej rzezi, ona to na nas ściągnęła, piskliwie odzywa się Mniszek, bo gdy jedni uciekają w milczenie, drudzy jak kwoki zagdakują strach, ona nie jest kobietą, nawet nie przypomina Mony Giulii, zobaczyłbyś to od razu, gdybyś tylko nie spojrzął jej w oczy, rozumiesz, czarnowłosa ładacznicą chce nas zwieść bajką o demonach wkradających się w cudze ciała, ale tak naprawdę zabiła pątniczkę i pasterzy, wszystkich, którzy mogliby nas ostrzec, w nocy pazury zgrzytały po dachu, przez komin wpełzał cień i nic się nie dzieje bez przyczyny, a przyczyną jest smok.

Jak to możliwe, że taki chuderlak mieści w sobie tyle słów, rozdyma się od nich jak martwa owca i wydziela taki sam trupi smród, chociaż podniósł się już i znowu przebiera kościstymi kulasami, podbiega do mnie, gestykułuje, zastępuje mi drogę, zupełnie zapomniał, gdzie jego miejsce, ale i tak przez chwilę jest mi go żal, nie sądził chyba, że

zwyczajny przybłąda zagłębi się w mgłę i nie poniesie kary, zresztą mnie najpewniej również nie uda się jej uniknąć, tymczasem jednak brniemy powoli pomiędzy martwymi zwierzętami, dziewczyna potyka się raz po raz i przewraca, Mniszek naciągnął jej kaptur głęboko na twarz i zatkał gębę szmatą, więc przynajmniej nic nie powie, w świetle dnia wcale nie przypomina Mony Giulii, tylko czasami coś w ruchu jej głowy albo drgnieniu ramion napawa mnie jeszcze większym lękiem.

Czy mówiłem wam już, że trawa w dolinie jest wyschnięta, jakby od wielu tygodni trwała susza? – jeśli się ich dotknie, źdźbła się rozpadają i osypują, boję się spoglądać w dół, bo wygląda to tak, jakby cały świat kruszył się nam pod stopami, chociaż reszta jest jak trzeba, słońce na niebie, soczysta zieleń darni na zboczach, odległy szczyt Nebbii również nie zatracił kształtu, ale jej kontur, wpisujący nas w codzienną pospolitość, sprawia, że tu, w dole, wszystko jeszcze bardziej potwornieje, toteż kiedy ostatecznie wydostajemy się z tej przeklętej doliny, padam na kolana i rzygam z głębi trzewi, jeśli chciałeś mnie otruć, kpię, mogłeś się doprawdy bardziej postarać, skrzepy żółci i flegma wypadają ze mnie – zda się – bez końca, podczas gdy Mniszek zarzeka się, że nic podobnego nie czynił, nie podał mi trucizny ani żadnego parszywego dekoktu uwarzonego z zębów kreta, mysich kości i wilczego sadła, może to demon uwodziciel wszedł we mnie we śnie i hasa teraz swobodnie w gęstwinie mojego ciała, grzechocząc cudzymi zębami, wierzcie mi, gdybym mógł, poderżnąłbym Mniszkowi gardło i zdławił wreszcie tę złowieszczą mowę, lecz chwilowo zbrakło mi siły – jakże zdołam zmierzyć się ze smokiem i odebrać mu skarby? – więc czekam, aż wreszcie milknie i możemy iść dalej.

Czy widzieliście kiedyś błysk złota? – nie oszustwa jarmarcznych alchemików, nie czerwonej błahostki książąt, lecz prawdziwego złota, w którym śpi smoczy ogień i które pełźnie nitkami migotliwej śliny w głąb skały, mówią, że skapywała smokom z pysków, gdy drążyły sobie

drogę na świat z głębokich, podziemnych leży, gdzie wieki temu pękały smocze jaja, świat był wtedy bardziej przyjazny demonom, cętkowane żmije wiły się w miejscach, gdzie miały powstać nasze rynki i kamienice, a psiogłowcy czerpali wodę ze źrójów, które w przyszłości obudujemy swoimi studniami, dla większości z was to dawno przeminęło albo wcale się nie wydarzyło, ale tutaj, na zboczach Nebbii, w parowach pełnych mgły, smocze złoto wciąż bezwstydnie prześwieca spod groszkowatej zieleni paproci, święty Calogero nigdy nie postawił tu stopy, a to on wypędził z naszej ziemi demony i znakiem Jedynego Boga zamieniał smocze złoto w gówno, które również jest żółte i chociaż nie lśni w słońcu, pomnaża plony na polach i zapewnia naszym żołądkom strawę, zaprawdę dla prostego człowieka gówno jest pożyteczniejsze niż złoto, o czym nie omieszkał wspomnieć patriarchy, kiedy roztaczał przed nami ognistą lunę cnót świętego Calogera, który w zaraniu świata przemierzył Bosconegro wszerz i wzdłuż, przebijając jesionową włóczęgią serca smoków, zanim wódz psiogłowych nadział go na tę samą włóczęgię i upiekł nad ogniskiem, co w żadnym razie nie ocaliło jego wszetecznych poddanych, ponieważ z ciała świętego wyroiła się szarańcza, a następnie bezlitośnie rzuciła do ataku i ścigała pogan, skoro bowiem nie ulegli łagodnym i litościwym słowom świętego, ukarała ich srogo za jego śmierć, i tak była w swej pogoni zajadła, że spośród monstrów ocalały wyłącznie te, które schroniły się we mgłę, jedynie po to zresztą, żeby zdechnąć samotną, pełną rozpaczycy śmiercią, bo świat poza mgłą się zmienił i kiedy tylko usiłowały z niej wychynąć, witały je strzały i ciosy mieczy, i taki jest właśnie największy cud świętego Calogera, który przed wiekami był pierwszym z rycerzy i nie lękał się niczego, potem zaś coś go popchnęło na pustkowie i nie była to jedynie bojaźń Boża, nikt z nas dobrowolnie nie wyrusza na bezdroże, wolimy trwać wrośnięci w kamienne kadłuby miast jak małże, póki jakiś przypyływ, gwałtowniejszy od innych, nie oderwie nas i nie poniesie dalej, myślę o tym, brodząc po kolana we mgłę, bo tutaj, w lesie, świt nie wygramolił

się jeszcze spośród mchów i paproci, tak, to nie może być nic innego, jak tylko poranny opar, przekonuję się w myślach, a wilgoć przesącza się powoli przez wełniane nogawice i uwierzcie, jest jak mokra chusta zarzucona na twarz wędrowca w najgorszy skwar południa, orzeźwia nas i obmywa po potwornościach tamtej doliny, a nieco wyżej, wśród rdzawego opłotu na sosnach, migają ulotne drobinki złota i złocisty słuź perli się w załamaniach gałązek, zapewne potwór musiał pełznąć tędy całkiem niedawno, rozpoznaję jego śliski ślad na zwałonych pniach i złota łuska zaczęła się gdzieniegdzie o sęczek albo wcisnęła w chropowatość kory, albowiem, zrozumcie mnie dobrze, przyjaciele i sąsiedzi, wspinamy się teraz na górę, przed którą cofnął się święty Calogero, mówiąc, że aby istniała światłość, trzeba pozostawić również miejsce dla ciemności, jednak w gruncie rzeczy wszystko tutaj jest rozświetlone i jasne, pomiędzy pniami drzew stoją słupy światła, które moja matka nazywała palcami Stwórcy, co napelnia mnie taką błogością, że nie jestem już pewien, czy nadal prowadzi mnie gniew na kasztelana i pragnienie jego zdradzieckiej córki, czy raczej zachwyty, bo może jednak święty Calogero się pomylił – niechże Bóg, który jest Twórcą Światła i Świata, wybaczy mi tę myśl – kiedy ścierał ten złoty blask z twarzy ziemi.

A Mniszek drepcze obok, przygarbiony pod ciężarem sakw, napakował do nich, ile tylko zdołał, wina, chleba i mięsa, powykrawawszy z owczych trupów najsmaczniejsze kęski, samo młode, różowiatkie mięso, i opiekłszy je na żarze, sami wiecie, że podrzutki są skrętne i zapobiegliwe, przypominam bowiem, że Mniszek nie pochodzi z Città di Sant'Angelo, nie posiadał daru przymierza i tam, na zboczu Nebbii, pozostaje ślepy, cała ta świetlistość osypuje się wokół niego i przemienia w popiół, powiadam wam, im bardziej zagłębiamy się w las, tym bardziej zapadają mu się policzki, włosy szarzeją i się przerzedzają, przedwcześnie wynicowane starością, mozoli się, stęka boleśnie, nie potrafię wykrzesać z siebie ni odrobiny współczucia,

choć wiem przecież, że góra jest bezlitosna, i skoro wyczuła obcość, próbuje ją wymazać i unieważnić, w gruncie rzeczy chętnie bym jej dopomógł, bo ten nowy Mniszek, niezdarny i ociężały jak juczne zwierzę – w które zmienił się z własnej woli, bo czyż każdy z nas nie nakłada sobie na grzbiet własnych brzemion? – tchnie odorem doliny, z której dopiero co się wydobyliśmy, i napawa wstrętem, zupełnie jakbyś spoglądał, mój chwacki przyjacielu, na muchy pełzające po języku wisielca, tak, nie wątpię, że niejedną raz stałeś pod szubienicą, patrząc, jak twarz skazańca ciemnieje nad sznurem od martwej krwi, i właśnie coś takiego dzieje się z Mniszkiem, jak pamiętacie, mam u boku miecz, naostrzony trzydniową zwłoką, jednakże coś powstrzymuje mnie przed ciosem, jakiś fałszywy odruch miłosierdzia, bo przecież dzieliliśmy ze sobą chleb, wino i opowieści, nie licząc sprzedajnych panien oraz zwyczajnych dziewczek, które za parę słodkich słów i garść kolorowych wstążek oddają się równie chętnie jak wszeteczniczce, tak, w każdym z nas drzemie niegodziwa ciekawość, więc wiele nadobnych panien zbłądziło do opactwa w Dole Wisielca, a potem przez całą noc nie dotknęło stopą ziemi w tamtych beztroskich czasach, zanim śmiech ich wszystkich stopił się w moich uszach w głos Mony Giulii, zanim kasztelan skazał mnie na wygnanie, a kamraci zdradzili, i z całego orszaku opata pozostał mi tylko Mniszek, mały, żałosny chuderlak, który wciąż wierzy, że wyświadczamy grzeszność słońcu, kiedy wystawiamy do niego twarze, mój samozwańczy sługa lub oprawca, nie umiem się zdecydować, bo w tym miejscu nie ma już znaczenia, co się naprawdę wydarzyło w chacie owczarzy, liczy się jedynie mój akt woli, moja decyzja, rozpięta pomiędzy posapywaniem Mniszka i milczeniem zakapturzonej kobiety.

Bo kobieta milczy.

Przynajmniej tyle ma rozsądku.

Mój dzielny towarzysz wszelako nieustannie udziela mi porad i napomnień, zupełnie jakbyśmy się zakradali do dormitorium

w klasztorze, w czym, przyznaję, przewyższa mnie doświadczeniem, jednakże nie wdzięki nowicjuszek teraz roztrząsamy, z których zresztą żadna nie spojrzalaby na tego nowego, zbydlęciałego Mniszka, biedak, nie spostrzegł jeszcze swojej przemiany, tokuje niczym głuszcem na pieńku, ani przeczuwając, że zaraz położy na nim łeb, las jest pełen niegodziwości, pokrzykuje, i wiedzie nas na pokuszenie, a jeśli ulegniesz pokusie, w ślad za pierwszą opadną cię jej siostry, prorokuje nie gorzej niż bracia od świętego Calogera, place i gospody Città di Sant'Angelo obsiada cała horda tych głodomorów, zawsze nienasyconych i chętnych wymienić lichą powiastkę na pieczyście, nie dajcie się zwieść ich wychudłym, ogorzałym pyskom, kryją psie zęby, wyostrzone pazernością, niejeden wygląda, tak jakby dopiero co wylazł z malowidła ze świętym Calogorem poskramiającym psiogłowców, tak, naigrawaliśmy się, że matki wieśniaków i pasterzy ściągających do Città di Sant'Angelo na targi i kramarki spółkowały z synami psów, których święty rozegnał po bezdrożach i uroczysskach, ty się jednak nie trwóż, śliczna panienko, za jednego całusa gotów jestem przysiąc, że kobieta owczarzy nie prześwieci spod mojej opowieści psim łbem, zresztą w oprzędzie brunatnego płaszcza przypomina raczej poczwarkę gąsienicy, bezkształtny, ciemny kontur, który może się jeszcze okazać czymkolwiek, bo słońce dopiero wspina się po niebie, a prawdziwą porą demonów jest noc i dopiero w ciemności odsłaniają twarze.

Zanim jednak tak się stanie, zanim opróżnimy dzbany i pozwolę wam odejść na spoczynek w ramionach tłustych żon i jasnowłosych kochanek, nasza ścieżka wije się i meandruje przez parowy, wydrążone cielskami smoków, w górze śpiewają ptaki, zaprawdę drą się tysiącem pierzastych głosów, jakby naśmiewały się z tych, co pozbawieni skrzydeł, muszą mozolnie przedzierać się przez kolczaste pnącza i kępy pokrzyw, niektóre sfruwają całkiem nisko, trzepocząc nad naszymi głowami, popatrzcie, jakieś płowe straszycło ugodziło mojego kamrata dziobem w czoło, potknął się, wypuścił juki i dorodna szynka potoczyła się

w błoto, klnie teraz, wymyśla ptactwu od demonów, chociaż wyglądają na zwyczajne sójki, wścibskie i rozwrzeszczane, ale Mniszek wie swoje, ona je do nas ściąga, drze się, tarמושąc odzienie na pasterce, zwołuje przeciwko nam leśne bestie, i faktycznie, dwa ptaki już dziobią mojego dzielnego towarzysza w rękaw, są wielkości gołębia, z zalotnymi plamami błękitu na skrzydłach, myślę, że przywabia je żywa, płomienista barwa kubraka, Mniszek zawsze lubił się nosić ponad stan i chociaż nie raz i nie dwa oćwiczono go za tę bezczelność, wciąż obleka się w zakazane barwy i zdobi przyodziewek guzami z kunsztownej srebrnej plecionki, aż miło spojrzeć, jak przechadza się przed Duomo, nasz dziarski, zalotny kogucik w berecie z pstrym piórkiem, które opada do połowy pleców, młodziutkie mniszeczki, chichocząc, oglądają się za nim z kruchty, poprzewieszały się przez cień zalegający w przedsionku świątyni, welony mają przekrzywione, lica im płoną z zapału, choć bynajmniej nie do modlitwy, aż zza kraty wychyla się ostronosy kapelan, wychudły od postów, i zaczyna je młócić drewnianym różańcem po grzbietach, nabożne wróbliczki rozpierzchają się w popłochu, unosząc do kadzidlanego wnętrza katedry wspomnienie strojnisia, i w gruncie rzeczy ptasie samiczki niewiele się od nich różnią, zaczynam się śmiać, podczas gdy Mniszek toczy beznadziejną walkę ze skrzydlatymi potworami, bo do dwóch sójek dołączyły kolejne i zlatuje się ich coraz więcej, rozpoznaję zięby, rudziki, kraski oraz chmarę brązowego i szarego tałatajstwa, którego nie potrafię nawet nazwać, bo wśród ptaków jest tak jak wśród ludzi, te późniejszego stanu z rzadka domagają się uwagi, o, są nawet dwa dzięcioły, z dumą wydymające zielone piersi, i cała ta podniebna hałastra tłoczy się i świergocze wokół Mniszka, który wymachuje ramionami, trzęsie głową i przytupuje, jakby dotknięty wielką chorobą, lecz ten taniec tylko dodaje napastnikom zapału, dziobią, wyrrywają strzępy z kapelusza, można rzec, że gdyby obdarzono je większą mocą, obdarłyby wroga aż do kości, jednak i teraz nie szczędzą dziobów, pokładam się ze śmiechu, wesolość i wino, mili

przyjaciele, to dwie święte krynice, które obmywają nas z rozpaczy, i wtedy Mniszek wybucha jazgotem zajadlejszym niż wprzód, sprowadziłeś na nas to wszystko, ryczy, chociaż doprawdy nikt go nie namawiał, żeby podążał za mną, podobnie jak nikt nie zmusza was, moi mili sąsiedzi, żebyście podsłuchiwali, co prawię tym zacnym wojakom, wszak ich wino piję i opowieść powinna należeć wyłącznie do nich, jednakże porzućmy te próżne zwady i wróćmy do Mniszka, który gniewa się i podskakuje, co nie wywiera żadnego wrażenia na ptactwie, mnie zaś napawa jeszcze większą wesołością, ktoś szlachetniejszej natury z pewnością by się opamiętał, nasz podrzutek wszelako z upodobaniem daje upust złości, wygraża mi pięścią, kasztelan skazał cię na wygnanie, bo mu znieprawiłeś córkę, a tyś mściwie wymyślił tę podróż, smoka i całą resztę, a wszystko z próżności i pychy, z powodu młyna oraz czterech winnic w dzierzawie, obiecywałeś, że wyrwiesz Città di Sant'Angelo z bezruchu, jednak ona ani drgnęła, tylko ty się oddaliłeś, i nie myśl, nie ośmielaj się nawet mieć nadziei, że zdołasz do niej powrócić, nigdy już nie będziesz opatem, przedłożyłeś siebie nad braci i teraz ja cię powstrzymam, popatrzcie, jak wygraża mi chudą pięścią, i nagle dwie sójki wiszą mu u rękawa, wyrywając płaty krwistego sukna, spod którego prześwieca już bielutka skóra.

Przyznam, że ptasia zabawa z początku wydaje się niewinna, ale widziałem kiedyś, jak paziowie judzili chochołem sokoły w ptaszyńcu kasztelana, i naraz ogarnia mnie lęk, że Mniszek podzieli jego los, w poszarpanym przyodziewku nie wygląda już zalotnie, ptactwo odarło go zarówno z urody, jak i z odwagi, skulił się i znieruchomiał przy ziemi, osłania ramionami głowę i pojękuje, w pokorze znosząc ciosy dziobów i skrzydeł, wierzcie mi, aż żal patrzeć, a jak dobrze wiecie, spod opończy żalu zwykle wyziera podszewka pogardy, oczywiście pamiętam, co tu przed chwilą wygadywał, wszak życie jest wielką księgą, w której nieustannie przybywa zapisków, i zanim Najwyższy Kupiec zechce je wszystkie zliczyć, czeka nas jeszcze wiele pomniejszych obrachunków,



jednakże, co tu kryć, biedny głupiec jest tutaj na mojej łasce, więc podnoszę kamień wielkości męskiej pięści i ciskam z całej siły w pierzaste straszysła, rozpierzchają się w popłochu, jakby przestał na nie działać niewidzialny czar, a kiedy znikają, słyszę, jak Mniszek pochlipuje i siąka, chyba jeszcze nie uwierzył w zupełności w swoje ocalenie, dygocze, rozciera krew spływającą po twarzy, a kiedy wreszcie udaje mu się podnieść i usiłuje coś powiedzieć, z jego ust dobywa się odgłos, jakim nawołują się w trawach szare kuropatwy.





\* IE MARKUJCIE współczucia, wszak przyszlście tutaj, żeby patrzeć moimi oczami na zagładę miasta, z którego nic nie wynieśliśmy oprócz opowieści, które muszą nas teraz karmić i ogrzewać w chude zimowe miesiące, więc słuchajcie bardzo uważnie, postawili nas na murach od zachodniej strony, w rozsądnym oddaleniu od Bramy Rzeźniczej, bo mimo wszelkich patriotycznych uniesień i naszej nowo odkrytej mieszczańskiej solidarności majstrowie nie ufają nam bez reszty, jednak mamy stąd dobry widok na gościniec i tkwiące pomiędzy winnicami kamienie graniczne z odcisniętym znakiem stopy świętego Calogera, który przed wiekami ogołocił tę ziemię z demonów, kasztelan rozstawił przy nich skazańców, obiecując im odpuszczenie wszelkich przewin, jeśli tylko gracko się sprawią w boju i oczywiście zdołają przeżyć, co wcale nie jest takie pewne, gdyż mają wypatrywać cesarskiego wojska, choćby kosztem własnego życia, które i tak dynda przecież na włosku i nie zerwało się wyłącznie z powodu śmierci mistrza Ursmara, naszego nieodżałowanego oprawcy, lecz te niewdzięczne psie syny bez wątpienia uciekły, gdy tylko owiało je górskie powietrze, chociaż majstrowie z powagą znawców wojennego rzemiosła zapewniają się nawzajem, że jedynie się tak dobrze pokryły przed wrogiem, cóż począc, wszyscyśmy podatni na krzepiące mrzonki, nawet ten imbecyl Ilario, któremu powierzono komendę na naszej części muru, tak, tenże właśnie rzeźnik Ilario, co jeszcze niedawno biesiadował z nami w Dole Wisielca, i patrzajcie, oto został najmłodszym majstrem w naszej Città di Sant'Angelo, albowiem w życiu wydarzają się czasem małe cuda i kariera naszego Ilaria do nich należy, chytrusek rozkochał w sobie córkę majstra i w mig ją rozdziewiczył, a młódka póty ciosała

ojcu kolki na głowie, póki stary nie uległ i nie wpuścił Ilaria do własnej jatki, gdzie nasz dzielny kamrat w te pędy się ustatkował, nabrał powagi oraz potłuścił, a teraz w radzie najgłośniej krzyczy na swoich niedawnych braci, że moczymordy, złodzieje, kacerze i gwałciciele niewiast, i naprawdę miło będzie popatrzeć, jak los go strąca z powrotem w mierzwę, z której dopiero co się wybił.

Ilario siedzi zatem na beczcze ze smołą, jest z niego potężny pachol, sękaty, grubokościsty, Stwórca nie poskąpił mu krzepy, sami widzieliśmy, jak jednym ruchem tasaka rozpoławia ciołka, lecz minę ma nietęgą, cesarska czarna armia to jednak nie wypatroszona tuszka, raz po raz drapie się po brzuchu, mało sobie w fartuchu dziury nie wywierci, nam jednakowoż stara się dodawać otuchy, widać ktoś biedakowi naplótł, że tak przystoi komendantowi, cóż, Ilario jest w rozumie przyciężki, ale jeśli coś sobie wbije do głowy, trudniej go od tego odwieść, niżli ruszyć z miejsca muła, zobaczycie, peroruje, zbyt głośno i piskliwie, że po heretykach ani pył nie zostanie, są wszak znaki, znaki niechybne, poruszył się kamień w krypcie Guerina, to cud, cud niezawodny, i gdy tylko pierwszy najeźdźca postawi stopę na świętych murach Città di Sant'Angelo, Guerino wstąpi w szeregi obrońców, aniołowie otrząsną ze skrzydeł marmur i przybędą mu z pomocą, ich miecze będą płonęły świętym ogniem, którego nic nie może powstrzymać, ani woda, ani kamień, zobaczycie, tak właśnie się stanie, Ilario się nadyma, zupełnie jak patriarcha na kazalnicy, któż by pomyślał, że w tym rzeźniczym cielsku drzemie taka krasomówcza siła, nam się wcześniej wydawał całkiem milkliwy, lecz oto pędzi nas coraz dalej poprzez prorocтва i bajędy, kamienie same się będą toczyć z murów, ożywione siłą świętej Fortunaty, choć nie traćmy z widoku, że ona jednak została ścięta przez pogańskiego cesarza, więc jej wstawiennictwo może się okazać niewystarczające, ale to nic, nie trzeba nam dzisiaj niedowiarków i kpiarzy, zeszłej nocy święta patronka objawiła się starej mniszce i nasze bogobojne panienki od rana obnoszą

wokół wałów jej relikwie, z czcigodnych szczątków bije woń fiołków i róż, zupełnie jak wtedy, kiedy sama chodziła po mieście, wypędzając zewsząd demony, zaprawdę, nikt nigdy nie sprawowałby nad nami pewniejszej opieki, a to dopiero początek cudów, niebawem Urodzeni otoczą Città di Sant'Angelo niewidzialną siecią, przez którą nie przecisnie się strzała ani wystrzelony z katapulty kamień, wielu z nich zostało przecież świętymi i ich imiona wyryto w Muro Rosso, z naszego dobrego Ilaria zawsze był po trochu głuptak, więc ani mu przyjdzie do głowy zastanowić się krzynkę, z jakiego to powodu Urodzeni mieliby kochać Città di Sant'Angelo, tę tkliwą matkę, która pali własne dzieci, toż każda stara babina, jeśli nie dość dobrze kryła się z tymi bajdami o nocnych wycieczkach, zgorzała wesolutko na stosie za herezję, nadto brama na szczycie Nebbii odemknie się, grzmi Ilario, i wypuści nam na pomoc ziomków pomarłych przed wiekami, bo strach to potężna siła i w tej chwili gotów jest uwierzyć, że gołębie – które upodobały sobie szczyt barbakanu i obsrywają nas z zemsty, że tyle ludu znalazło się na mury i nie daje im wysiadywać jajek – zaraz cudownie się przemienią w zastęp świętych dziewic i nabożną pieśnią przeistoczą cesarskie wojsko w kamień.

Dzień wlecze się z mozołem, słońce pali, pościągaliśmy hełmy i zlegliśmy w cieniu blanków, co jakiś czas posyłamy chłopaka do gospody po wino, Ilario usiłuje intonować nabożne pieśni, doprawdy, na małżeńskim wikcie wyklął się z niego niezgorszy świętoszek, w porze obiadu pomocnik masarza przynosi mu koszyczek wyłożony śnieżnobiałą serwetą, w środku kryje się szyneczka, tak różowa i soczysta, że na sam jej widok zęby wychodzą z gęby na dobry łokieć, Ilario zre pospiesznie z zachłannością grubasa, który nie uroni ani odrobiny, choćby miał mu się kałdun rozpęknąć, obserwujemy go z niechęcią, bo wprawdzie kasztelan kazał wydawać jadło na murach, jednakże nie dla nas masarskie specjały, my musimy się zadowalać miską soczewicy i pajdą razowego chleba, doprawdy, należałoby

wyrównać tę niesprawiedliwość, zabieramy się dziarsko do dzieła, rozniecamy ogień, zaraz rozgrzejemy smołę i może upieczemy coś pożywniejszego niż szynka, bo niedobrze jest cierpieć głód, ale co możecie o tym wiedzieć wy, moi mili słuchacze, którzy zabroniliście zbiegom wstępu do waszych miast, kościołów i karczem i sprzedawaliście nam ziarno za cenę srebra, wymienialiście chleb na ślubne pierścienie naszych kobiet, słuchaliście płaczu głodujących dzieci i zamykaliście bramy przed uciekinierami, idźcie precz, wołaliście, porzuciliście konające miasto, swoją najczulszą żywicielkę, więc schrońcie się do tej bramy, o której tyle słyszeliśmy, a jeśli się przed wami nie odemkneła, nie sądźcie, że my okazemy się łaskawsi, nie kalajcie naszej ziemi ani swoim życiem, ani swoją śmiercią, chociaż na naszą śmierć chcecie jednak popatrzeć z bliska, tak, wymykacie się do naszego obozu, by posłuchać ocalałych z rzezi Città di Sant'Angelo, żeby poczuć smród ciał palonych smoczym ogniem, a ponieważ legendy płoną również ostatecznie jak śmiertelne ciało, chcecie sycić wzrok zagładą ojczyzny Guerina, cóż, miasta rzadko okazują się tak rozkosznie śmiertelne, no i któż wiedziałby o tym więcej niż my, którzy staliśmy na murach tamtego dnia, kiedy nadszedł Efraim?

Bo cesarz pojawił się z taką samą nieuchronnością, z jaką wypuszczona strzała zmierza do celu, obyście nigdy nie oglądali czegoś podobnego, z oddali wojsko przypomina ogromnego smoka, który pełźnie powoli, tu i ówdzie migocząc srebrną łuską czy przebłyskiem szkarłatnej chorągwi, przy krawędziach jego cielska bije dym, bo żywiołem tego węża jest ogień, moi mili, chociaż z tej odległości nie można rozpoznać, czyja chałupa właśnie obraca się w popiół, ale słysząc już jego szept, słabe syczenie, przytłumione przez odległość, w którym zlewają się ludzkie głosy, końskie rzenie, turkot kół, szczęk broni, wszystko to tam jest i potężnieje, w miarę jak żelazny wąż się zagłębia pomiędzy nasze sady, winnice i warzywniki, dzwon przy Duomo odpowiada mu pełnym głosem, my również wrzeszczymy, żeby dodać

sobie animuszu, brzuch biednego Ilaria nadyma się jak dudy i jego krzyk też dziwnie przypomina beczenie, tak żalą się kozy prowadzone do rzeźni, ale nas już obok niego nie zobaczycie, bo właśnie pędzimy ulicą, kłapiemy chodakami po bruku, miasto jest puściusieńkie, okiennice zaparte na głucho i nawet nie pachnie człowiekiem, tak, dzisiaj nie rozpalono pod kuchniami, panie i pomywaczki, pojednane przerażeniem, poszczą na intencję cudownego ocalenia, nic nie skwierczy na patelniach, nic nie kipi w garnkach ani rondelkach, rynki i kociołki rdzewieją nadaremno, czyż to nie posepny obraz ostatecznej zagłady, doprawdy, musimy wprowadzić w tę panoramę nieco życia, czas wyważyć te drzwi i cóż to za przedziwne zrządzenie losu, że prowadzą akurat do kuchni Orsoli od świętego Ermenegilda, sami jesteśmy zdziwieni, że poszło nam tak łatwo, stara ma piersi płaskie jak miecz sprawiedliwości i cuchnący oddech, i po co się tak drzesz, stara małpo, żaden z twoich kaznopierdców nie usłyszy, zamknęli się w zakrystii i zapamiętali łomoczą w niebo modlitwami, Orsola również czyni sporo hałasu i kiedy nią potrząsamy, wydaje się, że w środku grzechoczą kości, naprawdę nie ma w tym nic przyjemnego, gdy człek zanurza się w fałdy zwiotczalego ciała, ale tu nie chodzi, moi drodzy, o rozkosz, tu chodzi o wyrównanie rachunków z tym parszywym miastem, naszą srogą macochą, która nie miała dla nas dobrego słowa ani kromki chleba, na szczęście niebawem będzie lepiej, bo kiedy z nią kończymy, rozdzielamy się i biegniemy dalej, zanim jednak to się stanie, rozgarniamy popiół na palenisku, jeśli się człowiek postara, zawsze znajdzie parę gorących węgielków, no proszę, już do nas mrugają wesolutko, a tym rupieciom w kuchni naprawdę wiele nie trzeba, aż dziw, ile stara tu naupychała koszyzków, skrzynek, worków, dzbanków, drewnianych misek i cebrzyków, i teraz to wszystko się pali, płomyki pełgają po stole i po kredensie, który jest dumą każdej gospodyni, więc ten wieprzowy pasztet naprawdę nie powinien się zmarnować, weźmiemy wszystko z podziękowaniem, salcesonu Orsoli doprawdy nie

powstydziliby się niejeden masarz, no, co się tak gapicie, któż tak naprawdę jest bohaterem, ten, kto staje na rozpadającym się murze, żeby dać się zabić, czy ten, kto wynosi z ginącego miasta łup i opowieści?

Bo jeśliście dotąd nie zauważyli, cesarz Efraim podchodzi już pod bramy miasta, a trzeba wam wiedzieć, że słusznie nazywają go barbarzyńcą i okrutnikiem, nie traci bowiem czasu na uprzejmości ani negocjacje, wypuszcza strzały w kierunku rycerzy kasztelana, tych nieszczęsnych mydłków, którzy wyszli mu naprzeciw w swoich bufiastych porteczkach, z niedorzecznymi kitami przy hełmach, myśląc, że wystarczy pomachać paradną flagą, żeby zamienić szturm w jarmarczną sztukę, jedną z tych, w których wszyscy się sobie nawzajem kłaniają, a krew jest z rozgniecionych malin, cóż, ultramontanie najwyraźniej takich sztuk nie oglądali, i kiedy wszyscy posłowie są już odpowiednio martwi, żwawo zabierają się do roboty, nie rozbijają nawet obozu, po cóż trwonić czas dla tych paru domków, które w bitewnym łomocie zdają się teraz tulić do siebie ze strachu i zaraz zostaną zdmuchnięte z powierzchni ziemi, zupełnie jakby sklecono je ze słomy, cesarscy żołnierze spłądrowali dotąd tak wiele podobnych miast, że nawet nie pamiętają ich imion, jednakże czasami nawet lew się zadławi chudym kąskiem i, jak wiadomo, to właśnie przydarzy się Efraimowi w Città di Sant'Angelo.

Jednakże na razie miasto dzielnie stoi, kasztelan również stoi na platformie przy północnej bramie, tak, tej samej, którą plebs obwołał Furtą Banitów, i widać Bianchowie też o niej nie zapomnieli, bo jeśli przyjrzyście się uważnie, zobaczycie w atakującej zgrai ich plugawe mordy, kasztelan musi mieć kwaśną minę, kiedy tam sterczy jak dureń pod szkarłatnym sztandarem Guerina depczącego łeb smoka, a po jego obu stronach pyszną się nasi majstrowie, rozlokowani według porządku, posiadacze ziemscy, juryści, szewcy, rzeźnicy, krawcy, każdy cech oddzielnie i pod swoim znakiem, zupełnie jak na majowej procesji,

powywlekali z Duomo odświętne chorągwie oraz relikwiarze ze szczątkami świętych patronów i jakże pięknie wygląda nasze miasto w tej chwili, kiedy Efraim ciska w nie kamieniami z katapult, a majstrowie prężą się w odświętnej barwie i wypolerowanych puklerzach, część zbroi pamięta jeszcze czasy świętej Fortunaty, a ich właściciele gną się pod ciężarem historycznej dumy, pot im spływa po czołach, zalewając oczy, może to i lepiej, bo nie widzą i nie rozumieją zbyt wiele z tego, co się dzieje, mnisi od świętego Calogera pospołu z mnichami od świętego Amandusa, pojednani wspólną zgrozą, uwijają się wśród nich jak stado trutni, zagrzewając do boju, dzwon Duomo wali na trwozę, wokół kasztelana trębacze i bębniarze czynią dziki hałas, mężnie zagłuszając krzyki konających, bo cesarscy żołnierze bezwstydnie rażą z łuków i trzeba przyznać, że dzikusy znają się na robocie, podczas gdy nasi ledwo potrafią znaleźć uchwyt na łączysku, ale czego chcecie, wszak piekarz i masarz nie parają się żołdactwem i zwykli mordować bliźnich w zupełnie inny sposób, chociaż nieświeża mortadela bywa równie skuteczna jak łuk, my jednak, wesole bractwo z Dołu Wisielca, mamy w zabijaniu nieco więcej doświadczenia, więc śmiało pędzimy przez ulice i place, wyważamy wrota, odmykamy kłódki, kiedy jakieś sługi usiłują nas zatrzymać, a po kamienicach zaszyło się trochę starych i chromych niebożątek, które nie dały rady wdrapać się na mury, żwawo rozbijamy im głowy okutymi pałkami i hejże, hop, nareszcie jesteśmy w komnatach naszych mistrzów, w ich alkierzach, sieniach, jadalniach, świetlicach oraz komorach, w ich mięciutkich gniazdkach, wysłanych kobiercami i wielobarwnymi tkaninami, tarzamy się w jedwabnym pierzu, gruchoczemy sprzęty, rozbijamy kredensy, skrzynki, almarie i sepety, ach, kiedy pękają, jest to najmiłsza na świecie muzyka, dziewczeczki też słodko piszczą, ale na nie przyjdzie czas później, a może nawet pozwolimy im ujść z życiem, jeśli nie będą się z nami szarpać i ukrywać klejnotów, którymi napelniamy sakwy, nie gardzimy medalionami z wizerunkiem świętej Fortunaty, patronki zatęchłego



dziewictwa, ani ślubnymi pierścieniami, ta cuchnąca maciora, matka majstra, nie chce go zdjąć, więc odcinamy klejnot razem z palcem, tak, po kolei odcinamy jej wszystkie paluchy, żeby już nigdy więcej nie mogła szarpać przed brzaskiem za sznur od dzwonka przy bramie i wyganiać z pościeli zacnych wyrobników, moglibyśmy wyrwać jej też język, ale klątwy brzmią tak zabawnie, kiedy tańczymy nasz dziki taniec wokół stołu w jadalni, tak, babciu, nie kąsa się ręki, która karmi, lecz nam zbyt długo doskwierał głód i odtąd nigdy już nie będziemy głodni, bo znamy tu wszystkie schowki i skrzynki, wiemy też, po co kopaliście zeszłej nocy pod migdałowcem, przesiewamy ziemię między palcami, żeby wygrzebać wszystkie monety, dobre złoto zawsze się przyda, obojętne, czy jest na nim wizerunek Guerina, czy innego pajaca, chyba nie sądziliście, że cesarscy żołnierze nie wycisną go z was do ostatniego dukata, właściwie powinniście okazać nam wdzięczność, że uwalniamy was od jego ciężaru, bo czyż nie lepiej, żeby pożywił się swojak niż cuchnący barbarzyńca z północy, który nie rozumie głosu dzwonów i nie przywykł chodzić po bruku, właściwie postępujemy wręcz patriotycznie, co, jak każdy dobry uczynek, natychmiast musi zostać ukarane.

Bo kiedy wciąż się namyślałyśmy, czyby ukatrupić starą majstrową, czy może poprzestać na jej wychłostaniu, bo też nie odpuściła nam żadnej winy i każdą kazała wypisywać po grzbiecie rzemieniem, słyszymy na ulicy wielki wrzask i tak, ultramontanie już tu są, wdarli się w obręb murów, cóż za kompromitacja, myśleliśmy, że będziecie opierali się dłużej, drodzy cechmistrzowie, wy zaś po raz kolejny zawiedliście nasze nadzieje, doprawdy, w śmierci okazaliście się dla nas równie niełaskawi jak za życia, później wyjdzie na jaw, że stary Fulko, co niegdyś strzegł Furty Banitów – nie sądziliśmy, że jeszcze dycha, bo supeł jego garbu z wiekiem zaciskał się coraz mocniej i garbus od dawna już tylko leżał jak truposz w posłaniu – dowłókł się jakoś na mury, a potem poodmykał sekretne kłódki z zadawnionej, jak mówią, nienawiści do swego pryncypała z kasztelu i jego zadufanej córki, ale ale, czy ten okrwawiony

chudzielec to nie chlebowca naszego świętej pamięci Iacopa?, czyżby święty Ermenegildo ostatecznie poskąpił mu opieki? – a musicie wiedzieć, że tkacz darzył go wielką estymą i niejedną raz nabożność wzbierała w nim w środku nocy, walił wtedy w dzwonek u bramy i spędzał całą rodzinę do sieni na modły, i biada, jeśli któryś z czeladników niewystarczająco się spieszył albo pomylił słowa, bo chudy skurwysyn miał ciężką rękę, z krwią uchodzą złe myśli, mawiał podczas chłosty, cokolwiek czynię, czynię to dla waszego dobra, no i popatrzcie, jemu też się sporo złego nazbierało pod skórą, sądząc po posoce, która mu cieknie po plecach, ale mimo ran biegnie żwawo jak osioł il Doppa, gdy mu się przyżega podogonie, kiedyś dźgnęliśmy go pogrzebaczem, wcześniej należycie wyobracawszy narzędzie w palenisku, właściwie powinniśmy się zatrzymać i poświęcić tkaczowi nieco więcej uwagi, ale teraz już należy do cesarskich knechtów, zresztą ulicami gna jeszcze wielu naszych dobroczyńców, ciekawe, co zamierzają, może zaraz staną w progach domów, żeby powitać Efraima chlebem i solą, wstydliwie kopnąwszy w kąt zardzewiały szyszak, doprawdy, nie ma o czym gadać, szlachetni przybysze, to pamiątka po dziadku, nie mamy tutaj żadnej broni, po prostu handlujemy sukniem, no, ale z tej niedoli nie da się chyba wykić tak łatwo, my w każdym razie ani myślimy próbować, ktoś przecież musi wyjść zwycięsko z tej przygnębiającej awantury i nie będzie to kasztelan ani Mona Giulia, która nie chciała wyjechać z Città di Sant'Angelo, podobno dla podniesienia naszego ducha, ale bądźcie pewni, że nasz duch jest krzepki i bez widoku tej rozlazłej małpy.

Biegniemy co tchu w piersiach, przemykamy się przez sekretne furtki, dziedzińce, warzywniki i dziury w parkanach, skaczemy po dachach domów i przybudówek, znamy tu wszak wszystkie przejścia, ciemne zaułki i przesmyki, do których nigdy nie trafia nocny ront, a za nami płonie Città di Sant'Angelo, z okien syją się sprzęty, rozszarpywane pierzyny ronią białe płatki, jakiś jednonogi staruch zastawia się przed dwoma żołnierzami rybackim hakiem, ale zanim zdążymy rozpoznać,

kim jest ten głupiec, gębę zalewa mu krew, tuż obok, w zaułku skręcającym ostro w dół ku kościołowi Świętego Calogera, dziewczeczka w niebieściuchnej sukience wyskakuje przez okno z dziecieniem w ramionach i nie, nie oglądamy się za nią, musimy się stąd jak najspieszniej wydostać, nie spowolni nas ani grabież, ani miłosierdzie, bo ultramontanie już rozrywają podszewkę miasta i nawet jeśli najwierniejsi z nich nadal prą w górę, ku pomniejszonej i spokorniałej raptem bryle kasztelu, to wielu innych, skuszonych łupem, kobietami czy winem, postanawia odetchnąć po trudach szturmów i nie, śliczna panienko, wcale nie są o dwa łokcie więksi od nas, nie mają też wilczych łbów, choć wielu narzuciło na hełmy wygarbowane psie skóry z czerwonymi klejnotami wprawionymi w miejsce ślepi, zapewne niejedna mieszczka poroni ze strachu, kiedy zobaczy nad sobą taką bestię, łyskającą w mroku alkierza psimi kłami, jednakże nawet oni zdychają, jeśli poderznąć im gardło albo wsadzić w pierś z pół łokcia solidnego żelaza, i żaden nie podnosi się z ziemi jako wilkołak, w każdym razie myśmy nic podobnego nie widzieli, broczą czerwoną krwią i kiedy zdychają, flaki też wychodzą z nich zupełnie pospolite, a ich ostatnie słowa wsiąkają w bruk Città di Sant'Angelo i nikt ich nie opłacze, przepadną razem ze wszystkimi, którzy nie mają tego dnia dość sił, żeby wspiąć się wysoko, do ujścia wodociągu.

Kiedy już przy nim jesteśmy, kamienne domy przypominają zetlałą tkaninę, spod której wydobywają się ogień i dym, zresztą wiele z tych pożarów sami wznieciliśmy podczas naszej niesławnej ucieczki, bo czyż dobra matka nie powinna poświęcić życia, żeby ocalić swoje dzieci? – chociaż moja tego akurat nie zrobiła, była flaczarką i raptem przypominam ją sobie, kiedy zagłębiamy się w uliczkę czyścicieli wodociągu, mają tam służę i przepuszczają przez nią przemytników, tych najbardziej skąpych, którzy nie okupują się pacholkom przy bramach, czyściciele cenią się znacznie niżej i my również zanadto ich nie cenimy, nie chcemy, żeby mieszały się z rzetelnymi wyrobnikami,

kamienie sypią się gęsto, jeśli któryś zapaści się bliżej rynku, mają swoją kaplicę obok przytułku Świętego Symforiana, gdzie słuchają nabożeństwa pospołu z ladacznicami, żebrakami, łapaczami psów i przedstawicielami innych parszywych profesji, matka mnie tam prowadziła, kiedy byłem dzieckiem, każdej niedzieli przed świtem szorowała mnie w balii, przyciskała szczotkę tak mocno, że płakałem z bólu, ale smrodu nie dawało się wywabić, przyczajał się w fałdach skóry i gdy tylko wychodziliśmy na ulicę, ze zdwojoną siłą wybijał spod koszuli, jednak matka go nie czuła, nieustannie obgotowywała wołowe kiszki w wielkich, brzuchatych kotłach, w nocy światło oliwnego kaganka wyszlachetniało jej profil i przez moment jej twarz wyglądała tak, jakby powleczono ją emalią na jednym z medalionów, które nasz kasztelan rozdawał rycerzom, jeśli się szczególnie zasłużyli podczas majowych turniejów na błoni, i na cóż się staremu głupcowi przydały te wszystkie gonienia do pierścienia i pojedynki w kole? – chociaż moja matka całkiem je lubiła, ładowała na wózek swoje wielgachne gary i zaprzęgała się do niego jak osłica, a ja musiałem popychać go z tyłu, jeśli koło uwięzło w koleinie, najlepsze flaki w Città di Sant'Angelo, krzyczała z całą mocą płuc, bo na majowym błoni wszyscy czynią zgiełk, ale myślę, że nie chodziło wyłącznie o zarobek, naprawdę lubiła te widowiska, i kiedy kotły były wreszcie puste, kupowała mi za parę miedziaków białą bułkę, po czym wdrapywaliśmy się na rusztowania trybun, wyszykowanych dla szlachetnych pań i żon mistrzów, wszyscy jesteśmy dziećmi Città di Sant'Angelo, mawiała z dumą, jeśli na festynie gromada naszych byczków pokonała w przeciąganiu sztokfisz drużynę wieśniaków, zupełnie jakby wypadło jej z głowy, że parę dni wcześniej życzyła tym samym osiłkom nagłej śmierci, kiedy przydybali ją na placu przed Duomo, gdzie zawsze łatwo o zarobek, i wylali zawartość saganów do rynsztoka, ale patrzcie, teraz się do nich śmieje jak głupi do sera, ściska mnie i mówi: jesteśmy mocniejsi od innych, my, urodzeni w Città di Sant'Angelo i wykarmieni jej mlekiem, potrafimy zająć tam, dokąd

inni boją się nawet spojrzeć, i tak właśnie zamierzam uczynić, droga matko, chociaż ty nigdy nie opuściłaś naszego zaułka, po prostu nie wróciłaś któregoś dnia, kotły też zniknęły bez śladu, podobnie jak reszta wyposażenia naszej izby, poczciwi sąsiedzi rozkradli je tego samego wieczoru, nie oszczędzili nawet zapadniętego siennika, wyczyścili podłogę do ostatniego okrucha, cóż, nad takimi jak my nawet woda zamyka się bez śladu i ja również zaraz zejść wam z oczu, jeszcze tylko dopiję wino i dojem tę kiełbasę, zaprawdę, zapracowałem na nią krwawym potem i tysiącem słów, ale nie bójcie się, wcześniej dokończę swoją historię.

Jeszcze kilka susów przez dogorywające miasto i jesteśmy przy śluzie, drewniane zastawy zwisają na wyłamanym zawiasie, cóż, czyścicie, szelmy, ubiegli nas w tej ucieczce, ze szczeliny w bruku wybija brunatna breja, trudno, umoczymy podeszwy i wyniesiemy nieco brudu do tego wielkiego pięknego świata poza Città di Sant'Angelo, a nie zostało nas już zbyt wielu, bo tego dnia moi kamraci kruszą się i wypadają jak kamienie ze starych murów, więc teraz muszę dźwigać trzy sakwy, ale jako pierwszy wchodzę do tunelu, na pewno nie pomylę drogi, byliśmy tu już przecież parę razy, tyle że wówczas prowadzili nas stróże akweduktu, że też, tchórzliwe ścierwa, nie poczekali, na szczęście to tylko kilka kroków w ciemności, parę zakrętów i śluz, przez które przelewa się woda, w przewężeniach jest tak ciasno, że trzeba pełznąć na kolanach, z góry sypie się gruz i szczury rozbiegają się po ścianach z gniewnym popiskiwaniami, nie sądziliśmy, że to potrwa tak długo, zaczyna nam już brakować powietrza, sakwy ciągną w dół, jakby każdemu z nas zawiesili na szyi kamień sprawiedliwości, z tyłu słychać pluskot i charczenie, jakby jakieś wielkie zwierzę brnęło za nami przez wodę, cóż, trudno się dziwić, nie my jedni znamy tę drogę, i raptem któryś z naszych zaczyna krzyczeć, a wiecie, wielu jest takich, co nie chcą chodzić pod ziemią, przerażeni, że umrą za życia i przejście wyprowadzi ich prosto do krainy zmarłych, ale w gruncie rzeczy prawdziwym

niebezpieczeństwem są żywi, bo żywi mają noże, miecze i tropiące psy, wierzcie mi, dopiero śmierć czyni z ludzi niezawodnych przyjaciół, chwytamy mocno tego wrzaskliwego nedorajdę, nie dotarliśmy tak daleko, żeby dać się schwytać, i wciskamy mu łeb pod wodę, jest tak skapcianały ze strachu, że nawet się bardzo nie szarpie, wierzga tylko ze dwa razy i cichutko zdycha, i my też jesteśmy na poły nieżywi, kiedy wreszcie udaje się nam wydostać.





ZYŻ NIE jest prawdą, że dano nam mowę, aby odróżnić nas od zwierząt i demonów? – może więc zamiast namyślać się dłużej, powinienem przebić robaczywe serce Mniszka już tam, w ptasiej pułapce, jednakże wierzcie mi, jest w jego słabości coś rozkosznie swojskiego, więc odkładam sprawiedliwość na później, nie marszczcie się, wojenni panowie, każdy toczy bitwy wedle własnego uznania, i jeśli sądzicie, że poszkapilem sprawę, tedy pamiętajcie, że was również stworzono głupcami, nadto potrzebuję przecież przynęty dla smoka i sługi dźwigającego sakwy i pilnującego drogi, a oniemiały Mniszek rwie się i pędzi do przodu jak znarowiony koń, ledwo za nim nadążamy z pasterką, młóci powietrze rękami, rachuje jakieś znaki na drzewach, zbiera szyszki, odmierza palcami odciski w mchu, obwąchuje stratowane patyki, pokazując na migi, że ani chybi odpoczywał tu smok, po południu zapadł w trawienną drzemkę, po czym wytarzał się w wonnym ziele i popelzł dalej, wlokąc po ziemi ciężki toból brzuszyska, wypełnionego owczym mięsem, miodem, trującym zielskiem i ogniem, bo zapewne wiecie, że smoki piją ogień, tak jak my żłapiemy wino, lgną do podziemnych palenisk, tych, co napęlniają gorącością całą ziemię, i z taką zachłannością spijają płomienie, że aż z czubków gór idzie dym, a w każdym razie tak się dzieje w naszych stronach, bo może tam, skąd pochodzicie, ziemia jest równa i płaska jak piersi tutejszych dziwek, powiadam wam, że nie widziałem w życiu szpetniejszych, i jeśli rzucicie jeszcze parę groszy na stół, zaprowadzę was do Gianni spod Pękatego Wieprza, usługuje samemu patriarsze, więc doprawdy wie, jak zadowolić mężczyznę, choćby z najdalszych stron, bo kiedy nas obłupić z kaftanów i koszul, wszyscy w ciemności stękamy i płaczemy takim

samym głosem, ale na to przyjdzie jeszcze pora, na razie patrzcie na Mniszka, oto on, niestrudzony tropiciel smoka i znów mój najwierniejszy druh, cóż, każdemu wymknie się czasem parę nieroztropnych słów, sumituje się, naprawdę jednak nie żywi do mnie najmniejszej urazy, odnajdzie dla mnie smoka, pazurami wydrapie go z podziemnej jamy i przyjmie we własną pierś wszystkie razy, świat dotąd nie był świadkiem podobnej wierności i takiegoż poświęcenia, sądzę, że właśnie to usiłuje powiedzieć, kiedy zabiega mi drogę i z kuropatwim skrzeczeniem zagląda w oczy, jest coś wielce ptasiego w jego postawie i gestach, rzekłbyś, że zaraz zacznie wydziobywać ziarno spomiędzy korzeni, a nie pogardzi i ziemnym robakiem, jeśli mu się trafi co tłustszy.

Tak się bowiem składa, że nadchodzi pora wieczery, i wprawdzie nie doskwiera mi głód, czas jednak się zatrzymać na odpoczynek, zanim mrok popchnie nas ku uroczyskom, zresztą jestem znużony moimi towarzyszami, jeden ledwo co widzi spod szmaty, ale milczy jak pień, drugi, choć oniemiały, nie przestaje gdakać, i chętnie schroniłbym się przed nimi w sen, kiedy jednak zatrzymujemy się w kręgu cyklopowych jodeł, Mniszek zaczyna się krzątać, rozkłada juki, wypakowuje mięsiwo, tak poszczękuje patelnią i rusztem, że niejedna kucharka pozazdrościłaby mu zapachu, zbiera chrust, rozpala ogień, przypatruję się w tępych zadziwieniu tej kurzej krzątaniu, tymczasem kobieta owczarzy oparła się plecami o jodłę i skuliła w kolebce korzeni, ledwo ją widać wśród brunatnych pni, szyszek i zesłorocznego igliwia, zda się, wystarczy na chwilę odwrócić wzrok, a owadzim ruchem wciśnie się w korę i zniknie, na co może należałoby pozwolić i uciec od tej straszliwej decyzji, której nie potrafię sprostać, bo śmierć nie jest taką całkiem prostą sprawą nawet tutaj, chociaż was, którzy walczyliście z najsroższym nieprzyjacielem, z pewnością niecierpliwi moja opieszałość, podobnie jak wówczas gniewa mojego dzielnego kamrata, bo coraz głośniejsze pogdakuje znad ogniska, wymyśla jak najsrożej



w ptasim języku naszej nieochoczej towarzysze wyprawy, stuka nożem w krawędź patelni, doprawdy nie umiem się nadziwić, że przywłókł ją aż tutaj, przewraca pasma mięsa, są soczyste, poprzerastane tłuszczem, ale ciągnie za nimi odór tamtej doliny martwych zwierząt i kiedy Mniszek rzuca mi skwierczący ochłap, pozwalam mu upaść, a wtedy kobieta wybucha śmiechem, już raz próbował cię otruć, mówi, patrząc mi prosto w oczy, słyszeliśmy w wichrze, jak usiłujesz się wspiąć na zbocze Nebbii, lecz on poił cię jadowitym napitkiem i ściągał w dół, żebyś zagubił się we mgle i zginął bez ratunku, i ponownie spróbuje, bo taka jest natura zdrajcy, w tej opowieści jest miłość i jest zdrada i obie przydarzają się zniecka, raptem patelnia wypada Mniszkowi z ręki, tak, moi mężni panowie, dużo dobrego mięsa kończy w płomieniach, jestem pewien, że gdyby tylko zdołał, wtrąciłby do wiecznego ognia również kobietę, jeśli naprawdę nią jest, bo przecież nie możemy być tego pewni, w każdym razie mój druh najduszek się podrywa, roztrąca na wpół przepalone głownie, ale zanim przebiegnie przez polanę tym swoim niezgrabnym, kurzym krokiem, zanim uderzy kobietę w twarz i szarpnięciem powali na ziemię, bo wprowadzie zawsze była z niego taka wiotka, chuda różeczka, a nie żaden chłop na schwał, to przecież da sobie radę z dziewczyną, na dodatek w pętach, w każdym razie zanim jej dotknie, ona odzywa się znowu: kupił truciznę na straganie starej Benedetty za dwa srebrne aspery, odwracając wzrok od jej obwisłej grdyki i brodawek na policzkach, choć gdyby nie miał monet, jej twarz zaraz nabrałaby dla niego powabu, bo właśnie tym jest, zdrajcą o słodkim języku, i może nie należy go winić, gdyż jesteśmy tym, czym nas uczyniono, więc pobiegł za tobą, zwabiony blaskiem smoczego złota, a potem zabijał wszystkich, którzy mogliby go rozpoznać i zapamiętać, kto niósł miecz, a kto niósł sakwy, bo zdrajca nie może mieć twarzy, i czy pamiętasz imię sługi Guerina?

Ma rację, musi mieć rację, resztki jadu z pewnością krążą w moich żyłach, osłabiając wolę, bo kiedy Mniszek, mały, dziarski kogucik,

powala ją na ziemię, nie robię zupełnie nic, siedzę nieruchomo po drugiej stronie ogniska, podczas gdy mój kamrat rozrywa brunatny kokon, wewnątrz płaszcz owczarka jest miękka i biała, wije się niezdarnie jak larwa przedwcześnie wydobyta na światło, Mniszek tłucze nią o ziemię, macie rację, łaskawi panowie, każdy płaci, czym może, za strawę, żar ogniska i obronę przed potworami, i kobiety robią to równie skwapliwie jak inni, jednakże nie wiem, kto tu naprawdę jest potworem, dlatego nie spuszczam z nich wzroku, kiedy walczą, czekam, aż spod kobiecej skóry wyjrzy psia sierść, bo jeśli by pasterka była człowiekiem, to skąd wiedziałyby o tej starej wiedźmie Benedecie, która jak wrzód otorbiła się w swojej bramie ledwie dwadzieścia kroków od absydy Duomo i kala święte miejsce odorem grzechu i swych plugawych dekoltów? – nawet od świętego Amandusa boją się jej złego oka, kiedy zasiada na progu i rzuca garście smrodliwego zielska na rozpalone węgle na trójnogu, udają, że nie słyszą, jak bluźni i przyjmuje zapłatę za spędzenie płodu, bo w tym właśnie jest najskuteczniejsza, wystarczy odrobina jej czerwonego proszku, żeby panna zrzuciła owoc i kwitła dalej bez najmniejszej szkody, podobno w dawnych czasach przysłużyła się tak samemu kasztelanowi, kiedy jego ojciec, owdowiawszy, wziął sobie drugą żonę i jakże fortunnie dla pierwородnego nigdy nie doczekał się z niej potomka, jednakże Benedetta, najzręczniejsza trucicielka w Città di Sant'Angelo, z równą skwapliwością wyprawia na tamten świat nienarodzonych i starców, jeśli więc Mniszek postanowił mnie otruć, z pewnością zaczerpnąłby z jednego z jej flakonów, dawno już omotał sobie starą wiedźmę wokół palca, bo jedni mają talent do złota, drudzy do miecza, nasz podrzutek zaś orze i wydobywa plon z kobiet tak samo, jak inni uprawiają pole, i nie szydźcie z niego, mili towarzysze, nie widzieliście bowiem Benedetty i wierzcie mi, jest cętkowana jak ropucha i równie pomarszczona, a smrodem przewyższa niejednego capa, lecz Mniszek wrzucił do tego wyschłego wora kości wiele komplementów

i zawsze potrafił z niego wydobyć, co tylko zechciał, więc czemużby nie sekretny jad?

Ale nie możemy tego zawczasu rozstrzygnąć, więc Mniszek kończy ze stęknieniem, stacza się z pasterki na stratowany mech i podnosi się niepewnie jak ślepiec, widzę, że czegokolwiek szukał w tej kobiecie, nie znalazł tego i teraz śmiertelnie się obawia jej dotyku, podrzutki, jak wiecie, nie są z natury odważne i ulegają przed siłą, odwraca się do mnie i wykonuje całą gamę wściekłych ćwierknień i treli, zaprawdę, z wielką gorliwością wydyma gardziołko, aby mnie zapewnić, że straszliwa niedola spadła na niego przez tę leśną czarownicę, i skoro na inną sprawiedliwość trzeba jeszcze poczekać, wymierza jej kopniaka, po czym wraca do ognia i ze złością zbiera swoje sprzęty, o, już na patelni znów syczą kawałki mięsa, kto wie, zacni panowie, co się jeszcze zdarzy tej nocy, więc trzeba zbierać siły, trzeba napychać bańdzioch mięsem i żłopać wino, Mniszek nauczyłby was tej prostej prawdy, kiedy tak siedzi przy ogniu i z posępną zaciekłością przeżuwa na wpół surowe mięso, nie myślcie sobie, że opuści mnie z powodu paru oszczerstw, odstępując mi wszystkie skarby Nebbii i słodką sławę zabójcy smoka, a ja czuję, że przez trzy dni leżałem martwy i teraz powinienem obudzić się do życia, lecz nie znajduję dość siły, kobieta również leży nieruchomo i w gęstniejącym mroku jej nagość majaczy jak kępa jasnych kwiatów, po skórze pełzają owady, zwabione cierpkim sokiem, jaki kobiety wydzielają podczas miłości, choćby wymuszonej, spójrzcie, pomiędzy jej piersiami usnęła ćma, na skrzydłach ma znak czaszki, i raptem przypominam sobie, że widziałem już podobną ozdobę i że ona również poruszała się w rytm oddechu, kiedy kasztelanka zarzuciła mi ramiona na szyję i wyszeptała te kilka słów, które wszystko zmieniły, ze zgrozy włosy stają mi na głowie, na szczęście Mniszek zlizuje z palców tłuszcz, tak doskonale zaprzątnięty troskami własnego istnienia, że nie spostrzega, jak kobieta odwraca się do mnie i jej wargi układają się do przerażającej modlitwy: uratuj mnie, uratuj mnie, zabij smoka.

Chciałbym wam powiedzieć, że chwytam ją i okrywam płaszczem, a wówczas cały czar pryska i trzymam w ramionach Monę Giulie, tę prawdziwą, która ukazała mi się na moment pod pękiem martwych drozdów, a teraz przeziiera spod skóry tej obcej kobiety jakby spod tafli jeziora, wiadomo jednak, że demony potrafią przybierać różne postacie, zwłaszcza tu, na ziemi, której nie dotknęło dobrodziejstwo świętego Calogera ani innych czcigodnych męczenników, nie chcesz tego zobaczyć, odzywa się raptem kobieta, nie chcesz się przekonać, czym jest triumf Guerina, ale Mniszek rozumie jej słowa chyba lepiej niż ja, bo podbiega do niej i zaczyna ją tłuc gałęzią, każdy cios jest potężniejszy od poprzedniego, aż biedna wije się i krzyczy, czy widzieliście kiedyś, jak mnisi od świętego Amandusa badają czarownice? – w naszych stronach rozdziwa się je ze wszystkiego i szuka znamion, jeśli zaś pozostają czyste, bije się je do krwi różgami wymoczonymi w źródlanej wodzie, żeby przybrały prawdziwy kształt, zresztą niekiedy i to nie wystarcza, gdy nawet w obliczu śmierci uparcie czepiają się skradzionej formy, chociaż mój ojciec widział coś innego, a była to jedna z nielicznych opowieści, jakie zdarzyło mu się uronić, pewnego wieczoru po śmierci matki wrócił z oboziska dobrze po północy, siedział z nogami w popielniku, tak pijany, że nie czuł węgielków dogasających mu na podszwach, ja zaś nie śmiałem się odezwać, bo w tamtych czasach rzadko zauważał moje istnienie, więc każde jego słowo wydawało mi się utoczone z czystego złota i nie zastanawiałem się wcale, dlaczego opowiada o czarownicy, którą widział dawno temu, zanim dostał swoje pierwsze chłopięce buty i pas, chwilę przed tym, jak skończyła, jej twarz wydłużyła się w psi pysk, opowiadał ojciec, przyglądając mi się tak bacznie, jakby trawił go lęk, że i ja zniecka porosnę sierścią, brałem to wówczas za zwyczajną podejrzliwość pijaka i musiałem mocno zagryzać wargi, żeby pohamować niewczesny śmiech, teraz jednak wiem, że dzień po dniu szukał we mnie, dziecku urodzonym w kapturku łaski, śladów swojej krwi i nie potrafił jej odnaleźć – tak, wiem, czcigodny

panie, że wszyscy rozczarowujemy swoich ojców, choć czynimy to na tysiąc różnych sposobów – więc ulegał najpotworniejszym podszeptom, których mu nie szczędzono, bo dostatek i majątność zawsze budzą zazdrość, i te podejrzenia zatruwały go dzień po dniu, ponieważ tak bardzo pragnął spłodzić syna na swoje podobieństwo, a trafiłem mu się tylko ja, stawał się coraz gwałtowniejszy, coraz surowszy i bardziej popędliwy, aż wreszcie musiałem go opuścić, chociaż nie zasłużył na to, w gruncie rzeczy był nieszczęśliwy i samotny, co wówczas jeszcze bardziej mnie od niego odstręczało, ponieważ młodość stroni od nieszczęścia, nie pożegnaliśmy się nawet i ten brak ojcowskiego błogosławieństwa doskwiera mi teraz najbardziej.

Ojciec umarł wkrótce po mojej ucieczce, przygnieciony wieścią, że jego syn marnotrawny przestaje ze złodziejską hałastrą z Dołu Wisielca, zamiast uczciwie mleć mąkę i sypać ją w worki, pożalił się jeszcze przed starszymi cechów, że niechybnie będę się próżniaczył i uganiał się z innymi trutniami złodziejami po świecie, zostanę hołyszem, rycerzem, malarzem albo jakimś wagabundą, aż od tych wszystkich straszliwych obaw jego krew zamieniła się w czarną żółć i zalała go we śnie, pomimo to dobrze jest teraz siedzieć w mroku, wspominając jego zapach i ramiona w omączonym kubraku w tamtych dobrych czasach, kiedy matka co wieczór czekała z ciepłą strawą i wspólnie siadaliśmy do wieczerzy, pcham przed sobą tę ciężką kulę wspomnień, bo jedynie ona odróżnia mnie od Mniszka, o którym nikt nie wie, ani kto go spłodził, ani jaka wychowała go matka, podczas gdy my wszyscy, zrodzeni w Città di Sant'Angelo, nosimy jej mleko pod powiekami na znak, że ziemia ta będzie należała do Guerina i jego potomków, póki będą dotrzymywać przymierza i będą gotowi wyruszyć w mgłę na spotkanie ze smokiem, ale jacyż jesteśmy naiwni, wyobrażając sobie łuskowatego stwora ze skórą wymalowaną jaskrawą farbą świątynnego pacykarza.

Bo smok również tam jest, w kręgu pięciu jodeł, i wtedy właśnie go dostrzegam.





\* IE MOŻEMY w to uwierzyć, ale czyściciele, chytre skurwysyny, musieli nakopać bocznych kanałów i fałszywych przejść, żeby wyprowadzić przemytników w pole, jeśliby któryś usiłował myszkować pod ziemią na własną rękę, ryli całymi miesiącami, a my nie mieliśmy o tym pojęcia i myśl o tajemnym kretowisku pod naszymi rynkami, placami i kamienicami doprawdy nie napelnia nas dumą, nie mamy jednak czasu, żeby się o to złościć, bo tak, mili towarzysze, wynurzamy się tuż przed kasztelem, zupełnie jak dziecko wyłania się z łona matki, miękkie, wrzeszczące i bezbronne, i my jesteśmy równie bezradni, kiedy tuż przed nami cesarscy knechci rozszarpują pacholków z rontu, biorąc poniekąd odwet za wszystkich przyzwoitych wyrobników, smaganych różgami sprawiedliwości i odprowadzanych do aresztu tylko dlatego, że odrobinę popili, kiedy indziej przyglądalibyśmy się temu nie bez uciechy, jednakże teraz przeżywamy własną rozpacz, bo po tych wszystkich trudach, po tych znojach i ofiarach, jakie ponieśliśmy, oto znów znaleźliśmy się w samym środku bitwy, przed wejściem na mostek prowadzący do kasztelu, dwa wieki temu przerzuconym ponad Ruscello Nero przez naszych zacnych mistrzów kamieniarzy, i kasztelan też tam jest, chybotce się na chudych nóżkach tuż przy wyrwie w bramie i wyrzaskuje rozkazy, ani chybi zagrzewając pacholków do boju, ciekawe, czy naprawdę wierzy, że ten szturm jeszcze uda się odeprzeć, ale w gruncie rzeczy wcale nas to nie obchodzi, nie mamy nic wspólnego z tą hałastrą, która za rozplatanymi wrotami kłębi się bezmyślnie na dziedzińcu, robiąc tylko zamieszanie, bo pomoc z nich żadna, dworskie panny na arkadzie wyśpiewują litanie do świętego Calogera, co z pewnością napelnia błogością serca ginących pacholków i wiedzie ich

prosto do bram lepszego świata, jednakże po tej stronie mgły czcigodny męczennik jakoś nie kwapi się spalić naszych wrogów, posąg naszego dzielnego Guerina, odlany przez cech brązowników w podarunku dla kasztelana z okazji półwiecza jego panowania, też ani drgnie, chociaż cała gromada żebraków i dworskich sług wczepia mu się w stopy, błagając o pomoc, nawet dzwon bije na trwogę skowytliwym, babskim głosem, a z dołu, od strony miasta, odpowiada mu łomot bębnow, z pewnością to cesarz maszeruje na górę, czas się stąd jak najspieszniej zbierać i wiać, dokąd oczy poniosą, ale właśnie w tamtej chwili dostrzega nas pacholek z okienka nad bramą, coś tam nawołuje, macha ręką i raptem rozumiemy, że wziął nas, biedny głupek, za odsiecz i zaraz się przyczynia do naszej zguby, bo ściąga na nas uwagę cesarskich knechtów, kręcimy się jak frygi i wywijamy im spod mieczy, ale powiem szczerze, że nie przychodzi nam to tak zupełnie bez trudu, jesteśmy wszak uczciwymi rzemieślnikami, podczas gdy ultramontanie przemierzili pół ziemi, żeby nas wymordować, i trzeba przyznać, że zabierają się do tego z zapałem, co daje obrońcom kasztelu chwilę wytchnienia, słudzy kasztelana podciągają do bramy wóz pełen beczek i barykadują nim wyrwę, ale kiedy paru z nas usiłuje się przemknąć do środka, obrońcy witają nas gradem kamieni i nawet jakiś psi syn wypuszcza strzałę, bo nie miałaś racji, droga matko, i nawet tutaj, na tym mostku, na którym kończy się świat i wiele innych rzeczy również dobiega kresu, nie wszyscy jesteśmy dziećmi Città di Sant'Angelo, a w każdym razie nie wszystkich z nas jednako kochano i nie wszystkich otaczano taką samą troską, my mamy tutaj po prostu umrzeć, żeby tamci w kasztelu zdołali pożyć choć chwilę dłużej, rozumiecie, żeby kasztelan mógł ogryźć jeszcze jedną kość, a jego szpetna córka – popieścić się z młodym gachem, zanim zbiry z północy przepchną ich mieczami, tam gdzie jedzenie i miłość tracą smak.

Cóż, żaden z nas nie szuka bohaterskiej śmierci, ale moi towarzysze i tak zdychają po kolei i wiecie, co jest najgorsze w zagładzie miasta? –



to, że na końcu nie ma już żadnych „nas”, za którymi można się schronić, umieranie jest dojmująco pojedyncze, przekonuję się o tym właśnie w tej chwili, kiedy jeden z żołnierzy zawadza mieczem o sakwę na moich plecach, błogosławione niech będą srebrne talerze oraz kosztowne manele naszej majstrowej, które przyjmują na siebie cios, z rozerwanego worka wysypują się monety i nie uwierzycie, jaki łoskot potrafi uczynić taka odrobina złota, raptem mam na karku całą gromadę żyłastych barbarzyńców o gębach wytrawionych niedostatkiem, doprawdy chętnie zaopiekują się dobytkiem mistrza Urdina, przewracam się i broczę już nie tylko złotem, ale na szczęście wokół jest wystarczająco wiele trupów, żebym mógł się pomiędzy nie odczołgać, kiedy gwardziści Efraima wchodzą wreszcie na most, i nie, nie jest prawdą, że mają bose nogi, może tak było wcześniej, w ich barbarzyńskich krainach za Catena di Confine, lecz teraz noszą bardzo porządne buty ze skóry wyprawionej przez naszych garbarzy, uszyte przez naszych szewców i zdarte ze stóp naszych sąsiadów, nie podnoszę nawet głowy, kiedy wygarniają ze śmiertelnego żywota resztki moich kamratów, ale ja nadal żyję, rozumiecie, wciąż oddycham i jestem opatem łachmaniarskiego bractwa wałkoniów i łotrzyków, i żyję, podczas gdy kasztelan kona, przyszpilony włócznią do jednej z beczek, z gębą zalewaną winem, które tak kochał za życia, pod posągiem Guerina toczy się obcięta głowa któregoś z mnichów od świętego Calogera, bo kasztelan miał swojego kapelana, ale lubił, jak braciszkanie śpiewają mu mszę, z chlewu wypada gromada prosiąt ze świniarczykami pospołu, knechci zaczynają się śmiać i nagle na dziedzińcu rozbłyskuje ich słoneczna tęsknota za synami, którzy bawią się w piasku na progach chat, hen, za Monti delle Graticole, bardzo daleko od Città di Sant'Angelo, ale to trwa tylko okamgnienie i nie, nie wiem, czy pozwalają dzieciakom ujsć z życiem, bo patrzę w zupełnie inną stronę, nie odrywam wzroku od kępy ligustru, za nią jest wejście na ścieżkę do starego wodopoju, źródło wyschło lata temu, ale jeśli się rozgrzebie

kamienie, można znaleźć w dołku parę kropel wody, kiedy byliśmy dziećmi, uwielbialiśmy je spijać, niech no tylko wbiegnę między chaszczę, znam każdy kamień na tej ścieżce, lecz kiedy usiłuję się dźwignąć, ręce i nogi uginają się pode mną, cały jestem rozmiękną kluchą, ale nie należy, moi mili, upadać na duchu, bo teraz już nikt o mnie nie dba, obdarto mnie z sakw, kubraka i butów, świecę w słońcu gołymi paluchami jak byle żebrak albo pastuch owiec, uczciwy rzemieślnik nie może chadzać boso, bruk naszych miast się do tego zupełnie nie nadaje, moje delikatne podeszwy lepiej zaświadczą o mojej prawdomówności niż cechowy znak, którego się domagacie na poświadczenie tej opowieści, zastanówcie się bowiem, kto ratowałby bezwartościowy kawałek ołowiu, skoro nawet własnego życia nie może być pewnym?

Cesarscy żołnierze biegają po arkadach, skąd raptem poznikwały te wszystkie rozmodlone łajdaczki w sukniach naszywanych srebrem, ale nie, jeśli się przyjrzeć wyraźniej, jedna wciąż tu jest, nadziali ją na miecz Guerina, ostrze się nawet nie ułamało, aż miło popatrzeć na solidną odlewniczą robotę, bo sama panna, doprawdy, już nie cieszy wzroku, choć przyznam, że chętniej zobaczyłbym tam Monę Giulję, która w przeciwieństwie do wielu pocziwych dziewczeczek rzetelnie zapracowała na swój los, i naraz odmykają się drzwi do jej pokoi – mówiłem wam już, że kazała sobie wyszykować komnaty w starej wieży? – umościła się na wysokości jak kokosz na grzędzie chyba tylko po to, żeby trzymać się z dala od nas, bo czym innym można by ją zanęcić do tych zatechłych od starożytności pokojów? – sprowadzili nas z miasta, żeby je wyszykować, mówię wam, tynk całkiem przepleśniał, ponieważ wszystkie okna wychodzą na Nebbię i słońce zagląda tam tylko rankiem, cały tydzień wynosiliśmy ze środka gruz i ptasie gówna, a potem trzeba było jeszcze wykuć przejście w murze i wybudować galeryjkę do kaplicy, bo, sami rozumiecie, im bardziej któraś za młodu przewiewna w kroku, tym bardziej na starość pobożnieje, i właśnie na tej galeryjce –

a przyznam, że przebudowa kosztowała nas wiele znoju, i architekt lamentował, że cała budowla się zawali, jeśli będziemy w niej ryli na oślepię jak myszy w serze, a tu, proszę, architekt pewnie już nieżywy, a nasza galeria wciąż wygląda solidnie – widzę teraz Monę Giulie, parszywe wronisko wystroilo się w czerwoną suknię, jakby była la Sposą, roztańczoną narzeczoną Pana Karnawału, mimo że każda z naszych wesołych panienek z Wieży Skowronka wyglądałaby w niej ponętniej.

I myślę sobie wtedy, że właśnie tym jest na końcu Città di Sant'Angelo, zmurszała stara dziwka, która osypuje się pod byle pacnięciem, bo z arkady przy sali poselstw spadł właśnie jeden z kamiennych aniołków, ten o pyzatej gębie małego Porcia, taki bowiem przywilej naszego rzemiosła, że wprawdzie nie opatrujemy wytworów swoich rąk podpisami na wzór tych próżnych bałamutów, którzy rychtują na płótnie dworskie bohomazy, ale dajemy im własne twarze, kamieniarze czynią tak od wieków i jeśli podniesiecie wzrok, rozpoznacie naszych mistrzów wśród głów na kasetonowym sklepieniu bramy kasztelu, a ich dziadów – na portyku Duomo, pomiędzy błogosławionymi duszami, bo wśród potępieńców zwykliśmy ukrywać jedynie naszych wrogów i niejednego jurystę, oprawcę albo i włodarz został na wieki uwięziony w kotle pełnym wrzącej smoły, więc kiedy wędrujemy przez Città di Sant'Angelo, nieustannie obserwuje nas uważny wzrok martwych rzemieślników, nawet takich niepoczesnych jak my, nas nie znajdziecie wśród proroków ani książąt, jednak i my żyjemy, jak kleszcze wczepione w kamienny brzuch miasta, w jego granitowe ramiona i mięsiste łono z piaskowca, tyle że teraz właśnie nas z niego strząsają, czy słyszycie, jak kolejny anioł o twarzy mojego kamrata Ardita roztrzaskuje się na dziedzińcu? – powiem wam, że to jest zupełnie tak, jakby rozbijano głowę Ardita, jakby umierał po raz drugi, i to jeszcze dotkliwiej niż wprzódy, bo prawdziwy Ardito był paskudnym rudym skurwysynem ze złamanym nosem, jękał się przy tym i utykał na prawą nogę, a głowa aniołka nosi ślad mojego dłuta, usta wygięte w uśmiechu i dołek w policzku, i chociaż kamień jest

zawsze szlachetniejszy niż mięso, on również umiera, i z nagłą czuję, jak ogarnia mnie nedorzeczny smutek nad ginącym miastem, a knechci właśnie rąbią figurki nimf wokół studni, obstalowała je u nas Mona Giulia, cztery biuściaste dziewoje w kusych sukniach z dzbankami w dłoniach przelewają wodę do muszli, które zbiegają się w podstawę studni, nasz majster zaniemógł, więc sam musiałem nadzorować robotę, i dziwna rzecz, kiedy ją ukończyliśmy, zdałem sobie sprawę, że widzę w jednym z posągów rysy mojej pierwszej kobiety, była dojarką i po śmierci matki przychodziłem do niej głównie ze względu na mleko, a kiedy osiadłem w terminie, porzuciłem ją bez żalu, ale teraz serce prawie mi pęka, bo dwóch dzikusów wdrapuje się na baldachim rozpięty nad studnią i kolejno gruchoczą brzuchate potworki, podtrzymujące tkaninę, wiecie, przepracowaliśmy tutaj całą zeszłą zimą, kasztelan do tej pory nie spłacił mistrza, my również nie powąchaliliśmy ani cekina, z naszego miłego pana był doprawdy przykry dusigrosz, ale trzeba przyznać, że potrafił rozpoznać rzetelne rzemiosło i nie oglądał się na dąsy patriarchy, który oczywiście kręcił nosem na te wszystkie diabła, demony i potworki, że pewnego dnia ożyją i doprowadzą nas do zguby, a jednak posągi rozpadają się na kawałki, łamią się girlandy zdobiące schody, pękają kwiatony, liście zdobiące kapitele kolumn, pinakle, czołganki na gzymsach i manswerki, może naprawdę mają słuszość ci, którzy mówią, że ultramontanie sprzymierzyli się z ciemnymi siłami albo dopomagają im czarownice Bianchich, bo kamień nie powinien, doprawdy, kruszyć się tak łatwo, a tamtego dnia kasztel topi się jak zamek z palonego cukru, w ostatni dzień roku mistrz Metrofane przynosił taki do Duomo w darze od cechu cukierników i wszyscyśmy przychodzili go podziwiać, w oknach stały malutkie panienki z barwionego marcepanu, dziwnie się te wspomnienia cisną pod powieki, a w sadzie na drzewach wisiały karmelowe gruszki i maleńkie jabłuszka, póki nie roztopiły się w promieniach słońca i nie spłynęły, odsłaniając rusztowanie z patyków, a potem mniszki od świętej

Deoadaty wynosiły na Piazza della Cisterna wielkie kosze anyżowych ciastek oraz migdały smażone w cukrze i rozdawały je dzieciakom w świątecznym podarunku, a jeśli biedny wyrobnik się do nich uśmiechnął, i jemu nie pożałowały, tego dnia nawet najskąpszy majster zapraszał czeladników do swojego stołu i kładł na nim pieczoną gęś oraz dzban wina, o północy pomocnicy kowalscy odpalali na błoni fajerwerki, my zaś staliśmy na murze, czując błogie ciepło w brzuchach, i to się nie powtórzy już dla żadnego z nas, chociaż nie kładźcie na mnie kreski tak pochopnie, bo zamierzam zezreć jeszcze wiele gęsi i wyżłopać całe morze wina.

Ale patrzcie państwo, ktoś się raptem pojawia, prawdę powiedziawszy, byłem pewien, że knechci dawno go ukatrupili, tymczasem nawet włoski nie spadł dziadowi z głowy, jego smród też ani odrobinę nie osłabł i naraz przechodzi mi przez myśl, że przespał cały szturm na stercie gnoju, jakąż to ponura okoliczność, że katedry i kasztele przemijają, a gnój jest wieczny, jednoręki wlecze się przez mostek, rozumiecie, jest tak blisko, że prawie trąca mnie nogą, kopyta ma ohydne, obwiązane na wpół przegniłymi szmatami, cóż, tak to już jest, że na końcu robactwo wypełza z dziur i nie, nadal niczego się nie domyślałam, dopiero gdy suka obraca do mnie pysk, a ledwo co wystaję spod martwego żołnierza, bo ukryłem się wśród trupów, żeby rajtarzy i knechci mnie przeoczyli, ale ona ma w oczach taki poblask, jakby ktoś wepchnął jej w oczodoły węgle, nie, nie oszalałem ze strachu, nawet cesarskie sługi muszą czuć to samo, bo ci stojący z przodu usuwają się jej z drogi, ale kolejni okazują się mniej ustępliwi, no i nie wychodzi im to na zdrowie, przypomina mi się ten biedny chudzina Iacopo z gardłem rozszarpanym w Dole Wisielca, chociaż na tym trupim usypisku jego krzywda wydaje się jakby nieco mniej dotkliwa, wiecie, nad drzwiami oberży Pod Pyskiem, tam gdzie spotykają się nożownicy, wymalowano demona pod postacią czarnego psa, czerwona farba na kłach połyskuje nawet o zmierzchu i niejeden z nas się wzdrygnął przed wejściem, mimo

że to zwyczajne malowidło, wysmarowane przez wędrownego pędzlarza, jednak śmierć jest prawdziwa, ta śmierć, którą już wcześniej wyczuwaliśmy w Città di Sant'Angelo, może przywołali ją właśnie ultramontanie z psimi łbami na hełmach i tą swoją przedziwną herezją, z Synem Stwórcy pobratanym z celnikami i pasterzami, zupełnie jakby nie dość było przyzwoitych ludzi, może zresztą chcieli ją przywołać, podobnie jak wy chcecie wysłuchać mojej historii, ponieważ pochodzę z Città di Sant'Angelo, gdzie kiedyś, dawno temu, zabijano demony, a głowę jednego z nich, tego, co się objawił pod postacią smoka i został pokonany przez Guerina, ukryto w podwalinach kasztelu, tuż pod wieżą Mony Giulii, ale uwierzcie, to nic przyjemnego, kiedy potwory wylazą spod swoich kamieni i zaglądną nam w twarz, a to, jak dobrze wiecie, dopiero początek.





A MALEŃKĄ głowę o lancetowatym kształcie, skłonioną pokornie pod kępą paproci tuż za kobietą owczarzy, wierzcie mi, niewiele większą od mojej dłoni, i byłbym pewnie wziął go za płochliwą górską żmiję, takie same lęły się w starym żwirowisku nieopodal młyna, jesienią splatały się w zimowe węzły na dnie sztolni i wyrobisk, zimą wciskały w posłania, lgnąc do ciepłego ciała, a wiosną wypęzły, żeby się wygrzewać na białych kamieniach, od gorąca stawały się ospałe i powolne, więc kiedy byłem po prostu małym urwisem młynarza i biegałem w gromadzie podobnych sobie po starych żwirowiskach, chwytaliśmy je gołymi rękami, nawet te największe, sinoniebieskie z czarnym zygzakiem na grzbiecie, w dotyku były miękkie i delikatne jak pierś kobiety, chociaż do kobiet nie mieliśmy jeszcze wówczas śmiałości, więc pozostawały nam zabawy ze żmijami, na końcu roztrzaskiwaliśmy im łby na głazach i z tą leśną gadziną chętnie dokonałbym tej samej sztuki, pełzną wzrokiem wzdłuż szlaczka na jej grzbiecie, owinęła się wokół niewydarzonego cyprysu, ledwo widoczna spod czarniawej wiechy liści, gdyby się nie poruszyła, nie dostrzegłbym, że jej cielsko wyłania się po drugiej stronie pnia, mocno omotane zielskiem, zeszlórocznymi gałązkami, jakimiś zeschlými liśćmi, ale poszerzone i tak spotężniałe, że mrugam ze zdumieniem, usiłując dopasować te masywne sploty do rachitycznej główki, która się rozwiera, jakby w szyderstwie, odsłaniając rozdwojony różowy język, i nagle widzę żółty grzebień, który wybija o wiele dalej spomiędzy głazów, część złotych wyrostków przewyższa człowieka i kiedy stwór znów się porusza, krzewy falują w rytm jego oddechu, o, najświętszy Calogero, dopiero teraz rozumiem, co dane mi było zobaczyć, chociaż ta wiedza jest jak

gdyby przyćmiona, nie uderza we mnie w jednej chwili, tylko przesącza się z wolna, podczas gdy Mniszek krąży na sztywnych nogach wokół ognia jak stróż sadu, strach ze szmat i bezwartościowego drewna, żadna z niego wyręka, wystarczy popchnąć, a rozleci się na kawałki, mój drogi kamrat i obrońca okazuje się równie bezużyteczny, za co przecież nie powinienem go winić, bo jak już słyszeliście, jesteśmy właśnie tym, czym nas uczyniono, ani krzty mniej, ani więcej, jednak nieudolność jest zawsze potwierdzeniem nikczemności, co napełnia mnie błogim zadowoleniem, gdyż mój towarzysz nie potrafi dostrzec smoka nawet wtedy, kiedy ten podpełza o parę kroków i tylko czeka, żebyśmy skulili się w jamce snu, a wówczas pożre nas z taką samą łatwością, z jaką połyka polną mysz, i chętnie napawałbym się dłużej głupotą biednego podrzutka, gdyby nie ten miękki, złotawy blask, który prześwieca pomiędzy drzewami coraz wyżej, rozrastając się w wał porośnięty trawą, paprociami i cyprysami, które wślizgują się korzeniami pod węzową skórę, nawet drzewa są jedynie przedłużeniem kości, głązy spajają się z łuską, rozumiecie, cały las jest przerośnięty cielskiem smoka.

O tej porze potwór sztywnieje, oddającienne ciepło, i znad oliwkowych łusek unosi się mgła, a kiedy zacynam to rozumieć, ogarnia mnie taki strach, że mam ochotę krzyczeć, ponieważ chodzimy po ciele smoka i oddychamy jego oddechem, może właśnie dlatego święty Calogero cofnął się przed Nebbią, ponieważ istnieją monstra i skrzydlate bestie, uczynione z krwi, kości i łusek, święci zabijali je na chwałę Stwórcy albo obłaskawiali mocą swojej wiary, lecz istnieje coś jeszcze, coś potężniejszego, i teraz to coś obserwuje mnie niestrudzenie spod cyprysu, a ja nie jestem w stanie się poruszyć, gdyż właśnie zacynam rozumieć, że smok może zrzucić z siebie ten las, drzewa, parowy, głązy i całą resztę z taką łatwością, z jaką pozbywa się zeszłorocznej wylinki, i kto wie, jak daleko sięgają jego sploty, dobry Boże, myślę, pojawiwszy naraz wielkość zdrady i kłamstwa Guerina, bo chyba już się



domyśliliście, że to skrzydlate truchło, które przywlókł i cisnął na ziemię u podwalin Città di Sant'Angelo, jest zupełnie bez znaczenia.

Pamiętajcie, łaskawi panowie, nikt nie wychodzi na pustkowie jedynie po to, żeby uczynić zadość swojej dumie, więc nie myślę w tamtej chwili o Monie Giulii ani o wygnaniu, nie pragnę garnków złota ani kondotierskiej sławy, a jednak nagle mam w ręku miecz, tak, moi zacni słuchacze, wreszcie udaje mi się ocknąć, a może to ostrze znajduje mnie, któż to może powiedzieć, wy, ludzie miecza, najlepiej wiecie, że żelazo przesiąka odorem tych, którzy je noszą, przejmuje ich przywary i zalety, a ja przecież nie odziedziczyłem tego ostrza po ojcu, nie, kędzierzawy Illidio, który jest pomocnikiem kowala, wyszukał je dla mnie w jakimś kącie zbrojowni i starannie oczyścił z rdzy, powstaję zatem ze skradzionym mieczem w ręku, bo nic tutaj nie należy do mnie, nawet ta opowieść, tymczasem smok obserwuje mnie pionową źrenicą, bez ruchu i bez lęku, z pewnością widział wcześniej świętych, książąt i rycerzy, ale nie takiego prostego łapserdaka jak ja, wiecie, przygląda mi się z pobłażliwą czułością, tak samo matka patrzy na dziecko stawiające u jej kolan pierwsze kroki – bo czyż każda historia nie zaczyna się właśnie tam? – i kiedy pierwszy raz przebijam smoka, myślę właśnie o swojej matce, uwięzionej w ciemnej jamie kuchni, jakże wiele musiało się zmienić od tamtych czasów, kiedy uciekła z rodzinnej wioski, żeby przejść pod dach młynarza, mimo że widziała go zaledwie raz na jarmarku, wiecie, nigdy nie poznałem moich dziadków, może nadal żyją nieopodal monasteru u stóp góry zwanej Rotonda, po moich narodzinach nie przesłali nawet błogosławieństwa, naśladują bowiem świętego Ermenegilda pustelnika i wszystkich mieszkańców Città di Sant'Angelo uważają za czcicieli demonów, i chyba naprawdę nimi jesteśmy, skoro całe nasze miasto wzniesiono na kłamstwie człowieka, który nazwał się Guerino i wcale nie zabił smoka, lecz my przez lata dodawaliśmy do tego pierwszego kłamstwa kolejne, narastały na jego fundamencie warstwami kamienic, bram, kościołów, składów, fontann

i oberży, a my spajaliśmy je zaprawą z własnego życia, i może nawet tak jest lepiej, może należało pokornie iść na wygnanie z sakiewką ojcowskiego złota, myślę, zanurzając miecz pod raz drugi w ciele smoka, ostatecznie świat jest pełen miejsc, w których można handlować mąką, pić wino i napawać się urodą dziewcząt, więc uderzam po raz trzeci z całą siłą i rozpaczą, jakie umiem w sobie znaleźć, posłuszny przymierzu i w imię naszej świętej matki Città di Sant'Angelo, i odcinam mu głowę.

I wtedy czuję pchnięcie, zdradziecki, nieoczekiwany ból w boku, to Mniszek, nasz mały, pulchny podrzutek, który dotarł po moich śladach aż tutaj, żeby zabić, właśnie podnosi sztylet do kolejnego ciosu, uśmiechając się tak kusicielsko, jakby nakłaniał kupiecką córkę do grzechu, jego przepiórczy świergot jest pełen słodczy, bo jeśli nawet pasterka odebrała mu głos, nie zdołała zdławić przebiegłości i zdrady, a nie sądziliście chyba, że ta zdrada zrodziła się na zboczu Nebbii, co jeszcze można by wybaczyć, ponieważ mgła kryje wiele pokus, nie, on przydźwigał ją tutaj aż z Città di Sant'Angelo, gdzie jako jedyny z nas dostrzegł prawdę ukrytą za historią Guerina, gdyż nie ma znaczenia, czym jest smok, ważne jest tylko, kto powraca jako jego zabójca, a wy teraz milczcie, bo kiedy ranny obracam się ku Mniszkowi, smok wreszcie uderza – uciszcie się, cisza, mówię! – uderza i zatapia zęby w mojej ręce, miecz wyslizguje mi się w trawę i czuję w dłoni ogromne, przejmujące zimno, które pozbawia mnie sił, i jestem pewien, że to już koniec tej historii, aż raptem coś jeszcze ożywa w kręgu jodeł i przewraca mnie na ziemię, czuję smród wilgotnej sierści i nagle widzę pomiędzy nami psiogłowca, wielkie czarne zwierzę, rozrywające zębami gębę Mniszka, kilka kropli krwi pada mi na twarz, znajda krzyczy, dźgając na oślep sztyletem, ale to tak, jakby przepiórka próbowała przepłoszyć wilka, nie widzę wyraźnie, nie zapominajcie bowiem o smoku, szarpanym śmiertelnymi drgawkami, wraz z nim wszystko wokół faluje i broczy posoką, sypią się liście i kawałki kory, to, co przed

chwilą było pagórkiem, znienacka się zapada, głązy toczą się po pochyłościach, drzewa kołyszą się ze skrzypieniem i szczepiają koronami, i sam już nie wiem, co się dalej dzieje.

Potem wielki biały księżyc oświetla martwego Mniszka i kobietę, która powróciła do ludzkiego kształtu, lecz na twarzy nadal ma ślady krwi, siedzi na podwiniętych nogach i wpatruje się we mnie niewzruszonym, psim spojrzeniem, precz, chciałbym zawołać, idź precz, jednak z mojego gardła wydobywa się jedynie żabie skrzeczenie, a ona ujmuje w dłoń moją prawą rękę, usiłuję się wyrwać, lecz palce nie słuchają, wciąż zmrożone smoczym jadem, tak mi przykro, mówi kobieta, próbowałam cię ostrzec, dotyka mojej twarzy i nagle nie ma już znaczenia, czy jest pasterką, zaklętą kasztelanką, czy też kobietą psiogłowców, którą sam nieopatrznie zwabiłem gorącą krwią i nocnym nawoływaniem, wybacz mi, mówi, musiałam cię tutaj sprowadzić, ponieważ jesteś Urodzony, jesteś jednym z wędrujących we mgle, żebyś odciął mu łeb i zabił go na długo, a póki się nie odrodzi, nasze owce, dzieci i domy będą bezpieczne, bo tak powinno być, jest smok, jest bohater i jest zdrajca, i spójrz, nikt nie wychodzi bez szwanku, podnosi moją dłoń, tyle że teraz zamiast palców mam niekształtny kikut porośnięty złotą smoczą łuską, mgła nas odmienia, szepcze kobieta, ocierając się czarnymi włosami o moją pierś, dlatego każde z nas nosi w szkaplerzu swój urodzeniowy czepek i błogosławieństwo, a ty nie masz żadnej obrony, i wreszcie przychodzi czas na łzy, więc wy również zapłaczcie wszyscy nad Guerinem, który u zarania czasu pokonał smoka i sam śmiertelnie zatrzał się jego jadem, i zapłaczcie nad jego zdradzieckim sługą, który tak pragnął przywłaszczyć sobie zwycięstwo pana, że przeszył go mieczem, i zapłaczcie również nade mną, ponieważ może właśnie tak powinno być.

Moi wojenni panowie, widzę po waszych znużonych oczach, że przychodzicie z daleka i oglądaliście miejsca piękniejsze niż nasze Città

di Sant'Angelo, ale nie widzieliście smoczej skóry, która łuska po łusce wspina się po mojej skórze, i jest to tak, jakby nakładano mi jedwabistą, lodowatą rękawiczkę, mam u ciebie dług, mówi czarnowłosa dziewczyna, więc pomogę ci pokonać tę część smoka, która nadal żyje, kiwam przyzwalająco głową, bo upływ krwi mnie otępia, zagłuszając strach, i prawie nie widzę błysku ostrza, kiedy pasterka opuszcza wreszcie miecz, co jest początkiem zupełnie innej historii, ale nie kryje się w niej żaden smok i mnie również w niej nie ma, moi najemni bracia od miecza, ponieważ wszyscy przecież przywdziewamy różne twarze, raz żonglera, raz wędrownego przekupnia, raz pieśniarza, a raz widza.





\* ECZ JEST przecież jeszcze Draco, nasz pocziwy Draco, który całe moje życie przedrzemał w cieniu Duomo, budząc się tylko po to, żeby podlać winem swoją baję o smoku, którego zaszlachtował na zboczu Nebbii, powiem wam, że teraz pod kasztelem również wydaje się ledwo przytomny, zapewne potknął się po drodze o bezańską beczułkę, co budzi, przyznam, moją zawiść i sam też muszę zwilżyć wreszcie gardło, więc rozsypajcie nieco mieszki, moi hojni gospodarze, bo wypychacie tutaj brzuchy pieczoną gęsiną i białym pańskim chlebem, podczas gdy ja miotam się w mojej opowieści i leżę właśnie pomiędzy trupami, a wokół cisza przelewa się i kolebie w niecce dziedzińca, jedynie z rzadka człowieczy gnąk trzaska w zębach czarnej suki, Draco gładzi ją swoją jedyną dłonią i zwierzę spuszcza łeb, stoją oboje przy studni, tuż przy bezgłowych kadłubkach nimf, a my wszyscy, knechci, rajtarzy, strażnicy i niedobitki zamkowej służby, szamocemy się jak robaki topione w oliwie, powiem wam, że w tamtej chwili widzę również samego cesarza Efraima, rozpoznaję go po hełmie ozdobionym srebrnymi skrzydłami i po purpurowym płaszczu, stoi pomiędzy pospolitymi żołdakami, bo istnieją na naszym świecie takie strachy, które jednają wilka z owcą, i tylko jedna Mona Giulia wydaje się nieporuszona na swojej galeryjce, chociaż i jej twarz poszarzała, zupełnie jakby osypały się z niej całe bielidło i szminka, zdmuchnięte tym samym wiatrem, który postrzącał alabastrowe aniołki, mówię wam, całkiem stara z niej baba, a Draco w dole płacze i jest w tym coś wyjątkowo obrzydliwego – bo i nad czym się rozrzewnia to jednorękie ścierwo, chyba nie nad swoim życiem?, czego tu żałować, tej kupy gnoju i wina spijanego chyłkiem z przewróconych flaszek? – raptem jakaś

straszliwa złość chwyta mnie za gardło, niedawno niewypierzone dziełatki zdychały tu bez jednej łzy, a ten wciąż chlipie, cały się obsmarował i, patrzcie uważnie, odwijają szmaty z kikuta, tak samo robią żebracy na schodach Duomo, machają nam przed oczami poranionymi członkami, żaląc się na straszliwe krzywdy, jakich doznali, cóż, Draco również po wielokroć opowiadał nam, jak to odciął sobie rękę, bo trawił ją smoczy ogień, którego nie można ugasić i który zmienia człowieka w zwierzę, gdyż, jak dobrze wiecie, wiele się powie dla jałmużny i darmowego wina po oberżach, jednakże tego dnia pod łachmanami nie ma blizn po ogniu, nie ma spalonego mięsa, brudu ani wrzodów, jest tylko nikły błysk, złota łuska, powrastana w ciało głęboko jak paznokcie.

Cisza! Milczcie teraz, bo chciałbym dokładnie opowiedzieć, jak było, ale wszystko jest tak bezwstydnie niepojęte, i nie, niczego się wcześniej nie domyślaliśmy, teraz wszyscyście są mądrzy, mówicie, że przecież to była Città, Città di Sant'Angelo, stolica Guerina, mroczna sień demonów, przez którą przekradają się do człowieczego świata, należało się domyślić, co tam drzemie pod gruzem i co spod niego wypełźnie na boże światło, a my nie, wcale nie byliśmy tacy bystrzy, mieliśmy swoje warsztaty, szopy, poddasza i piwnice, w których piliśmy tanie wino, i jeśli byliśmy w dobrym humorze, zdarzało się nam dać kubek czy dwa Dracowi i patrzeć potem, jak się czochra i chlapie w fontannie tuż pod posągami Guerina, który przecież zabił smoka, tego jedyne, prawdziwego, co wypełził z mgły, więc jak to jest możliwe, że nasz poczciwy stary Draco stoi teraz na dziedzińcu kasztelu, sprośnie obwijając się smoczą łuską? – bo ten błysk, słuchajcie mnie uważnie, błysk się rozszerza i jakby pełźnie wzwyż po jego ramieniu, stary dygocze i szłocha w mordędze, i powiem wam, że w tamtej chwili gorzko żałuję, że nie udało się zawczasu skrócić jego męki, przecież tyle lat włócił tę udrekę po bruku, zupełnie jak stary osioł ciągnie wóz, mozoli się przy tym, rozdyma dychawiczne żebra i orze niebo ościeniem chudego grzbietu, ale nie daje rady zerwać się z uprzęży, patrzyliśmy kiedyś, jak

w kamieniołomie odprężnięto osła od kołowrotu, wstrętne stare bydlę, skóra pod chomątem odchodziła mu z kości, i wiecie, ledwie odetchnął swobodnie, wierzgnął może ze dwa razy, a potem przewrócił się i zdechł, robaki zaczęły wypełzać mu z uszu i z pyska, zanim jeszcze ostygł, i myślę sobie, że Città di Sant'Angelo lęgnie się w nas jak robak i drąży każdego od środka, i obojętne, czy nazwiemy tego czerwia przymierzem, przekleństwem czy całkiem innym imieniem, a Draco nosił je wewnątrz i karmił w taki sam sposób, w jaki kobiety hodują płód, zamieniając własną krew w słodki biały pokarm, chociaż nie zawsze jest w tym rozkosz.

W każdej opowieści, tak mi mówiono, kryją się zjawy wcześniejszych historii, tak samo jak na różanym krzewie zobaczycie wśród kwiatów zeschnięte zeszłoroczne owoce i mumie, poczerniałe i zwarzone deszczem, bo nie da się zawczasu rozstrzygnąć, który pąk zdoła się otworzyć i rozkwitnąć, i wszystkie te na poły zapomniane opowieści przychodzą mi do głowy, gdy kasztelanka porusza się wreszcie na swojej galeryjce, szybkim ptasim gestem podnosi ręce i poprawia włosy, poniżej w mieście płomienie pustoszą miasto i chciałbym powiedzieć, że pożar przydaje Monie Giulii blasku, ale nie, unoszą się wokół niej żal i rezygnacja, nad całym dziedzińcem wisi woal tego, co wydarzyło się wcześniej, i dlatego tak trudno wam to wszystko wyjaśnić, bo co da się powiedzieć o kwiecie na podstawie kształtu, który zostanie wykuty w kamieniu? – a tym się przecież zajmujemy, tak mnie wyszkolono, rozumiecie, w tych wszystkich ciemnych przybudówkach, w warsztatach, gdzie, choćbyś nie wiem jak długo zamiatał, nigdy nie opada kamienny kurz, wciśnie się w każdą szparę, osiadzie szorstkim nalotem w gardle, tego mnie uczono potem w kamieniołomach, gdzie przypinano nas do lin jak woły, ponieważ porządny kamień jest cenny, znacznie cenniejszy niż bachory, od których roi się na ulicy, bo tym właśnie byłem, kiedy mistrz Urdino przyjął mnie na ucznia, nie znałem mojego ojca i nikt się za mną nie wstawił, kiedy polerowałem brzuchy

posągów, a potem, wieczorami, szorowałem garnki w kuchni, nosiłem drwa, wygarniałem gnój z obórki, wszyscyśmy to robili, majster cenił zarobek, więc używał nas nawet do czyszczenia kominów, tak, znam kominy w całym mieście, trzeba mieć wąskie ramiona i zgrabne dłonie, żeby wpełznąć do komina i nie wpaść do paleniska, co się przydarzyło zezowatemu Oddone, bo ja pamiętam wszystkie imiona, czasami myślę sobie, że jestem wielkim cmentarzyskiem swoich braci, w każdym razie Oddone robił się już za duży do tej roboty i na dodatek nie widział zbyt dobrze, ale do kamieniarstwa też nie miał talentu, a któż karmiłby darmożjada, patriarcha potem bardzo krzyczał, że to grzech, że każde dziecko urodzone w Città di Sant'Angelo jest obdarzone łaską przymierza, ale wierzcie mi, przymierzem nikt się nie naje, a kominy trzeba czyścić, ja na szczęście umiałem ciosać, wyobrażałem sobie, że kamień jest łysą czaszką mistrza Urdina, i powoli obrabiałem swoją nienawiść w maureski i rollwerki, bo nie miejcie złudzeń, na początku zawsze jest coś plugawego, jakiś okruch zgnilizny, sprawiający, że nasiona kiełkują, a kwiaty kwitną, i tak samo jest w tej opowieści, bo teraz patrzycie tylko na zestalony obraz, groteskę, oplecioną jak roślinną wicią ciałami żywych i pomordowanych, unieruchomionych pod warstwą czasu, i może spośród wszystkich, którzy patrzą na kres Città di Sant'Angelo, ja jeden potrafiłbym to rozwikłać, wszak wbijano mi do głowy kijem i rzemieniem, że rzeźba róży nie może być tylko różą, trzeba zachować w niej również wspomnienie zeszłorocznych owoców i przecucie poczerniałej mumii, zatem potrafiłbym się cofnąć i wydrapać spod tej opowieści prawdziwe twarze, ponieważ Mona Giulia właśnie schodzi na dziedziniec, żeby stanąć obok Draca, i kiedy zaczyna coś mówić, ma głos młodej dziewczyny, co mnie zadziwia, ale raptem nie chcę jej już słyszeć ani zapamiętać słów i ta moja obojętność jest bardziej zdumiewająca niż Draco, który wyciąga do niej ramiona i krzyczy, pazury w jego łapach się wydłużają, spod łachmanów wybija srebrzysty grzebień, czarna suka wyje, a potem są już tylko ogień



i uwięzione w nim kształty, trzy postaci, które roztapiają się w żarze, ja zaś zaczynam biec, rozumiecie, i w ten sposób biorę ostateczny odwet na mistrzu Urdinie, na patriarsze, kasztelanie i całej tej gromadzie opojów z gospody Pod Pękatym Wieprzem, i nic więcej nie dostaniecie za swoje wino, bo właśnie opuszczam swoją umiłowaną ojczyznę na dobre, a za mną miasto płonie i cała armia cesarza Efraima, co do ostatniego człowieka, piecze się jak skwarki w rynce, i to już wszystko, taka jest moja opowieść o Città di Sant'Angelo.

Deszno 2023



Do stworzenia ilustracji, które znajdują się w książce, wykorzystano fragmenty obrazów *Święty Antoni czytający* (*De Heilige Antonius voor een stad*, 1519) autorstwa Albrechta Dürera ze zbiorów Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku oraz *Miesiąc marzec* (*De maand Maart*, ok. 1525–1535) nieznanego autora ze zbiorów Rijksmuseum w Amsterdamie, a także fragmenty rycin *Rodzina żebraków* (*Bedelaarsfamilie*) Lucasa van Leydena opublikowanej przez Hendricka Hondiusa w roku 1644 i *Święty Beatus jako pustelnik* (*Heilige Theobaldus als kluizenaar*) Johanna Sadelera opublikowanej przez Maertena de Vosa w 1600 roku pochodzących z tej samej kolekcji.



